DEBATA „DO RZECZY"

Dlaczego jestem za polexitem – wyjaśnia Stanisław Michalkiewicz

Ostro przeciw parom homoseksualnym wychowującym dzieci

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 3/408 18–24 STYCZNIA 2021 CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

ROZMOWA Z GEORGETTE MOSBACHER, USTĘPUJĄCĄ AMBASADOR USA

Jak hiszpańska lewica zarabia na imigrantach

CO TYDZIEŃ FELIETON CEJROWSKIEGO

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

Nakład: 57,5 tys. egzemplarzy

ZAMACH NA PRAWICĘ

Medialni oligarchowie cenzurują konserwatystów

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Wzruszający wywiad ze 101-letnim Polakiem, który ratował Żydów

Vesa Nenye – **Cud na Linii Mannerheima**
Piotr Zychowicz – **Polacy na odsiecz Finlandii**
Tomasz Stańczyk – **Triumf fińskiego marszałka**
Rafał Ziemkiewicz – **Jałta '45**
Radosław Golec – **Jak Polacy chcieli zabić Hessa**
Maciej Gablankowski – **Romans Piłsudskiego**
Jacek Bartosiak – **Globalna walka mocarstw**
Sławomir Cenckiewicz – **Pamięci profesora Wieczorkiewicza**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl c9af7342c1

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Pasożyt w akcji

Od chwili, kiedy to 6 stycznia na Kapitol wtargnęła grupa demonstrantów, zwolenników Donalda Trumpa, pojawiają się kolejne analizy i komentarze. Ich autorzy próbują wyjaśnić, jak doszło do tak gwałtownego amerykańskiego konfliktu. Otóż inaczej niż wielu uważam, że główną przyczyną jest wielka zmiana całej amerykańskiej sfery kulturowej i politycznej. Dawnych liberałów i demokratów zastępują stopniowo lewackie jaczejki, centrum życia politycznego przesuwa się w lewo. Szybki marsz przez instytucje, który rozpoczął się w latach 60., przynosi obecnie owoce. Najkrócej: skrajna lewica opanowała najpierw amerykańskie uniwersytety i media, później zaś, w konsekwencji, elity polityczne i finansowe.

Przesada? Chwyt retoryczny? Typowy przykład „prawicowego myślenia spiskowego"? W żadnym razie. Odwołam się tu do książki Helen Pluckrose i Jamesa Lindsaya, notabene bestsellera „Sunday Timesa", którzy to opisują dokładnie te same przerażające zjawiska, tyle że z pozycji zadeklarowanych, klasycznych liberałów. Ba, nie tylko, że występują w obronie wolności słowa, praw jednostek; nie tylko, że zastrzegają się i dowodzą, jak bardzo zależy im na powszechnej równości płci, ras, religii, systemów poglądów itd., itp., nie tylko wreszcie podkreślają ile wlezie swoje obawy przed prawicowym populizmem i możliwymi faszyzmami, ale nawet, z czym zupełnie się nie zgadzam, próbują wykazać, że obecna fala radykalizmu jest zaprzeczeniem projektu liberalnego, marksistowskiego czy nowożytnego. Ale pal sześć. Właśnie dlatego są oni (powinni być przynajmniej) wiarygodnymi świadkami.

Otóż piszą oni, że od późnych lat 60. postmodernizm (powiedziałbym – neomarksizm) całkowicie przeorał amerykańską świadomość: „Znajdujemy się w sytuacji, w której musimy stawić czoło ciągłemu zanikaniu takich kategorii jak wiedza i wiara, rozum i emocje, mężczyźni i kobiety, a także jesteśmy pod presją, by cenzurować nasz język w zgodzie z Prawdą według Sprawiedliwości Społecznej". Ideologowie – zauważają Pluckrose i Lindsay – od kilkudziesięciu lat systematycznie przejmowali władzę na uczelniach. Nauczają oni teraz, że poznanie i wiedza są formą przemocy, tak samo jak moralność, podział na dobro lub zło, naturę i antynaturę. Nie istnieją uniwersalne normy etyczne ani obiektywna prawda – to jedynie zakodowane w języku dyskursy sprawiają, że coś się wydaje słuszne lub nie. Z jednym wyjątkiem: w tym całkowicie relatywnym systemie jest jeden absolut – władza, dominacja. I jedno dobro – uciskani, ofiary opresji i wyzysku.

Z tego punktu widzenia wszystko to, co wydaje się stałe i naturalne – płeć, rodzina, hierarchia, własność, nawet godność osobowa, rozum – jawi się jako przejaw przemocy i opresji. I tak choćby rodzą się kolejne potworki, jak teoria postkolonialna (biały mężczyzna jest źródłem zła) czy teoria queer (lub teoria LGBT), zgodnie z którą można być jednocześnie mężczyzną, kobietą, osobą bezpłciową lub jakąś hybrydą, płynnym połączeniem różnych tożsamości. Pojęcia nie odnoszą się do rzeczywistości, są jedynie konstrukcjami panujących grup. Nie istnieją żadne ustalenia: ani biologii, ani nauk społecznych czy historycznych. Okazuje się, że kwestionuje się nawet prawdy matematyki czy logiki (bo pochodzą one od białych mężczyzn).

To szaleństwo nie tylko staje się coraz bardziej zaraźliwe. Jest ono też coraz bardziej totalitarne. Nowa (stara) ideologia odrzuca wolność słowa. Wystarczy, że ktoś posługuje się tradycyjnym językiem, że dostrzega choćby różnicę między kobietą a mężczyzną i staje się tym samym niegodnym wolności nienawistnikiem, którego trzeba od nowa wyedukować. Oczywiście, największym źródłem uprzedzeń i zacofania (są nienawistnikami par excellence) są ludzie religijni, bo wierzą w nienaruszalne zasady.

Liberalni autorzy (nie, nie my, prawicowi konserwatyści) piszą o tym wprost jako o obsesji, szaleństwie, szybko mutującym wirusie. I pokazują, jak krok po kroku bakcyl ten opanował cały amerykański, szerzej, również zachodni świat akademicki i intelektualny. Nie liczą się argumenty, ale emocje. Sprawiedliwość polega teraz nie na tym, by każdemu oddać to, co mu się należy, ale by wspierać uciśnionych (lesbijki, homoseksualistów, transwestytów, kolorowych, a nawet w skrajnej postaci niepełnosprawnych) kosztem rzekomo dominujących, heteroseksualnych białych. Jak to zrobić? Temu służą specjalne urzędy rzeczników równości, którzy opanowali kilkaset (tak!) uczelni. Mnożą się zajmujące się tym biura i stanowiska w koncernach, instytucjach publicznych i fundacjach.

W ten sposób pojawiła się całkiem nowa klasa ludzi. To są właśnie dziennikarze, publicyści, politycy i biznesmeni XXI w., którzy przeszli skuteczne pranie mózgu i dla których Trump i tradycyjna Ameryka to jedynie przeszkoda w budowie przyszłego, wspaniałego ładu.

Jeśli ten opis jest prawdziwy, a tak mniemam, to czekają nas ciężkie czasy. Jest to po pierwsze choroba całego Zachodu, a nie USA. Po drugie pasożyt nie zniknie sam z siebie dopóty, dopóki nie zabije organizmu, który go żywi. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

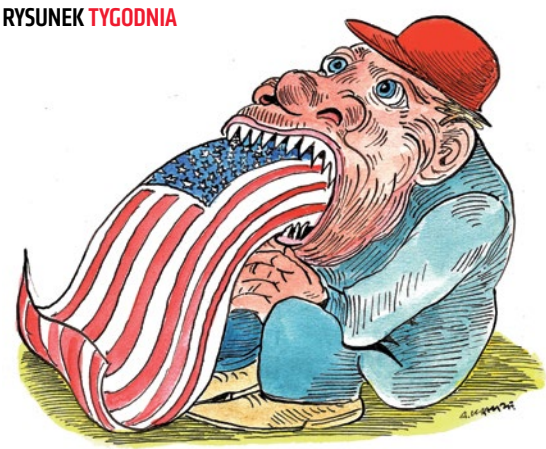

eprasa.pl c9af7342c1

TEMAT TYGODNIA

14 JACEK PRZYBYLSKI
CENZORZY Z BIG TECH
Media społecznościowe zagrożeniem dla demokracji?

18 ROZMOWA Z PROF. MARKIEM JANEM CHODAKIEWICZEM
TRUMP POWINIEN STWORZYĆ WŁASNE IMPERIUM MEDIALNE

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
JOE WAM POKAŻE!
Trumpem w PiS

26 PIOTR SEMKA
PREZYDENT SZUKA SWOJEJ ROLI

30 ŁUKASZ ZBORALSKI
MANDAT NIE DO ODRZUCENIA?

32 TOMASZ ROWIŃSKI
HODOWANIE ZBIGNIEWA S.

34 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
BESTIA ZE WSCHODU

KULTURA

36 ELŻBIETA MORAWIEC
CZY POWIEŚĆ KATOLICKA JEST MOŻLIWA?
Literatura moralnie zaangażowana

38 ROZMOWA Z ELŻBIETĄ DRACZYŃSKĄ
DODKA CENA POPULARNOŚCI

45 GRZEGORZ KONDRASIUK
„DZIADY" 2020 – „NOC DRUGA"

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 MAREK JUREK
PRZECIW UPADKOWI KOŚCIOŁA
Jak przezwyciężyć kryzys

50 ROZMOWA Z AGNIESZKĄ MARIANOWICZ-SZCZYGIEŁ
DZIECKO MUSI MIEĆ I OJCA, I MATKĘ

52 ROZMOWA ZE STANISŁAWEM MICHALKIEWICZEM
UE NADAL BĘDZIE OBEZWŁADNIAŁA PAŃSTWA CZŁONKOWSKIE

HISTORIA

54 MACIEJ ROSALAK
SZCZEPIONKA – JU-JITSU MIKROBIOLOGII
Walka z niewidzialnym wrogiem

57 LIST DO REDAKCJI
PRYMAS W STANIE WOJENNYM

ŚWIAT

60 ROZMOWA Z GEORGETTE MOSBACHER
PREZYDENT TRUMP PONOSI NAJWIĘKSZĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ
Ameryka się uzdrowi

64 MARIA KĄDZIELSKA
PRAWDZIWY POTENCJAŁ CHIN

66 MAŁGORZATA WOŁCZYK
IMIGRANCI – ŻYŁA ZŁOTA DLA LEWICY

68 TERESA STYLIŃSKA
ZANURZYĆ SIĘ W ŁACINIE

EKONOMIA

72 ŁUKASZ WARZECHA
STRACH BANKOWCA
Banki przegrywają z frankowiczami

STYL

76 JOANNA BOJAŃCZYK
CZAS ZABAW
Wielkie bale i prywatki przy Bambino

FELIETONY:
SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (58), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (74), KOMUDA (78), ZALEWSKI, MAKOWSKI (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl c9af7342c1

Drodzy Czytelnicy!

Korespondencję elektroniczną do redakcji prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Mgła mózgowa

Pod koniec ubiegłego roku odwiedził mnie sołtys z nową deklaracją śmieciową. Oczywiście, że z nowym rokiem będzie kolejna podwyżka opłat, ale szczęście naszej planety jest bezcenne, więc i ja muszę być szczęśliwa. Co prawda od kiedy państwo rozwiązało moją indywidualną umowę z przedsiębiorstwem oczyszczania (mieliśmy dwa do wyboru) i wcisnęło mnie w dziwny układ mafijny, gdzie kompletnie nie mam wpływu na cenę i jakość usług, szczęście moje jest jakby trochę mniejsze, ale trudno. „Zielony ład" to świetlany cel, do którego wszak dążymy pod przewodnictwem komisarzy UE kosztem miliardów wydawanych na różne dziwaczne dofinansowywania.

W niektórych miastach roczne opłaty za śmieci kilkuosobowej rodziny idą już w tysiące, ale to drobiazg, przecież nie po to wykreowano ekologię na nową religię, żeby na niej tracić, tylko żeby zarabiać. Jeszcze trzeba tylko zmusić ludzi, żeby wszyscy kupili sobie niemieckie piece gazowe i ogniwa, zakazać zabijania, a więc i hodowli zwierząt, a będziemy prymusem światowym tęczowej międzynarodówki.

Jedna z pierwszych akcji miłośników przyrody polegała na nazywaniu plastikowych choinek ekologicznymi i nieważne, że sformułowanie to było sprzeczne z logiką, ważne, że pomysł chwycił, a przedrostek „eko-" stał się doskonałym chwytem marketingowym. Obecnie plastikowe choinki nie są już eko, ale pojawiło się wiele jej naśladowców, którzy mają tyle wspólnego z ekologią co akumulator litowy, czyli nic. Czasy mamy jednak takie, że zamiast szkoły edukują nas Internet i reklamy, a te potrafią wmówić ludziom każdy absurd.

Uważam, że można mieć różne poglądy i nic w tym złego. Gorzej, gdy ludzie z chorym pomysłem na ekologię forsują katastrofalne dla gospodarki pomysły z powodów ideologicznych. [...]

Starsi pewnie pamiętają jeszcze punkty skupu opakowań szklanych, makulatury, złomu, starych szmat, prawda? Nawet płacili za te odpady parę groszy wtedy. Dawniej można było też oddać butelki w sklepie na wymianę, dziś jest to praktycznie niemożliwe. No więc jak to? Dawniej na odpadach mogli zarobić ci, którzy je odnosili do skupu, a dziś ludzie w mieście płacą za ich odbiór równowartość czynszu? To gdzie ta ekologia? Bo o logice nie wspomnę.

Dzisiaj aktywiści walczą o ekologię, pozwalając szkodnikom zżerać całe hektary lasów. Rozmnażając wilki i niedźwiedzie, dążą jednocześnie do ograniczenia populacji zwierząt hodowlanych. Zielone działaczki bronią własną piersią dzików przed myśliwymi, a nie interesuje ich kompletnie los tysięcy zdrowych świń, często prośnych, zabijanych z powodu ASF roznoszonego przez dziki. Podobnie było w przypadku ptasiej grypy, groźnej głównie z powodów ekonomicznych dla wielkich hodowli, których właściciele i tak zmuszeni są karmić zwierzęta antybiotykami. Proszę mi wytłumaczyć, jakim cudem opłacalna jest hodowla wielkotowarowa, gdzie od czasu do czasu wybijamy po 100 tys. zdrowych zwierząt? Zapanowała schizofrenia totalna. Ale to normalne, bo ideologia komunistyczna we wszystkich jej odsłonach zawsze posługiwała się paradoksami: prowadziła wojnę o pokój, szykując się do wojny, walczyła o prawa chłopów, zabierając im ziemię na kołchozy, i dbała o prawa kobiet, wysyłając je do kopalń i proponując aborcję. Orwell w czystej postaci. [...]

Chciałoby się zacytować słowa piosenki: „Świecie mój, daj mi żyć, z dala stój i mnie odpuść sobie". Media, krzycząc o ekologii, promują nieodpowiedzialny konsumpcjonizm. Jakość towarów wymusza ich częstą wymianę, więc ludzie wyrzucają wciąż więcej i więcej materiałów, z którymi przyroda sobie nie radzi. Nic dziwnego, że na powiększających się wysypiskach będą wybuchać nowe pożary, bez względu na to, jakie kary wymyślą im bio- i ekourzędnicy. Pozostaje nadzieja, że przeżyliśmy zabory i wojnę, to i zielony ład przeżyjemy jakoś mądrością prostego człowieka, czego sobie i wszystkim życzę.

Lucyna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express"), **Paweł Zdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Mark Wilson/Getty Images, oprac. graf. Pegaz/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Ilona Weiss, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś,** tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 57,5 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl c9af7342c1

NA PIERWSZY OGIEŃ

Dwudziestolatka patrzy w lustro

PIOTR SEMKA

24 stycznia 2001 r. w gdańskiej Hali Olivia Donald Tusk, Maciej Płażyński i Andrzej Olechowski zainaugurowali powstanie Platformy Obywatelskiej.

„Jak na Wembley" – tak entuzjazm sali (subtelnie wyreżyserowany) komentował wówczas ze sceny Donald Tusk. Nie byłby sobą, gdyby nie nawiązał do meczu polskiej kadry z Anglią w 1974 r. i do swojego image'u piłkarskiego kibica.

Platforma miała wówczas – kto dziś to pamięta? – piętno partii, która wbiła nóż w plecy szacownej swej poprzedniczce, Unii Wolności. Kto pamięta także, że w dobrym tonie były wtedy w otoczeniu Tuska kpiny z prof. Bronisława Geremka, który śmiertelnie obraził się na lidera gdańskich liberałów za kontrkandydowanie rok wcześniej w wyborach na szefa Unii Wolności?

W tamtych czasach częste było też w Platformie nawiązywanie do konserwatywnej czy nawet chadeckiej formuły nowego ruchu, której symbolem miał być Maciej Płażyński. Tusk pozował na liberała, ale takiego, który porzucił antyklerykalizm i zrozumiał, że brak dekomunizacji zaszkodził Polsce. Tylko Andrzej Olechowski w składzie „trzech tenorów" był przypomnieniem o wpływach PO w tych kręgach biznesu, którym nieźle powodziło się już w PRL.

Tamta Platforma z trzema liderami skończyła się w 2003 r., gdy na placu boju o przywództwo został sam Donald Tusk. Iluż polityków wypchnął on z orbity PO? Kto dziś pamięta Pawła Piskorskiego, Jana Marię Rokitę, Bogdana Zdrojewskiego czy Janusza Palikota? Jak to trafnie opisywał jeden z publicystów: „Rywalom Tuska co rusz zdarzało się pośliznąć na mydle i wylatywać poza PO, a sam gdański Machiavelli zawsze demonstrował w takich przypadkach dobrze wystudiowane zmartwienie".

Platforma była partią skrojoną pod Tuska i za jego rządów najlepiej radzącą sobie z uwodzeniem Polaków

Ogólnie jednak Platforma była partią skrojoną pod Tuska i za jego rządów w latach 2007–2014 najlepiej radzącą sobie z uwodzeniem Polaków. Odszedł Tusk – czar prysł. Ani Ewa Kopacz, ani Grzegorz Schetyna, ani dziś Borys Budka nie mają w sobie „tego czegoś", co czyniło Tuska tak atrakcyjnym i skutecznie zdobywającym zaufanie milionów Polaków.

Co zostało? Na pewno trwała kontrola PO nad wielkimi miastami, takimi jak Warszawa, Gdańsk, Szczecin, Poznań, Łódź czy Wrocław, w których PO okopała się na dobre. I niezmienna zostaje zimna niechęć do PiS, dziś dodatkowo wzmocniona spolityzowanym kultem Pawła Adamowicza.

Dzisiaj PO to wciąż druga partia w sondażach po PiS, ale ma groźnego rywala w postaci Szymona Hołowni. I jeszcze jedno pozostaje niezmienne od pięciu lat – cicha nadzieja, że wielki Donald wróci do kraju i zwoła „starą wiarę".

Bez Donalda bowiem – mimo plejady kolejnych liderów – jakoś nic się nie udaje… ©℗

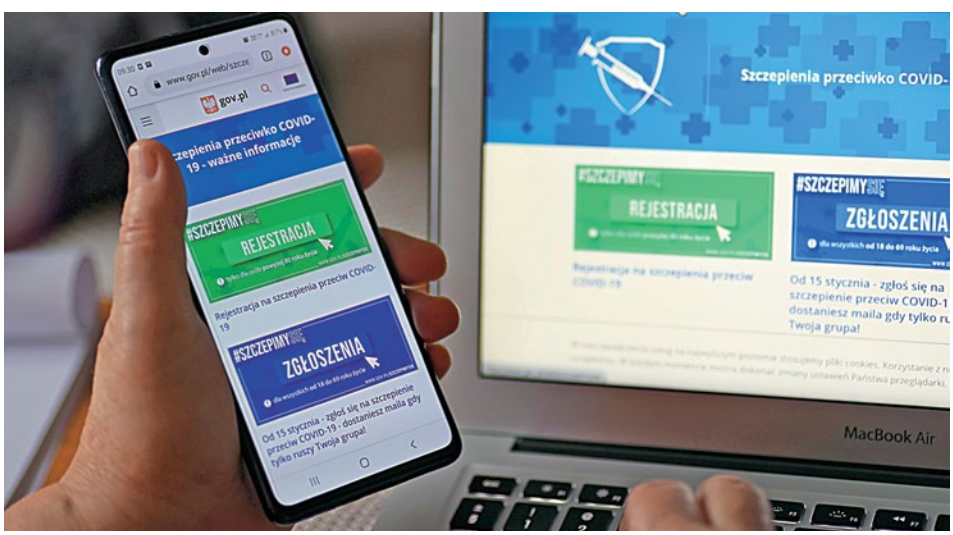

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

SZCZEPIENIA DLA SENIORÓW

W piątek ruszyła rejestracja na szczepienia przeciw COVID-19 dla seniorów, którzy skończyli 80 lat. Seniorzy mogą rejestrować się na trzy sposoby: telefonicznie, przez Internet (na stronie pacjent.gov.pl) lub w punkcie szczepień. Od 22 stycznia zarejestrować się będą mogły osoby powyżej 70. roku życia. Według deklaracji rządu szczepienia dla zarejestrowanych seniorów rozpoczną się 25 stycznia. Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", w Polsce wykonano już ponad 400 tys. szczepień. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl c9af7342c1

PiS rozwiązany w Wałbrzychu

Organizacja terenowa Prawa i Sprawiedliwości w Wałbrzychu została rozwiązana. To efekt opublikowania nagrań rozmów dolnośląskich działaczy tej partii. Ujawniła je regionalna telewizja Dami.

Chodzi o konflikt miejscowych działaczy PiS. Zaczął się po tym, gdy szefową lokalnych struktur partii przestała być Anna Zalewska. Po tym, jak została europarlamentarzystką, schedę po niej formalnie przejął Michał Dworczyk. Na swoją prawą rękę w regionie wyznaczył ówczesnego wicewojewodę dolnośląskiego – Kamila Zielińskiego. Ta nominacja nie przypadła do gustu lokalnym działaczom. Napisali protest do szefa Jarosława Kaczyńskiego.

Jednym z tych, którzy podpisali petycję, był Rafał Łoziński. I to on nagrał dwóch partyjnych kolegów – Bartłomieja Grzegorczyka (były doradca zastępcy wojewody) oraz Janusza Czyża (ojczyma Kamila Zielińskiego), gdy próbowali wywrzeć na nim presję w sprawie poparcia petycji.

– Ja zawsze stałem z boku PiS i zawsze mi się to nie podobało – mówi na nagraniu Czyż. – Mówiłem o tych ludziach – tacy sami ludzie jesteśmy jak ci w PO czy SLD, niczym się nie różnimy i każdy jest pazerny, każdy by coś chciał, tylko różnimy się szefami, którzy, k…, mają jakieś tam, wiesz…, bo Kaczyński to jest dla mnie wzór i tyle – dodawał. Groził też Łozińskiemu: – Ja doceniam, że jesteś odważny chłop i nie spier..… jak reszta, ale nie prowokuj, bo, k…, człowieku, zniszczą cię. Nie działaj przeciwko, stań sobie, k…, grzecznie z boku.

– Jeden dał ci pracę, drugi może ci ją odebrać – mówił na nagraniu Bartłomiej Grzegorczyk.

Po ujawnieniu tych nagrań Krzysztof Sobolewski, szef komitetu wykonawczego PiS, poinformował na Twitterze o rozwiązaniu organizacji terenowej PiS w Wałbrzychu. Wszystkich członków tamtejszego PiS wykluczono też z partii. ©℗

Łukasz Zboralski

ODWOŁANO SZEFA KRS

Krajowa Rada Sądownictwa w ubiegłym tygodniu odwołała swojego przewodniczącego – Leszka Mazura. Z pełnienia funkcji został też odwołany rzecznik prasowy Maciej Mitera.

Według nieoficjalnych informacji w KRS zaostrzył się konflikt między przewodniczącym Mazurem a grupą członków, którzy korzystali z dodatkowych dochodów. „Dziennik Gazeta Prawna" ujawnił, że niektórzy członkowie Rady zamiast pracować w komisjach w tych dniach, gdy wypadają posiedzenia plenarne, spotykali się w innych terminach. Dzięki temu zamiast jednej diety otrzymywali dwie. W posiedzeniach miał brać udział poseł PiS Arkadiusz Mularczyk, który jest członkiem KRS. Miał otrzymać ponad 11 tys. zł brutto za te prace.

Jak ujawnił w mediach sędzia Mitera, wniosek w sprawie jego odwołania złożył sędzia Marek Jaskulski. Szef KRS i rzecznik nie brali udziału w głosowaniu w ich sprawie, które zostało utajnione.

Jako oficjalny powód odwołania Leszka Mazura z funkcji szefa KRS wskazano „utratę zaufania". ©℗ ***(luz)***

REKLAMA

*Serdecznie dziękujemy **pani dr Dorocie Furmanek-Kowalskiej** z Wrocławia za obecność i wsparcie podczas długotrwałej choroby.*

A także

- ***pani dr Barbarze Engel** – ordynator*
- *panu dr. Mirosławowi Kastelikowi*
- *pani dr Renacie Mroziak*
- *panu dr. Pawłowi Rehanowi*
- *pozostałym lekarzom*
- *paniom pielęgniarkom i całemu zespołowi Oddziału Kardiologicznego Szpitala Specjalistycznego w Legnicy*
- *oraz pani dr Annie Engel z Krakowa*

*dziękujemy za wyjątkową opiekę podczas ostatnich tygodni – okazane ogromne serce, zaangażowanie i wszelkie dowody dobroci i życzliwości podczas choroby **śp. Bernarda Marka Adamowicza** – kochanego męża, brata, taty i dziadka.*

Rodzina

eprasa.pl c9af7342c1

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Sublimowanie gwiazdek

Ostatnie „zablokowanie Warszawy" przez Strajk Kobiet, w którym udział wzięło 11 „osób protestujących", wyciszenie w mediach Marty Lempart i Klementyny Suchanow tudzież ich żenująca szarpanina z posłanką Dziemianowicz-Bąk i niebinarnym macho „Margotem" – wszystko to w Piotrze Pacewiczu, szefie serwisu OKO.press, obudziło poetę. „Gasnący płomień rewolucji" – załkał Pacewicz. Ale zaraz wziął się w garść. Gasnący? O, nie! Rewolucja nie kończy się tak łatwo! „Złość się odkłada, refleksja się kumuluje"!

W roli rozmówcy Pacewicza i żywego dowodu na to, że płomień rewolucji nie gaśnie, wystąpiła Agnieszka Czerederecka – nowa twarz Strajku Kobiet, jak się zdaje, mająca zastąpić w lewicowo-liberalnych kręgach cokolwiek już zużyte i ośmieszone liderki. Obficie leje ona w pacewiczowe serce otuchę: wydaje się, że rewolucja przycichała, ponieważ przeszła na kolejny etap. Jest to etap pracy intelektualnej. Jak to, również niezrównaną frazą, ujmuje Czerederecka: „Wychodzimy od tego, co nam wyszło podczas protestów, i szukamy rozwiązań".

Szuka rozwiązań 14 seminariów tematycznych, do pracy w których zgłosiło się 800 „ekspertek i ekspertów". Tematy – jak łatwo się domyślić – kluczowe. Prawa LGBT, prawa zwierząt, prawa reprodukcyjne, last but not least – „defaszyzacja Polski". Aż słychać ten chrzęst zwojów mózgowych, które dwa wulgaryzmy i osiem gwiazdek, jakie „wyszły podczas protestów", sublimują w nowe intelektualne i ideowe prądy „obozu demokratycznego".

Co prawda, od sześciu lat słyszę o równie intensywnej intelektualnej pracy dokonywanej przez „kluby obywatelskie" PO, lewicowe think tanki w rodzaju Instytutu Obywatelskiego czy Instytutu Daszyńskiego, KOD też zdaje się przeszedł kiedyś tak jak teraz Strajk Kobiet do działań „intelektualnych", i wszystko to jakoś bez efektu. Ale ufam, że nowe, różowo- i niebieskowłose „ekspertki" z protestów sięgną, gdzie tamci nie sięgnęli.

Refleksją, że mądry człowiek najpierw myśli, a potem działa, a nie próbuje post factum dorobić do swych działań jakiś sens, nie podzielę się tutaj, bo wiem z góry, że to transfobia, dziaderyzm i faszyzm. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Pornonacjonalizm „GW"

Aleksandra Sobczak, wicenaczelna „Gazety Wyborczej", uczciła Nowy Rok, ogłaszając nowy „sukces naszych rodaków": „polski thriller erotyczny zdeklasował konkurencję i jest największym światowym hitem Netflixa w 2020". Dzieło opowiada, jak „włoski gangster uciska piękną Polkę", której względy „próbuje uzyskać m.in. gwałtownym seksem". „Wyborcza" z satysfakcją zawiadamia, że ani zarzuty „fetyszyzowania gwałtu" i „promowania przemocy w związku", ani nawet protesty „feministycznego francuskiego kolektywu" Sióstr-Czarownic (Collectif Soeurcières) nie przeszkodziły w „sukcesie naszych rodaków". Na psa urok, dali radę!

Żarty żartami, ale ktoś zapyta, gdzie są granice liberalnej obłudy, jak można deklarować walkę z „przemocowymi stereotypami", głosić prawa kobiet i jednocześnie zachwycać się „uciskiem pięknej Polki"? Skoro jednak tzw. aborcja ma być źrenicą wolności, to nie ma przeszkód, by pornografia była królową sztuk. W wywrotowej działalności zawsze pomocna była stara, dobra dialektyka. Jeszcze niedawno twórczyni nowego „sukcesu naszych rodaków" pojawiała się w „Gazecie Wyborczej" w zupełnie innym charakterze. To do niej kierował zainteresowanych Piotr Głuchowski w swym sporze z Sylwestrem Latkowskim o to, kto naprawdę odkrył horror w sopockiej Zatoce Świń, prowadzony tam handel małoletnimi dziewczętami. Głuchowski apelował, by o kulisy tej sprawy pytać autorkę wychwalanego dziś przez „Wyborczą" dzieła, i przytaczał jej oświadczenie: „Nigdy nie ukrywałam swoich konotacji z Zatoką Sztuki, bo [gdybym coś ukrywać] miała, to raczej w mojej pierwszej książce nie znalazłby się opis tego, że byłam menedżerem klubów nocnych. Każdy ma jakąś pracę".

A teraz się okazuje, że ta „praca" rozsławia „ten kraj". Trzeba mu jeszcze skonstruować nową tożsamość, nad czym „Wyborcza" sama z wielkim zaangażowaniem pracuje. I właśnie znalazła sobie do tego nową Wieszczkę. ©℗

eprasa.pl c9af7342c1

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Pinokio hermafrodytą

Superpostępowa Emma Dante napisała właśnie książkę pod tytułem: „I potem żyli długo i szczęśliwie". Jest to zbiór najbardziej znanych bajek świata napisanych od nowa. Zgodnie z wymogami poprawności politycznej i najnowszymi trendami teorii genderowskich.

Wydawałoby się, że w imię tego szaleństwa z literaturą i kulturą zrobiono już wszystko, weryfikując dzieła i arcydzieła literatury jak przeszłość w Ministerstwie Prawdy Orwella. Bohaterom antycznych tragedii zmieniano płeć, a Eurypides, 25 wieków po śmierci, stanął przed sądem kapturowym szurniętych amerykańskich progresistów i został skazany za męski szowinizm. We Włoszech historia Pana Jezusa nie pasowała postępowym nauczycielkom, więc napisały nowe jasełka odgrywane przez dzieci, z których wynika, że był kosmitą. Na indeks dzieł zakazanych wciągnięto „Chatę wuja Toma" i naszego „Murzynka Bambo".

Pani Emma Dante napisała od nowa „Pinokia", świętość włoskiej i światowej literatury dla dzieci. W nowej wersji chłopiec z drewna jest hermafrodytą, czyli obojnakiem. A z domu uciekł w poszukiwaniu swojej tożsamości płciowej. Naturalnie to ukłon w stronę teorii, że decyzję o tożsamości płciowej ludzie podejmują pod koniec dojrzewania albo i później. Inną ciekawą zmianę pani Dante wprowadziła do „Śpiącej Królewny". W postępowej wersji Śpiąca Królewna nie zbudziła się po pocałunku księcia, ale po pocałunku księżniczki. Zapewne w imię dowartościowania mniejszości seksualnych. Książeczka pani Dante, jak głosi reklama, świetnie nadaje się dla dzieci od lat ośmiu. Trudno w tej sytuacji uniknąć podejrzeń, że chodzi o indoktrynację najmłodszych. W tym wieku nie wiedzą przecież nic o seksualności, a tym bardziej o mniejszościach seksualnych.

Pewnie mało kto by o tej książeczce usłyszał, gdyby nie to, że inna postępowa niewiasta, Serena Bortone, zaprosiła autorkę do swojego dość popularnego cyklicznego programu na antenie publicznej telewizji RAI. Nadawany jest po południu, gdy przed telewizorami często zasiadają dzieci. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Pars pro toto

Gdybym za każdego tweeta, w którym politycy łopatologicznie porównują sytuację w Polsce do wydarzeń w USA, dostawał dolara, byłbym milionerem. „Usunięcie konta Donalda Trumpa z Twittera to czytelna wskazówka dla tych wszystkich, którzy tworzą treści dla TVP Info i Wiadomości TVP. Lepiej rzucić taką pracę, niż być jak Trump" – napisał Marcin Kierwiński. Niestety i ja, i państwo robimy to pro publico bono.

W ogóle wiele było ostatnio ciekawych porównań. „Królowa Elżbieta i książę Kentu przyjęli szczepionkę. Bezczelni ci brytyjscy celebryci" – stwierdził Tomasz Lis. „Po miesiącu od rozpoczęcia szczepień, mając odpowiednio 94 i 99 lat oraz będąc w większej liczbie grup ryzyka niż jest liter w alfabecie. Ale poza tym porównanie prawie trafione. A, jeszcze nie książę Kentu, tylko Edynburga. Chociaż Kentu ma 85 lat, więc też mógłby się załapać" – odpowiedział mu Jakub Krupa.

Wróćmy na nasze podwórko. „Orlen ma dziś prawie monopol na rynku mediów lokalnych, własne drukarnie, olbrzymią liczbę portali internetowych, własny dom mediowy i olbrzymią przewagę w sieci dystrybucji, ale tu nie ma żadnego problemu. Jestem pewien, że Orlen prezentował »otwarte i konstruktywne podejście«" – stwierdził Bartosz Węglarczyk. A co, gdyby zastosować pewien eksperyment myślowy? „Orlen ma dziś" zamienił w bliźniaczo podobnym tweecie na „Niemcy mieli" Rafał Otoka-Frąckiewicz. Polecam przeczytać go raz jeszcze, właśnie w takiej wersji.

I jeszcze taka zabawa. „Ela przyjechała do Waszyngtonu szturmować parlament, bo robi rewolucję. Niestety ku jej zdumieniu została potraktowana gazem przez policjanta. Jest zaszokowana" – napisał również Bartosz Węglarczyk. Tym razem zmieńmy „Ela" na „Marta", a „Waszyngton" na „Warszawę".

Ponieważ popadał śnieg, na koniec zimowe klimaty. „Nie wspomagam branży turystycznej na Kubie. Nie zaszczepiłem się na koronawirusa po znajomości. Nie wpisałem się na listę zawodowych sportowców-narciarzy. Czuję się coraz bardziej obco w tym Sejmie" – wyznał Adrian Zandberg. „Straż miejska powinna wyłapywać morsujących bez selfie" – ogłosił Michał Majewski. I jak się tu z nimi nie zgadzać? ©℗

eprasa.pl c9af7342c1

FOT. PAWEŁ GROMADA

NIE MA JAK KULTURKA

Adam Darski, bardziej znany jako Nergal, a jeszcze bardziej jako eksnarzeczony Dody, znów ma swoje pięć minut. Wszystko za sprawą nagrania z 50. urodzin Piaska. Piasek świętował urodziny na imprezie u Nergala, a ten nagrał, jak zgromadzeni na niej goście krzyczą entuzjastycznie: „J...ć biedę!" oraz „J...ć PiS i Konfederację!". Gdy wyciekło nagranie, o sprawie zrobiło się głośno. Sam Nergal uważa jednak, że to „gównoburza w szklance wody". „Rozumiem, że w związku z zamrożeniem życia publicznego mamy w tzw. branży »sezon ogórkowy«, ale żeby z kilkusekundowego klipu, na którym kilku dorosłych ludzi bawi się szampańsko z okazji 50. urodzin jednego z nich, robić taki dym? Że co? Że artysta X przeklął? Że artystka Y użyła w żartobliwym tekście słowa »dragi«? Że »j...ć PiS«? Przecież to już niemalże zwrot grzecznościowy!" – tłumaczył Nergal w rozmowie z portalem Wp.pl. Dopytywany o ów zwrot grzecznościowy Nergal dodał, że wita się nim codziennie w warzywniaku. „Jak wchodzę codziennie do lokalnego warzywniaka, używam go zamiast »dzień dobry« i w ten sam sposób mi pani z uśmiechem odpowiada" – wyjaśnił. I pewnie jeszcze drzwi do warzywniaka same mu się otwierają na to hasło, a zakupy to wiadomo, że są wtedy za darmo. Jak się bowiem nie lubi PiS, wszystko jest prostsze.

JAK W PODSTAWÓWCE

Monika Zamachowska, która nie tak dawno musiała pożegnać się z pracą w TVP, pochwaliła się w Internecie, że przebywa właśnie w Dubaju, gdzie robi sobie piękne fotki i cieszy się życiem. Postanowiła opowiedzieć też wszystkim, żeby nie dociekali, skąd ma pieniądze, bo pracuje od 18. roku życia. – Nigdy nie miałam poważnych problemów finansowych. Jeśli o nich czytaliście w bauerowskich pisemkach za 1 zł, to możecie już o tym zapomnieć, jak o tzw. faktach prasowych, stworzonych na potrzeby wierszówki przez redaktorki bez nazwisk – zapewniła. Dodała też, że finansowo ma się teraz lepiej, niż gdy pracowała w telewizji. – 25 lat pracy w ogólnopolskiej telewizji, niegdyś zwanej publiczną, sprawiło, że tak długo, jak będę zdrowa na ciele i umyśle, na chleb mi nie zabraknie. Wyrzucenie mnie nadszarpnęło bowiem moją godność i dobre samopoczucie, ale nie pozbawiło mnie doświadczenia ani kompetencji zawodowych. Dlatego od roku pracuję i zarabiam więcej niż przez ostatnie 10 lat w TVP. I to mimo pandemii – pochwaliła się, dodając, że „trochę jej głupio się z tego tłumaczyć". Jakby ktoś nie skumał, to taki numer w stylu „pochwalę się, jak mi teraz dobrze, żeby tym w TVP było głupio i żeby żałowali". Wszyscy znamy te numery! Tak z okolic podstawówki.

TRAGICZNA UCZENNICA

Celebrytka Joanna Przetakiewicz wyznała, że była kiepską uczennicą, która często wagarowała i nie chodziła na geografię oraz matematykę, bo nie lubiła tych przedmiotów. W liceum musiała nawet powtarzać klasę.

„Nie żałowałam tego nigdy. Byłam tragiczną uczennicą. Uratowało mnie to, że byłam świetna humanistycznie, to odpuszczano mi przedmioty ścisłe i uważam, że taki cykl nauki jest słuszny. Mimo że beznadziejnie się uczyłam i wagarowałam, to nie byłam typem aroganckiej dziewczyny, która jest wulgarna i wszyscy się jej boją. Mnie nauczyciele mimo wszystko lubili, w związku z tym miałam tę wzajemną sympatię, która jest na wagę złota" – opowiada portalowi Plotek.pl. Trochę nas zdziwiło, że nieuctwo może być powodem do chwały, ale dopuszczamy możliwość, że w show-biznesie panują inne zasady. Tutaj, jak wiadomo, brak poczucia wstydu jest najlepszą gwarancją sukcesu.

KOSMOS I KARTY KREDYTOWE

Daria Ładocha, blogerka kulinarna, a później także prowadząca jakiś program w TVN, w wywiadzie dla popularnego w Internecie stand-upera Paczesia postanowiła opowiedzieć o szczegółach swojej współpracy z samą Edytą Górniak. – Pracowałam długo z Edytą, więc mam parę anegdot do opowiedzenia. Jak wchodziliśmy do pracy, musieliśmy zostawiać karty kredytowe na zewnątrz pomieszczenia, ponieważ karty miały chipy, które łączyły się z kosmosem, i wszyscy wiedzieli, gdzie jest Edyta – zdradziła Ładocha. Teraz już bardziej rozumiemy strach Edzi przed szczepionką na COVID. Ona po prostu boi się, że teraz każdy zaszczepiony poprzez swój chip, który łączy się z kosmosem, będzie mógł mieć kontakt z jej kartami kredytowymi. Że też nikt wcześniej na to nie wpadł! ©℗

FOT. TOMASZ URBANEK/ODTVN/EAST NEWS

eprasa.pl c9af7342c1

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, wielka drama i wielkie halo o to, że kilkanaścioro najcenniejszych dla tego kraju celebrytów, aktorów i innych kluczowych dla funkcjonowania państwa osób zostało zaszczepionych na COVID-a poza kolejką.

Naszym zdaniem szczepienie celebrytów aktywowało w społeczeństwie gen zawiści – iż inni mogli, a my nie. To takie typowo polskie – ta zazdrość, iż ktoś inny ma lepiej, a dlaczego ma lepiej? Bo sobie zasłużył!

Naszym zdaniem to w ogóle harmonogram szczepień powinien być nieco inny, najpierw powinny zostać zaszczepione wszystkie mniejszości, następnie służba zdrowia, a na końcu uprzywilejowani biali heteroseksualni mężczyźni, iżby chociaż raz mogli się przekonać, jak to jest być na samym końcu kolejki do zasobów!

Inny wielki dramat rozegrał się niedawno pod skocznią cośtamcośtamschanze w Titisee-Neustadt, gdzie polski skoczek Kamil Stoch w szalonym patriarchalnym uniesieniu pokazał wszystkim, że on skacze najdalej i wygrał zawody.

Podczas dekoracji, kiedy Stoch stał na najwyższym stopniu podium, organizatorzy nie zagrali mu hymnu i o to teraz jest afera. Polacy mają wielkie pretensje do Niemców, że jak to, że nie uszanowali, nie wypada itd.

A tymczasem odpowiedzmy sobie szczerze: Czy ledwie parędziesiąt lat po wojnie to wypada, iżby grać polski hymn na niemieckiej ziemi? Czy na pewno jest to coś, co nie naruszyłoby wrażliwych i delikatnych stosunków?

Już w ogóle pomijając to, że Stoch tam wygrał, zamiast wycofać się, dać walkowera czy coś. A niemiecki sanepid też mógł nałożyć kwarantannę, a tego nie zrobił, dając polskim skoczkom szansę na samodzielne wycofanie się, z czego oczywiście nie potrafili skorzystać.

Jakbyście myśleli, że na tym koniec dramatu prawaków, to jednak nie xD Otósh prawica płacze nad wolnością słowa, na którą rzekomo zamachnęły się media społecznościowe takie jak Fejsik czy Twitter, kasując konta Donalda Trumpa. A przecież powszechnie wiadomo, iż wolność wolnością, ale to nie będzie tak, że każdy będzie sobie pisał, co tam mu się wydaje.

Zresztą, jak już wszyscy będą mieli takie same poglądy, to wolność słowa nie będzie potrzebna, bo każdy będzie wiedział, co ktoś inny myśli. To tylko teraz takie przejściowe problemy, iż nie wszyscy jeszcze myślą tak samo xD ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

W sprawie nart

Dzień dobry, pani Jadwigo. Andrzej mówi.
O! Dzień dobry. Czemu zawdzięczam?...

Ja chciałem tak prywatnie dwa słowa w sprawie tych nart...
No dobrze, ja wiem, że nie powinnam była, ale już mleko się rozlało, a poza tym hejterzy...

Chwileczkę, chyba się nie rozumiemy. Ja trochę inaczej tu podchodzę. Pogoda była?
Owszem, była... Ale nie rozumiem...

Śnieg był?
Tak, nawet naśnieżać sztucznie nie było trzeba.

No widzi pani. I teraz chodzi o to, jak ja bym się mógł też jakoś załapać, bo sezon się skończy, śnieg się stopi, a ja sobie nie pojeżdżę. Pani pojeździła, prawda?
Ja naprawdę nie wiem, dlaczego mnie dopisali na tę listę. Ja wcale...

Pani Jadwigo, bądźmy poważni. Jeździła pani czy nie?
No... może raz. Góra dwa razy zjechałam.

Czyli minimum pięć. Pani mi przyśle mejlem, co tam trzeba zrobić, żeby mieć tę licencję. Wie pani, że ja sobie dobrze radzę, to chyba nie będzie problemu? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Ja zanim się szczepiłem przypadkowo, mogę powiedzieć bardzo śmiało, że na temat szczepień publicznie mówiłem tysiące razy, napisałem na ten temat felieton"

KRZYSZTOF MATERNA, *aktor, pytany w TOK FM, czy ma sobie coś do zarzucenia w związku z tym, że zaszczepił się poza kolejnością na COVID-19*

eprasa.pl c9af7342c1

Jeśli myślicie, że spór o tzw. praworządność skończył się na ostatnim szczycie Unii Europejskiej, to jesteście w mylnym błędzie. Owszem, premier Mateusz z bratankiem Orbánem wywalczyli kompromis, ale żeby wszedł w życie, pakt między lutym a kwietniem powinny ratyfikować jeszcze parlamenty krajowe. Wszystkie 27. A to łatwe nie będzie.

Ciężko będzie w tej sprawie w Polsce, gdzie słowa „Zjednoczona Prawica" to dziś oksymoron. Coś jak gorący lód. Więc już teraz możemy wam zagwarantować, że jedność prawicy w kwestii ratyfikacji zostanie wystawiona na ciężką próbę, bo Zbyszek Zizou Ziobro rozpowiada, że nie ma takiej siły, która zmusiłaby Solidarną (znów oksymoron) Polskę (w skrócie SolPol) do zagłosowania za tzw. kompromisem.

A teraz to, co najpiękniejsze. Eine Totalopposition będzie musiała zdecydować w głosowaniu, czy poprzeć PiS, czyli zagłosować za mateuszowo-orbánowym kompromisem, czy być przeciw i w ten sposób pośrednio poprzeć Ziobrę. Borysławie, Włodku, Kasiu – witamy w gronie eurosceptyków.

Oczywiście Zizou ma pełną świadomość, że wyłamanie się z dyscypliny grozi rozpadem koalicji. Ma jednak również świadomość, że w przypadku przedterminowych wyborów bez problemu znajdzie koalicjanta w postaci eurosceptycznych z zasady konfederatów. Konfederaci oczywiście mają pełną świadomość, że będzie to małżeństwo z rozsądku. Albowiem szanse na wejście do parlamentu zarówno SolPolu, jak i Konfederatów w pojedynkę są raczej umiarkowane. Znacząco jednak rosną przy matrymonium.

Tymczasem w dużym pałacu. Jak usłyszeliśmy, otoczenie prezydenta Andrzeja Sebastiana i on sam mają wielką ochotę zajmować się nie tylko ciężką pracą w celu znalezienia PAD-owi międzynarodowej synekury po drugiej kadencji. Kwestia rządu dusz i konstruowania w przyszłości nowego kształtu prawicy pod nowym przywództwem też jest tam szeroko dyskutowana. Wszyscy są bowiem przeświadczeni, że Andrzejowi uda się to, czego nie potrafił ani Olek Goleń Kwaśniewski, ani Lech TW „Bolek", ani tym bardziej Bronisław I Wąsaty – z wpływów z emerytury mieć wpływ na sytuację w kraju.

Prezydent Andrzej Sebastian wywalił, jak wiadomo, do kosza ustawę działową. Wszyscy przy tej okazji gadają o nadzorze nad Lasami Państwowymi oraz o błędach formalnych, a nikt nie zwrócił uwagę, że wskutek weta wstrzymane zostało także powstanie Narodowego Centrum Sportu, które miało już działać od 1 stycznia, ale nie działa. I działać na razie nie będzie. Może dobrze? W sumie to byłoby już trzecie Ministerstwo Sportu, oficjalnie niby-nieistniejące. Pierwsze inkorporował wicepremier Gliński do kultury. Drugie buduje Jacek Sasin w aktywach państwowych. Trzecie to NCS.

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Smutne wieści z Krajowej Rady Sądownictwa, gdzie niespodziewanie odwołano z funkcji przewodniczącego Leszka Mazura. Chyba nieco na pałę, bo nie dość, że bez podstawy prawnej, to jeszcze ze skutkiem wprowadzającym bardak i próżnię. Słyszeliśmy w dużym pałacu, że prezydent Andrzej Sebastian nie akceptuje tego, co stało się w KRS, więc burzliwy ciąg dalszy nastąpi. Zaraz na początku tygodnia ma w tej sprawie szeroko konsultować się prezydencki minister Andrzej Dera.

Kończąc tematy prezydenckie: zapytaliśmy jedną z wysoko umieszczonych w PiS wiewiórek, co Nowogrodzka sądzi o kandydaturze na rzecznika praw obywatelskich wysuniętej przez prezydenta Andrzeja Sebastiana. Dla zapominalskich, chodzi o Jana Marię Piotra Władysława Rokitę. „Cóż – odparła wiewiórka – kandydatura Piotra Wawrzyka jest tak dobra, że w naturalny sposób skłania do przedstawiania kontrkandydatur". Kurtyna.

Uwaga, ogłaszamy konkurs! Pilnie poszukiwany jest nauczyciel etyki dla Krzysztofa Materny. Gdyż, jak oświadczył Materna, etyki nie będzie go uczył Adam Niedzielski, minister zdrowia „kłamliwego rządu" – doprecyzował Materna. Pozostaje pytanie: To kto go będzie uczył? Wymagania kandydatów są znane. Powinny być to osoby wybornie znające się na etyce oraz będące kiedyś ministrami jakiegoś niekłamliwego rządu. Przychodzi nam do głowy tylko jeden kandydat: Sławek Nowak.

Sławek Nowak ma dodatkową zaletę. Jako że siedzi za kratkami co najmniej do kwietnia, będzie miał sporo czasu na nauczanie. Areszt nie jest tu żadną przeszkodą, bo i tak w Polsce króluje nauka zdalna. Etyka on-line, lekcja pierwsza: nie będziesz mówił fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu. Krzysztof Materna pilnie zapisuje, Sławek Nowak wzdycha, bo martwi się tym, że świadectwa bliźnich przeciw niemu okazały się prawdziwe.

Jak wiadomo, Katarzyna Lubnauer ogłosiła z kolei konkurs na jakieś nowe DNA osoby szczuplejszej, które chciałaby dostać wraz ze szczepionką na koronę. Nie mamy takiego DNA, ale mamy przewrotny pomysł: A gdyby wraz z preparatem Pfizera wstrzykiwać pacjentom gen patriotyzmu? Żałujemy, że nie wpadliśmy na to wcześniej. Bo gdyby pomysł realizować od początku szczepień, to pomyślcie, jak bardzo po ujawnieniu prawdy niemile zaskoczeni byliby celebryci, wierchuszka tefauenu i inne funfle rektora WUM.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9af7342c1

25 STYCZNIA 2021 R. W „DO RZECZY" DODATEK

50-lecie odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie

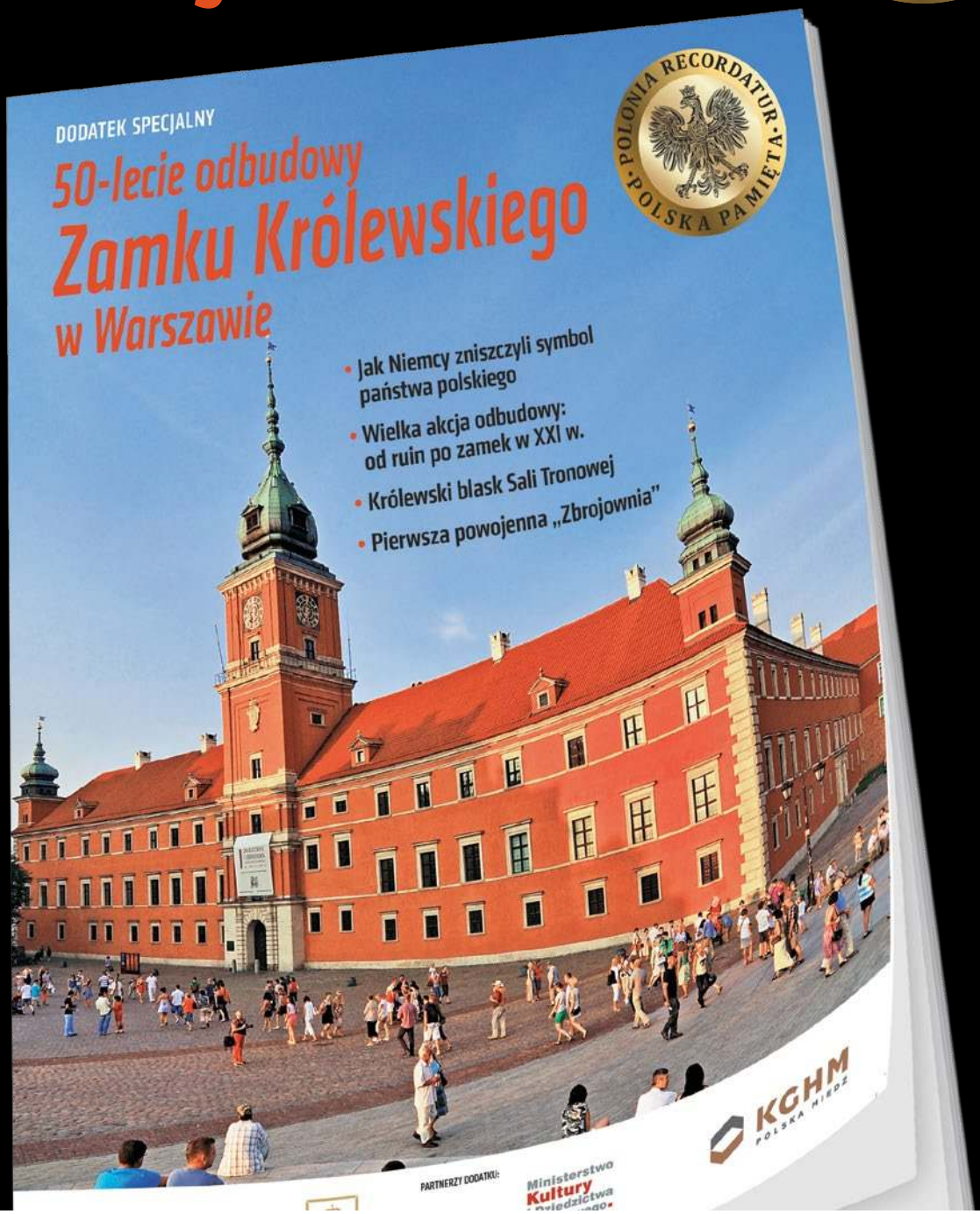

PARTNERZY DODATKU:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

KGHM POLSKA MIEDŹ

eprasa.pl c9af7342c1

Mark Zuckerberg to główny założyciel i dyrektor Facebooka, największego na świecie serwisu społecznościowego FOT. MANDEL NGAN/POOL/AP/EAST NEWS

Cenzorzy z Big Tech

Jacek Przybylski

Cenzorskie zapędy szefów mediów społecznościowych nie podobają się nie tylko milionom użytkowników, lecz także czołowym europejskim politykom i amerykańskim inwestorom. Po ogłoszeniu decyzji o zablokowaniu konta Donalda Trumpa spadła więc np. giełdowa wycena Twittera

Zanim 13 stycznia Izba Reprezentantów ze względu na „jednoznaczne zagrożenie dla kraju, który wszyscy kochamy" przegłosowała rezolucję o wszczęciu procedury impeachmentu wobec urzędującego prezydenta Donalda Trumpa, szefowie najpopularniejszych globalnych mediów społecznościowych, pozostając poza jakąkolwiek demokratyczną kontrolą, postanowili usunąć ze swoich „standardów społeczności" wolność słowa.

Co prawda część lewicowych komentatorów z satysfakcją przyjęła decyzję o zawieszeniu kont prezydenta Trumpa przez takie serwisy jak Twitter, Facebook, Instagram, Snapchat, Twitch oraz YouTube. Większość obserwatorów nie ma jednak wątpliwości, że wcale nie ma się z czego cieszyć. „Uciszenie" prezydenta Stanów Zjednoczonych to ogromny cios dla wolności słowa.

Jeśli bowiem można bezkarnie i bez żadnych prawnych konsekwencji zamknąć dostęp do kont wybranego w wyborach powszechnych prezydenta największego mocarstwa na świecie, to można zbanować każdego z dowolnego powodu i w dowolnej chwili.

Ci, którzy dzisiaj się cieszą z zablokowania Trumpa, muszą mieć więc świadomość, że w przyszłości w podobny sposób „uciszony" może być nie tylko ich faworyt polityczny, lecz także ktoś z ich znajomych czy oni sami.

eprasa.pl c9af7342c1

Bezkarne cenzorskie zapędy takich serwisów jak Twitter, Facebook, Instagram, Snapchat, Twitch oraz YouTube to również potężne uderzenie ze strony Big Tech w standardy światowej demokracji. A także sygnał ostrzegawczy dla miliardów ludzi, którzy z najpopularniejszych portali społecznościowych uczynili główne źródło informacji o świecie.

Jednocześnie władze w Waszyngtonie, nie reagując na tak radykalne działania Facebooka, Twittera, Google czy Amazona, straciły moralne prawo do pouczania kogokolwiek na świecie o standardach wolności słowa. Trudno wyobrazić sobie członków administracji prezydenta Joe Bidena przekonujących dyktatora Korei Północnej, przywódcę Chin czy irańskich ajatollahów, że nie mogą zabraniać obywatelom wypowiadania swoich poglądów, skoro elity Partii Demokratycznej nie zrobiły nic, gdy technologiczni giganci postanowili wyeliminować zaciętego wroga nowo wybranych władz w Waszyngtonie.

Szefowie Big Tech, zezwalający na wolność słowa tak długo, jak długo dane wypowiedzi są zgodne z ich ideami, postępują bowiem dokładnie tak samo jako przedstawiciele najbardziej totalitarnych reżimów na świecie. Sowiecka czy faszystowska cenzura również zezwalała na publikowanie wszystkich informacji, jeśli tylko były one zgodne z aktualną linią partii. Cenzorzy największych mediów społecznościowych zdają się niestety podążać w tym samym kierunku.

Świadczyć o tym może coraz dłuższa lista ważnych polityków skarżących się na cenzorskie zapędy Facebooka czy Twittera. „Wszyscy możemy zostać wyłączeni" – ostrzegła minister sprawiedliwości Węgier w anglojęzycznym poście opublikowanym w zeszłym tygodniu. „Jak dotąd globalne firmy technologiczne ograniczały jedynie wolność słowa, ale kampania ideologiczna prowadzona w Ameryce udowadnia, że ludzie mogą nawet zostać odcięci od przestrzeni internetowej. Z miejsca, w którym żyją na co dzień, zarządzają swoją pracą i swoimi przedsiębiorstwami, gdzie przechowują wspomnienia i utrzymują kontakt z przyjaciółmi, ze znajomymi oraz z najbliższymi" – zauważyła Judit Varga, która już wcześniej skarżyła się, że Facebook ogranicza zasięg jej postów (czemu Facebook zaprzeczył).

Decyzję o zablokowaniu konta Trumpa skrytykowali nie tylko konserwatyści, lecz także zagorzali przeciwnicy ustępującego prezydenta USA, w tym kanclerz Niemiec Angela Merkel. „Prawo do wolności wypowiedzi jest prawem o podstawowym znaczeniu" – podkreślał rzecznik rządu w Berlinie Steffen Seibert. Zaznaczył, że ingerowanie w nie nie może zależeć od decyzji zarządu platform społecznościowych. Francuski minister finansów Bruno Le Maire zauważył z kolei, że za regulację kwestii wolności wypowiedzi odpowiadać powinny państwa, a nie „cyfrowa oligarchia". Le Maire określił także media społecznościowe jako „jedno z zagrożeń" dla demokracji.

Premier Mateusz Morawiecki zauważył zaś, że w Internecie stopniowo zaczęły dominować wielkie ponadnarodowe korporacje, bogatsze i potężniejsze od wielu państw. „Te korporacje zaczęły traktować naszą internetową aktywność tylko jako źródło zysku i wzmacniania globalnej dominacji. A także czuwać nad poprawnością polityczną tak, jak im się to podoba. I zwalczać tych, którzy się im sprzeciwiają" – podkreślił.

BAN DLA TRUMPA JAK ATAKI Z 11 WRZEŚNIA?

Może się wydawać zaskakujące, że wolność słowa, która należy do fundamentalnych praw każdego człowieka i która w każdym demokratycznym kraju może być ograniczana tylko w bardzo rzadkich i konkretnych przypadkach regulowanych przez krajowe prawodawstwo, w przypadku najpopularniejszych mediów społecznościowych może być ograniczana w dowolny sposób bez transparentnych zasad i bez jakiejkolwiek zewnętrznej kontroli czy instytucji odwoławczych. Jest to możliwe, ponieważ miliony osób, w tym miliony użytkowników oraz najważniejsi politycy w wielu krajach świata, naiwnie uwierzyli, że Facebook, Twitter czy Instagram to „dobro wspólne", a właściciele tych portali będą niemal bezinteresownie dbali o równy dostęp do informacji oraz o równy i uczciwy dostęp do milionów użytkowników. Dopiero tak jaskrawe działania cenzorskie ostatnich dni uświadomiły nagle milionom, że Facebook, Twitter, Instagram, YouTube etc. to prywatne serwisy należące do konkretnych korporacji mających własne interesy i promujących te treści i te wartości, które sobie wybiorą, a tłamszące te, które nie leżą w interesie ich i ich udziałowców.

Coś, co z przerażeniem odkryli teraz mieszkańcy i politycy demokratycznych państw, przywódcy mniej lub bardziej totalitarnych krajów zrozumieli już dawno. I postawili gigantom proste ultimatum: jeśli chcecie zarabiać na naszych rynkach, to musicie dostosować się do naszych reguł.

Konieczne jest więc wprowadzenie krajowych lub międzynarodowych rozwiązań prawnych, które zapewniałyby jasne zasady usuwania treści przez media społecznościowe. Tak, aby błyskawicznie mogły być usuwane posty sprzeczne z prawem, np. promujące terroryzm czy wzywające do przemocy, ale jednocześnie aby autorzy wartościowych, choć kontrowersyjnych treści mogli nie bać się cenzury w coraz bardziej polaryzującym się świecie.

Jak słusznie zauważył francuski minister finansów, kwestii „uregulowania cyfrowego świata nie można pozostawiać cyfrowym oligarchom". Oczywiście, przedstawiciele gigantów takich jak Twitter, Google czy Facebook mogą się bronić, że od dawna mają własne wewnętrzne kodeksy i regulaminy. Problem w tym, że w przypadku Twittera Donald Trump naruszał wcześniej te zasady wielokrotnie. Można więc śmiało zaryzykować tezę, że wtedy konto prezydenta pozostawało aktywne mimo łamania wewnętrznego kodeksu platformy i publicznych apeli o jego zawieszenie, bo Twitterowi po prostu się to opłacało.

Gdy zaś wahadełko historii przesunęło się na stronę Partii Demokratycznej, a Donald Trump poniósł polityczną porażkę, Twitter podjął czysto polityczną decyzję o zablokowaniu jego konta w ostatnich dniach jego prezydentury. Podobnie sytuacja wyglądała z innymi mediami społecznościowymi. Mówienie przez przedstawicieli technologicznych gigantów o „obowiązujących wszystkich standardach" wydaje się więc kpiną ze zdrowego rozsądku, co zapewne łatwo będzie zobaczyć, obserwując postępowanie tych samych mediów społecznościowych wobec osób, które zaczęły obecnie sprawować władzę.

Z tego powodu tak ważne wydaje się, aby reguły wolności słowa nie były dłużej autorytarnie narzucane przez gigantów technologicznych. Skoro w większości wolnych państw uważa się wolność wypowiedzi za fundamentalne

eprasa.pl c9af7342c1

prawo obywateli, to ingerowanie w tę sferę powinno być możliwe jedynie na podstawie przepisów określonych przez demokratycznie wybranych członków parlamentów, a nie zarządów nawet największych prywatnych spółek. Skoro prawo prasowe wyznacza standardy działania tradycyjnych mediów, to konieczne jest też jak najszybsze uregulowanie działalności o wiele potężniejszych i mających daleko większe wpływy międzynarodowych mediów społecznościowych.

Politycy powinni również wyciągnąć wnioski z kolejnych cenzorskich działań gigantów i przestać traktować Facebooka, Twittera czy inne platformy jak główny kanał swej komunikacji ze światem. Najważniejsze decyzje władz powinny pojawiać się po prostu na stronach rządu (a za nimi na stronach tradycyjnych i cyfrowych mediów). Niedopuszczalne byłoby wykorzystywanie jedynie Facebooka czy Twittera do prowadzenia polityki informacyjnej i powiadamiania obywateli np. o akcji szczepień. Podobnie niebezpieczne dla interesów państwa byłoby zamieszczanie nagrań z wystąpieniami rządzących jedynie w serwisie YouTube. Lekcja, której udzielili światu technologiczni giganci, każe również rządom rozwijać własne publiczne kanały komunikacyjne, do których każdy obywatel będzie miał taki sam dostęp niezależnie od widzimisię tego czy innego zarządu.

Unijny superkomisarz ds. rynku wewnętrznego Thierry Breton przekonuje, że blokada konta Trumpa będzie stanowić punkt zwrotny w historii. „[Zamachy z 11 września] doprowadziły do zmiany paradygmatu globalnego bezpieczeństwa. 20 lat później jesteśmy świadkami przełomu dotyczącego roli platform cyfrowych w naszej demokracji" – zauważył. „Fakt, że jakiś dyrektor generalny może wyciągnąć wtyczkę i odłączyć Prezydenta Stanów Zjednoczonych od megafonu bez żadnej kontroli, wprawia w osłupienie. To nie tylko potwierdzenie potęgi tych platform, lecz także ujawnienie głębokich słabości w sposobie organizacji naszego społeczeństwa w przestrzeni cyfrowej" – napisał Breton. Podkreślił, że nadszedł moment, aby wprowadzić jasne regulacje i przywrócić zaufanie w przestrzeni cyfrowej. „Od tego zależy przetrwanie naszych demokracji w XXI w." – podkreślił francuski superkomisarz. W podobnym tonie wypowiedział się niemiecki europoseł Manfred Weber. W rozmowie z „Politico" podkreślił potrzebę pilnych zmian. „Nie możemy zostawiać w rękach wielkich amerykańskich firm technologicznych decyzji o tym, jak możemy lub nie możemy dyskutować i co może, a co nie może być powiedziane w demokratycznym dyskursie. Potrzebujemy bardziej rygorystycznego podejścia regulacyjnego" – podkreślił Weber.

Przygotowanie jeszcze w pierwszym kwartale 2021 r. odpowiednich regulacji zapowiedzieli w zeszłym tygodniu szef resortu sprawiedliwości Zbigniew Ziobro oraz premier Mateusz Morawiecki. – Zrobimy wszystko, by określić ramy funkcjonowania Facebooka, Twittera, Instagrama i innych podobnych platform – zapowiedział. „Przez blisko 50 lat żyliśmy w kraju, w którym obowiązywała cenzura; w kraju, w którym Wielki Brat mówił nam, jak mamy żyć, co mamy myśleć i czuć – a czego myśleć, mówić i pisać nie mamy prawa. Dlatego z takim niepokojem patrzymy na wszelkie próby ograniczania wolności" – napisał szef polskiego rządu… na Facebooku.

JAK NIE DAĆ SIĘ UCISZYĆ

Nieukrywający lewicowych sympatii giganci technologiczni nie tylko odcięli dostęp do kont Donalda Trumpa, lecz także poszli krok dalej: gdy zorientowali się, że odcięci od źródeł informacji użytkownicy przenoszą się do konserwatywnej konkurencji Facebooka i Twittera, błyskawicznie przełączyli konkurenta w tryb off-line.

Założony w 2018 r. serwis Parler – podkreślający, że jest bezstronnym medium społecznościowym i z tego powodu jest niezwykle lubiany przez miliony konserwatystów, w tym przez republikańskiego senatora z Teksasu Teda Cruza – niespodziewanie został „uciszony". Jego działalność on-line została bowiem zablokowana przez Amazona, Google i Apple. Amazon ogłosił, że „zaobserwował stały wzrost zawartości zawierającej przemoc". Podobnymi powodami z zablokowania serwisu wykorzystywanego przez szukających schronienia przed cenzurą konserwatystów zasłaniali się też przedstawiciele Apple oraz Google.

Tego typu „czystka" urządzona przez Big Tech sprawiła, że użytkownicy, chcący uciec przed informacyjnym terrorem technologicznych gigantów, zaczęli szukać kolejnych alternatyw. Na popularności wśród konserwatystów błyskawicznie zaczął zyskiwać działający od trzech lat Gab – jasno określający się jako „broniący wolności słowa, wolności jednostki i swobodnego przepływu informacji w sieci".

Zwolennicy prawej części sceny politycznej, szukając bezpiecznego azylu do wyrażania swoich poglądów, zakładają również konta w takich serwisach jak MeWe czy Rumble.

BICZ FINANSOWY

Paradoksalnie Trump przez ostatnie cztery lata zrobił bardzo wiele dla promocji platformy Twitter. Komunikując za jej pośrednictwem swe najważniejsze decyzje, skłonił bardzo wielu do tego, by na bieżąco śledzili Twittera. W ciągu jednej doby potrafił bowiem napisać ponad 200 tweetów, z których wiele miało istotne znaczenie dla obserwatorów amerykańskiej polityki zagranicznej, inwestorów giełdowych etc. Twitterowe konto Donalda Trumpa miało ponad 88 mln obserwujących, ponieważ nie tylko prezentował na nim swoje opinie, lecz także za jego pośrednictwem ogłaszał najważniejsze decyzje.

Zawieszenie konta Trumpa zostało więc negatywnie przyjęte przez amerykańskich inwestorów, a kurs akcji Twittera na nowojorskiej giełdzie spadł w ciągu jednego dnia o ponad 6 proc. Innymi słowy, wartość Twittera po decyzji cenzorów zmalała podczas jednej giełdowej sesji o ok. 2,5 mld dol. To pokazuje, że w przypadku mediów społecznościowych, tak jak w przypadku każdego innego biznesu, najskuteczniejsze jest „głosowanie nogami". Jeżeli komuś nie odpowiada progresywna czystka, to w każdej chwili może przestać korzystać z Facebooka, Twittera czy YouTube. Szybka utrata milionów użytkowników i ryzyko utraty miliardów dolarów przychodów mogą skuteczniej obronić fundamentalne prawa obywatelskie niż jakiekolwiek ustawy. Tak czy inaczej poszczególne rządy powinny jednak wspierać budowę narodowych mediów społecznościowych, które nie tylko nie będą stały ponad krajowym prawem, lecz także będą płacić w swej ojczyźnie pełne podatki. Skoro swoje media społecznościowe mają Chińczycy (TikTok), Rosjanie (VK) czy Węgrzy (Hundub), to i Polaków stać na coś więcej niż Fotkę czy Naszą-klasę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9af7342c1

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
IX EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2021

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl c9af7342c1

Z prof. Markiem Janem Chodakiewiczem, politologiem, historykiem i sowietologiem
rozmawia Piotr Włoczyk

Trump powinien stworzyć własne imperium medialne

PIOTR WŁOCZYK: Co teraz zrobi Donald Trump, skoro zablokowały go Twitter, Facebook, a także YouTube?

PROF. MAREK JAN CHODAKIEWICZ: Jak to? Może wejść na Parler czy Gab.com i zupełnie machnąć ręką na Twittera czy Facebooka. Ja przekonuję, żeby Trump stworzył własne imperium medialne. Albo kupił konserwatywno-populistyczny Newsmax, dla którego zresztą ja sam piszę, i stworzył z tego swoją fortecę. Tam są już: telewizja, newsy, opinie, blogi. Może też zakładać wszystko od początku.

Czyli pańskim zdaniem będziemy teraz świadkami dużych zmian na rynku prawicowych mediów w USA?

Tak, będziemy widzieli zmiany na rynku mediów. Wolny rynek jest neutralny. Jeśli coś nie działa dobrze, to albo następuje autokorekta, albo firma pada. Oczywiście

eprasa.pl c9af7342c1

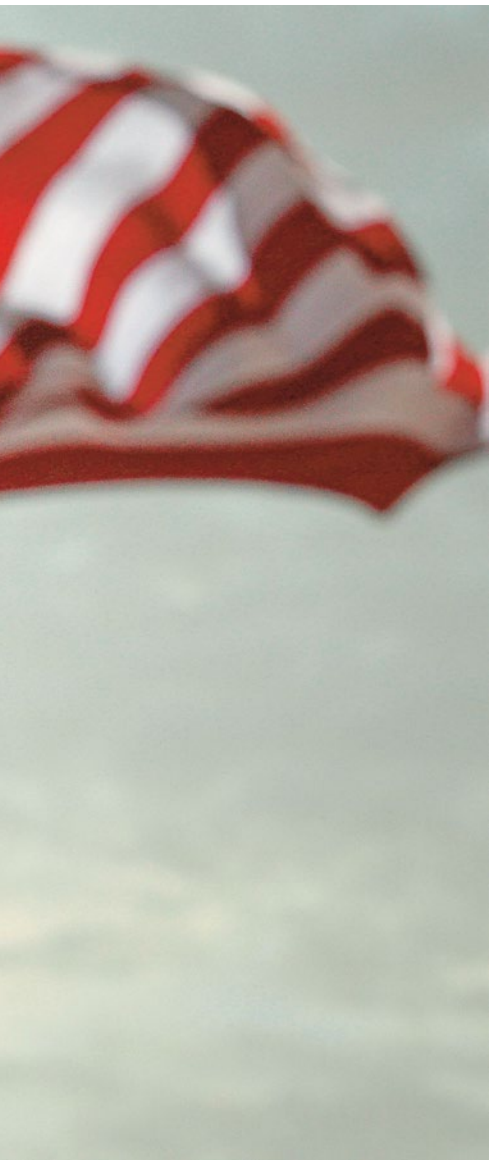

FOT. TOM BRENNER/REUTERS/FORUM

jest też trzecia opcja: wtrąca się państwo – proszone albo nie przez firmę (zwykle monopolistyczną) – ale wtedy przestaje działać wolny rynek. Mamy wtedy do czynienia z gospodarką sterowaną. W tej chwili media mają taki lewacki przechył, że czas na prawicową korektę.

Jakie będą konsekwencje działań Twittera i Facebooka wobec Donalda Trumpa? Czy media społecznościowe wygrają na tym konflikcie, czy może jednak rzesza ludzi odwróci się od nich i dojdzie do zmian, które okażą się bardzo niekorzystne dla gigantów społecznościowych?

Konsekwencje będą takie, że nie tylko MAGA [Make America Great Again – nieoficjalna nazwa zwolenników Donalda Trumpa], lecz także część zwykłych, umiarkowanych ludzi po prostu odejdzie z tych platform. Media społecznościowe to największa na świecie firma ogłoszeniowa. Opierają się one na naszej współpracy. A my się od Big Tech odwrócimy i pójdziemy gdzie indziej. Na pewno będziemy wciąż słyszeć nawoływania do okiełznania Big Tech.

To, że taki scenariusz jest możliwy, pokazały już Chiny i Rosja, a nawet Arabia Saudyjska. Tam firmy Big Tech nigdy by się nie ośmieliły podskoczyć. Zbyt wiele pieniędzy jest do zarobienia w tamtych krajach. A w USA po prostu wyzyskują system liberalnej demokracji. Twierdzą, że są prywatnymi firmami i trzeba grać na ich zasadach. To nieprawda. To one muszą się dostosować do prawa amerykańskiego. Żaden Facebook czy Twitter nie ośmieliłby się wyrzucić z pracy człowieka za pochodzenie rasowe czy orientację seksualną (homoseksualną przede wszystkim). A więc słuchają prawa. Jeżeli się prawo zmieni, choćby w sprawie wolności słowa, to Big Tech potulnie padnie na kolana i przestanie blokować użytkowników.

Naturalnie do tej pory będzie usiłował wyzyskać system, korumpować i lobbować oraz prowadzić poufne działania, by wszystko pozostało po staremu. W tym kontekście widać, że ostatnie zapowiedzi polskich władz – aby karać takie firmy za naruszanie wolności słowa – to krok w dobrą stronę. Trzeba więcej takich inicjatyw! Dość lewackiej cenzury!

Potrafi pan sobie wyobrazić, że Polska faktycznie zmusza takich gigantów jak Facebook czy Twitter do przestrzegania wolności słowa? Czy taka interwencja ze strony polskich władz byłaby w ogóle skuteczna, o ile najpierw sami amerykańscy politycy nie zabraliby się na dobre za największe platformy społecznościowe?

Jeśli polscy posłowie – nie mówiąc o rządzie – mieliby odwagę, to tak by zrobili. Okazuje się, że taką odwagę ma minister Ziobro. Plan jest prosty: jeżeli Facebook i inni działają w Polsce, to muszą się stosować do polskiego prawa. W międzyczasie amerykańscy konserwatyści ekscytują się akcją Polski, czyli tak naprawdę Solidarnej Polski, i mają nadzieję, że coraz większa liczba ich kongresmenów będzie znajdować w sobie odwagę, by okiełznać Big Tech. I wtedy wygra się z monopolistycznym cyberlewactwem naruszającym wolność słowa.

Czy po tym, co się stało na Kapitolu, Donald Trump ma jeszcze przed sobą przyszłość w polityce? Coraz więcej wysoko postawionych republikańskich polityków dystansuje się od niego. Przykładowo senator Lisa Murkowski zupełnie wprost wezwała prezydenta USA do ustąpienia ze stanowiska.

Myślę, że bezpośredniej przyszłości – jako kandydat na prezydenta (bo nic innego go nie interesuje) – nie ma. Natomiast może odegrać dużą rolę jako „DJ", czyli ktoś narzucający narrację i prowadzący „zabawę". Aby tak się jednak stało, musi zostać magnatem medialnym, szefem swojego własnego imperium. Jeśli chodzi o Murkowski i jeszcze innych, to oni od początku byli albo sceptyczni, albo wręcz wrodzy w stosunku do Trumpa. Są to liberalni republikanie. Nazywa się ich w USA RINOs, czyli „Republicans in Name Only", albo „dorkservatives" (ofermy konserwatywne). To są republikanie jedynie z nazwy, którzy zgadzają się na ciągłe klęski wyborcze, a ich jedyną ambicją jest po prostu naśladowanie szaleństwa demokratów, z tą różnicą, że szaleństwa te gotowi byliby wprowadzać nieco wolniej.

Czy wyobraża pan sobie, że Donald Trump jednak startuje w kolejnych prawyborach i zdobywa nominację, a potem wygrywa drugą kadencję (w latach 2025–2029)? Czy jednak w świetle tego, co się stało na Kapitolu, taki scenariusz brzmi już jak kompletna fikcja?

Ten scenariusz jest możliwy, w tej chwili Trump ma bowiem za sobą republikański lud. Nie ma wątpliwości, że tzw. mainstreamowi republikanie mieliby małe szanse w prawyborach prezydenckich z Trumpem. Wątpię natomiast, aby wygrał on prezydenturę, opierając się tylko na swym twardym elektoracie. Niewątpliwie w listopadzie odniósł sukces: ponad 73 mln wyborców zagłosowało na niego. Wątpię jednak, by udało mu się to powtórzyć. Notabene, to, co się stało na Kapitolu, podobało się części jego twardego elektoratu, który uważa, że z waszyngtońskiego „bagna" („swamp" – jak nazywa to Trump) trzeba popędzić lewacką, skorumpowaną, antyamerykańską hołotę pasożytującą na narodzie. To nie moja opinia, to opinia powszechna wśród „trumpowego ludu".

Tak więc wśród twardego elektoratu ta szarża na Kapitol wcale Trumpowi nie zaszkodziła. Zaszkodziła mu jednak wśród umiarkowanych Amerykanów, którzy dwa miesiące temu na niego zagłosowali, a teraz tego żałują.

Część polityków Partii Republikańskiej obawia się, że Donald Trump mógłby chcieć wyprowadzić z ich formacji swoich najtwardszych zwolenników, by zbudować własną siłę polityczną. Czy to realne zagrożenie dla republikanów?

eprasa.pl c9af7342c1

Niewykluczone jest przejęcie przez Trumpa kontroli nad Partią Republikańską. Taka opcja jest możliwa, ponieważ ma on swoich twardych zwolenników w „dołach republikańskich".

Tak zwani „społeczni konserwatyści" są jego najżarliwszymi wyznawcami. Kontrolują oni część machiny partyjnej i to oni zapewniają dużą część datków koniecznych do utrzymania partii. Jeżeli się zorganizują, to faktycznie mogą wyrwać partię z rąk polityków umiarkowanych i „sflaczałych". A jeżeli miałoby im się to nie udać, to słychać też głosy, aby założyć nową partię. Nie wróżę temu jednak dobrze.

Dlaczego?

W USA tzw. trzecia partia (przykładowo Partia Łosia Theodore'a Roosevelta czy ruch Rossa Perota) zabiera głosy partii matce, ale nigdy nie ma dość siły, aby zatriumfować samotnie. Zawsze jednak udaje jej się zapobiec zwycięstwu partii, z której się sama wywodzi.

Patrząc na ten problem szerzej: Jak dużym problemem generalnie dla republikanów / strony konserwatywnej jest to, do czego doszło na Kapitolu? Pięć ofiar śmiertelnych na pewno będzie przypominanych przez demokratów w każdej kolejnej kampanii. Czy to może trwale zmienić wizerunek, jakim Partia Republikańska cieszy się wśród wyborców?

Po pierwsze, republikanie to nie konserwatyści, choć wśród republikanów swój dom znaleźli konserwatyści. Po drugie, dla Partii Republikańskiej, dla republikańskiego establishmentu, oraz dla większości konserwatywnych intelektualistów to, co się stało na Kapitolu, jest wielkim problemem. Nawet Pat Buchanan uznał to za zbezczeszczenie „świątyni amerykańskiej republiki". Po trzecie, jak wspomniałem, dla ludu republikańskiego to nie jest problem. Po czwarte, problem z tego robią demokraci, choć nie tylko. Na przykład Arnold Schwarzenegger porównał to do Kristallnacht, czyli pogromu Żydów przez NSDAP. Inni opowiadają z kolei o „pożarze Reichstagu".

W Polsce po porównanie do pożaru Reichstagu sięgnął Adam Michnik, stwierdzając jednak w swoim felietonie, że „demokracja amerykańska – jej ludzie i instytucje – wyszła zwycięsko z tego kryzysu".

Można się było spodziewać, że ta opcja będzie takie niedorzeczności opowiadała… Amerykańscy liberałowie i ich media już zaczynają nakręcać narrację, że był to „biały" bunt przeciwko demokracji, a jednocześnie przykład „podwójnego standardu", bo przecież „białych" policja potraktowała łagodnie, a jakby to byli czarni, to zostaliby od razu rozgonieni i nie zbliżyliby się nawet do Kapitolu... Oczywiście to nonsens, bo całe lato Ameryka płonęła i była rabowana, często rękoma czarnych radykałów, i jakoś ich nie rozganiano. W domyśle chodzi jednak o to, że Trump i jego zwolennicy chcieli przeprowadzić zamach stanu i pogromy w imię „białej supremacji" przeciwko „demokracji". Czyli – używając tej optyki – MAGA to w rzeczywistości naziści. I to faktycznie jest wielki problem dla republikanów.

W USA tzw. trzecia partia zabiera głosy partii matce, ale nigdy nie ma dość siły, aby zatriumfować samotnie

Jakie stoją przed nimi opcje?

Jeśli się odetną od dołów partyjnych w imię „antyfaszyzmu", to do reszty stracą poparcie wśród rzeszy zwykłych wyborców i będą mogli po prostu wstąpić do demokratów. Jeśli się jednak nie odetną, to zostaną rzekomymi narodowymi socjalistami, takimi jak Trump. Jest jeszcze inny problem. Otóż w tej chwili wpływowi demokraci twierdzą, że najazd na Kapitol był aktem terroryzmu wewnętrznego. Według nich USA potrzebują specjalnej ustawy antyterrorystycznej, aby to ukrócić. Z tego, co wiem, są plany, żeby traktować MAGA jak Al-Kaidę. To sprytna próba wyeliminowania opozycji i sprowokowania gwałtownych reakcji wśród zwykłych ludzi.

Po co demokratom był potrzebny show pt. „Impeachment" zaledwie kilka dni przed końcem kadencji?

Po pierwsze po to, by poniżyć Trumpa oraz jego zwolenników. Po drugie, aby pokazać, że mogą być bezczelnie bezkarni. Po trzecie, aby nieustannie atakować. Demokraci bali się bowiem, że w przeciwnym wypadku to Trump ich zaatakuje. A tak nie dają mu ani na chwilę odetchnąć.

Na amerykańskiej prawicy słychać głosy, że jednak dużo bardziej gwałtowne i bardziej krwawe były zamieszki po śmierci George'a Floyda. Czy pańskim zdaniem takie przerzucanie się liczbą ofiar i stopniem brutalności zamieszek to dobra strategia obrony z punktu widzenia konserwatystów?

A co by pan mówił? Możemy głównie porównywać obecną sytuację w kraju do tego, co się działo w USA wcześniej. Ani republikanie, ani MAGA nie mają strategii. To jest głównie reakcja na werbel rewolucji, w który uderzają demokraci. Republikanie głównie padają na kolana, a MAGA broni się jak osaczony zwierz. Pan pyta o strategię obrony, ale przecież najlepszą obroną jest atak. To, co pan nazywa „przerzucaniem się", to jest taktyka, a nie strategia. Powtarzam: po stronie antyrewolucyjnej nie ma strategii, jest reakcja.

Czy przewiduje pan, że zamieszki na Kapitolu będą miały jakiś większy wpływ na postrzeganie sił prawicowych / konserwatywnych również poza granicami USA? Przykładowo w Polsce. Czy obrazki z Kapitolu mogą być dobrym paliwem politycznym również dla polskiej opozycji?

Jasne, wszystko, co się dzieje w imperium, rzutuje na resztę świata. Lewacy i liberałowie mają tendencję do małpowania narracji, a także rozwiązań swych imperialnych wzorców. Sam pan przed chwilą wspomniał Michnika. Opozycja w Polsce zachowuje się jak Antifa i Black Lives Matter. To oni atakowali Reichstag, pardon – Sejm. Czyż nie?

Przedstawiciele polskiej opozycji z pewnością odpowiedzieliby panu, że podczas protestów pod Sejmem i w samym Sejmie nikt nie zginął, a poza tym były one organizowane w słusznej sprawie – by bronić polskiej demokracji.

Dzięki Bogu nikt wtedy nie zginął. To pokazuje różnice między policją, z jednej strony, a ZOMO i SB z drugiej. Co do demokracji, to wszyscy jej bronią. Komuna broniła demokracji ludowej. Opozycja w Polsce broniła „demokracji konstytucyjnej". A demokracja jest bezprzymiotnikowa. Jest objawem woli ludu wyrażonej przez jego większość. PiS wygrał i na tym kończy się dyskusja. Aż do następnych wyborów. To, co robi część totalnej opozycji w Polsce, to rewolucja i próba delegitymizacji demokracji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Marek Jan Chodakiewicz
jest politologiem, historykiem, sowietologiem i profesorem w The Institute of World Politics w Waszyngtonie.

eprasa.pl c9af7342c1

DO RZECZY
HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2021

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY ORLEN

PARTNER Grupa Inwest HM Inwest S.A.

eprasa.pl c9af7342c1

Joe wam pokaże!

Manifestacja KOD przed Sejmem w grudniu 2016 r. Później nazwano te działania „ciamajdanem"
FOT. MICHAŁ DYJUK/FORUM

Rafał A. Ziemkiewicz

Przegrana Trumpa i zamieszki na Kapitolu wprawiły totalną opozycję w stan euforii. Czy jej marzenia mają w ogóle szanse się spełnić?

Zaniepokojenie sposobem, w jaki wciąż jeszcze urzędujący prezydent USA został usunięty z przestrzeni publicznej arbitralną decyzją szefów prywatnych koncernów, wyrazili nawet Angela Merkel i Emanuel Macron. „Nawet" – bo mówimy o czołowych politykach krajów, które zawsze przodowały w Europie pod względem niechęci do USA w ogóle, a w ostatnich latach do Donalda Trumpa w szczególności. Nie przełożyło się to jednak na bezmyślny entuzjazm wobec szału zemsty, który ogarnął triumfujących przeciwników Trumpa po niszczącym go wizerunkowo szturmie demonstrantów na Kapitol i bezprecedensowym przerwaniu przez nich obrad amerykańskiej legislatywy.

OPOZYCJA KIBICUJĄCA

Polscy kibice Joe Bidena nie okazali cienia takiej roztropności. Przeciwnie, liberalno-lewicowa opozycja popadła w entuzjazm. Od pierwszych chwil zresztą nie ukrywając, że jej radość wynika nie tyle z sięgnięcia po prezydenturę przez weterana amerykańskiej polityki (to, kto konkretnie i w imię jakich politycznych wizji odsunął Trumpa od władzy, wydaje się dla opozycyjnych polityków i liderów opinii mniej istotne), ile z przegranej sojusznika PiS i Kaczyńskiego, którego życzliwość pomogła Andrzejowi Dudzie wygrać wybory prezydenckie.

Nie ustrzegła się przy tym opozycja śmieszności. Nazajutrz po wydarzeniach na Kapitolu Borys Budka grzmiał w poranku Radia TOK FM, jak to „żądza władzy i nieumiejętność pogodzenia się z demokratycznym wynikiem wywołuje

eprasa.pl c9af7342c1

u niektórych frustrację". Ten ton podchwycony został przez innych polityków tudzież przez kibicujące PO i Lewicy media: demonstrowanie przeciwko decyzjom podejmowanym demokratycznie w parlamencie, a już zwłaszcza fizyczny atak na siedzibę parlamentu, wdzieranie się tam „motłochu", przerywanie i uniemożliwianie obrad określone zostały jako zbrodnia przeciwko demokracji, z każdą kolejną godziną i wypowiedzią nabierając wręcz znamion zbrodni przeciwko ludzkości. Siłą rzeczy potwór, który – przegrawszy wybory – dopuścił się takiej zbrodni (oczywiście, polska opozycja całkowicie bezrefleksyjnie przejęła propagandową narrację demokratów, jakoby wdarcie się demonstrantów na Kapitol było realizacją planu Trumpa, choć widać, że miało ono raczej spontaniczny charakter, a może nawet zostało sprowokowane), nie zasługuje na respektowanie względem niego żadnych cywilizowanych zasad.

Ta konstatacja była jednak tylko wstępem do wywodów, których prawdziwym celem nie było potępienie Trumpa, ale PiS. Od pierwszej chwili przyjęto narrację, że – jak ujęła to posłanka Gasiuk-Pihowicz – „tak będzie też wyglądać, gdy PiS przegra wybory". W dziesiątkach komentarzy dla życzliwie „podkręcających" tę narrację TVN24 i portali RASP czy Agory, w mediach społecznościowych „eksperci" pokroju Ryszarda Schnepfa czy Radosława Sikorskiego snuli przed swą publicznością wizję dokonującej „zamachu na demokrację" PiS-owskiej tłuszczy, która na pewno nie pogodzi się z wyrokiem demokracji i spróbuje – tak jak Trump – użyć przemocy, by powstrzymać swój nieuchronny upadek. Była to jednak wizja, z ich punktu widzenia, optymistyczna: wydarzenia w Ameryce dowiodły bowiem właśnie – powtarzali na różne sposoby – że takie „przemocowe" próby zablokowania nieuchronnych zmian skazane są na niepowodzenie i tak jak Ameryka „obroniła demokrację" przed „motłochem" rzuconym przeciwko niej przez reżim Trumpa, tak i Polska obroni wyborcze zwycięstwo opozycji przed próbą utrzymania władzy przemocą przez PiS.

WSZYSTKIE WARSTWY ABSURDU

Absurd i hipokryzja, okazane w przypływie entuzjazmu przez basujących sobie nawzajem liderów i „ekspertów" opozycji, mają wiele warstw, które smakować trzeba jedna po drugiej.

Sprawy amerykańskie – jak ma się wizja wydarzeń ogłoszona w mediach do faktycznego przebiegu zdarzeń – pomińmy. Skupmy się na kompleksach i urazach tutejszego obozu lewicowo-liberalnego, okazanych wskutek wybuchu emocji w sposób wyjątkowo bezwstydny.

Mniejsza już, że uznawana najwyraźniej przez opozycję za „oczywistą oczywistość" jej wygrana w kolejnych wyborach nad obozem Zjednoczonej Prawicy jest dziś, delikatnie mówiąc, równie nieprawdopodobna jak przed wyborczym rozstrzygnięciem w USA. Popularność obozu rządzącego zachwiała się wprawdzie po „piątce dla zwierząt" i aborcyjnych protestach, eroduje też nieustannie wskutek niezadowolenia z chaosu towarzyszącego walce z epidemią, ale w ostatnich tygodniach PiS wyraźnie odrobił większość sondażowej straty, a opozycja nie zdołała przekonać Polaków, że byłaby zdolna przejąć władzę i rządzić lepiej (a nawet, według wykonanego konkretnie pod tym kątem badania opinii publicznej, wręcz przeciwnie).

W zamieszczonej na gorąco „analizie" Roman Giertych ogłosił – który to już raz? – nadchodzącą przegraną Kaczyńskiego na tej podstawie, że wygrywał on dotychczas wybory tylko dzięki poparciu Trumpa, a teraz poparcia z Ameryki już nie dostanie. Aż nie chce się przypominać, że Trump prezydentem USA został dopiero w roku 2017, dwa lata po podwójnym wyborczym zwycięstwie Andrzeja Dudy i PiS. Chyba że Giertych świadomie odwołuje się do spiskowej teorii, którą zszokowane klęską salony leczyły wtedy swe poobijane ego, jakoby wygrana ta była zorganizowana przez tajemniczych „amerykańskich doradców", którzy zrobili kampanię Dudzie, i amerykańskie służby, które stały za ujawnieniem kelnerskich taśm kompromitujących ówczesne władze. W sumie, na tym poziomie, na którym obecnie działa intelektualne zaplecze PO i Lewicy, nie można wykluczyć, że zorganizowanie zwycięstwa „populistów" w Polsce było tylko próbą generalną przed wyniesieniem przez te same ciemne siły do władzy „populisty" w samej Ameryce.

Tak czy owak, okazywana obecnie przez opozycję pewność, że następne wybory ma już właściwie wygrane, warta jest wciąż dokładnie tyle samo co powtarzana na manifestacjach „w obronie demokracji" jesienią 2015 r. mantra, że „na wiosnę wyjdą na ulice miliony ludzi i pisowcy będą skakać z okien".

Ale, właśnie – w ustach ludzi, którzy od pięciu lat nie uznają wyroku demokracji i wielokrotnie, otwarcie deklarowali chęć obalenia go siłą, te nagłe wyrazy oburzenia wobec „tłuszczy" szturmującej Kapitol brzmią wyjątkowo fałszywie. Czy trzeba przypominać, kto rzucił hasło: „Będziemy opozycją totalną" i „Wyprowadzimy ludzi na ulice"? Dobrze, przypomnijmy – spotkanie działaczy PO wiosną 2016 r., zrelacjonowane – uwaga! – przez „Newsweek Polska". „Jeżeli zrobić następną taką rzecz [chodziło o manifestacje KOD pod siedzibą

eprasa.pl c9af7342c1

Trybunału Konstytucyjnego – przyp. red.], to musi być nie na pięćdziesiąt, tylko na dwieście tysięcy. I to zrobimy. Trzeba być gotowym, że będzie 500 tys. ludzi. Przywieziemy z kraju milion, jak będzie trzeba" – zapowiadał wtedy Grzegorz Schetyna (ten sam Grzegorz Schetyna, który dziś poucza swą partię, że „radykalny konflikt, ideologiczne zacietrzewienie, wykluczający agresywny krzyk, będące ulubionym żerem populistów, nie pokrywają się z oczekiwaniami Polek i Polaków"). Oczywiście, ówczesny lider PO mówił wtedy o pokojowych manifestacjach, będących jak najbardziej akceptowalną częścią demokracji – choć wspomniana już, podrzucona przez Wałęsę i z lubością powtarzana fraza „pisowcy będą skakać z okien" na pokojowe intencje nie wskazywała – ale zaraz po cytowanych słowach Schetyna odwoływał się do doświadczenia Ukrainy: „Byłem na Majdanie i przemawiałem do tych 250 tysięcy ludzi. To jest wielkie przeżycie […], trzeba być gotowym na to. Trzeba być gotowym na wszystko, nawet na takie twarde warianty". Jeśli to nie był zamiar „odwrócenia wyroku demokracji w drodze ulicznej przemocy", to Księżyc jest zrobiony z zielonego sera.

CIAMAJDAN

Za zapowiedziami poszła praktyka. Dwukrotna próba okupacji Sejmu i zerwania jego prac – najpierw pod hasłem „obrony wolności słowa" po wyznaczeniu przez marszałka Sejmu stref w parlamencie, do których nie wolno wchodzić dziennikarzom, drugi raz po przeniesieniu obrad do Sali Kolumnowej – za każdym razem połączona była z wezwaniem zwolenników do „marszu na Warszawę" i zdobycia Sejmu. Takie szturmy podejmowano kilkakrotnie, również przy innych okazjach – podczas jednej z nich zamknięte sejmowe podwoje miał otworzyć szturmującym od wewnątrz potajemnie wwieziony w poselskim bagażniku lider Obywateli RP Paweł Kasprzak.

Od wydarzeń w USA te próby zdobycia Sejmu – ale także jego blokowania, uniemożliwienia posłom wejścia do budynku i opuszczenia go, by nie dopuścić do przegłosowania ustaw reformujących sądy (kolejna zbieżność) – różni tylko jedno: były kompromitująco nieudolne, groteskowe, o czym świadczy nadana im potocznie nazwa „ciamajdanu". Zapał kładących się pokotem i kopiących w policyjne tarcze działaczy KOD i Obywateli nie był jednak w swej istocie inny od zapału amerykańskich „ludzi-turów", i tylko niewiele mniej groteskowy.

Warto dodać przy tym, że wymuszone tymi atakami oczywiste środki ostrożności za każdym razem dawały opozycji i jej mediom asumpt do szczególnie wrednej propagandy atakującej władzę, która „boi się ludzi", skoro „odgradza się od obywateli barierkami i policją". Nie słyszałem, żeby ktokolwiek z obozu Trumpa kpił w taki sposób z szykowanej ochrony prezydenckiej inauguracji Bidena, i nie spodziewam się usłyszeć.

Można oczywiście próbować bronić opozycji argumentem, że tylko cofnęła się ona do swych korzeni jeszcze głębszych niż „ciamajdan", do czasów sprzed roku 2015, kiedy to usilnie pouczała – m.in. ustami premier Kopacz – że „polityki nie robi się na ulicy", a samo w ogóle organizowanie demonstracji zrównywała z hitleryzmem, żałobne znicze zaś na miesięcznicach smoleńskich z pochodniami na nazistowskich „fakelcugach". Nie wiem jednak, czy wskazywanie tej okoliczności nie pogrąża opozycji jeszcze bardziej. Tym bardziej że jeśli cofnąć się bardzo głęboko, do roku 2006, to znowu mamy próbę zwołania przez obecną opozycję (po publikacji taśm nagranych u posłanki Beger) „polskiego majdanu", wezwanie do budowy „miasteczka namiotowego" pod Sejmem i obalenia władzy siłą, może mało dziś pamiętane, bo miasteczko okazało się składać z jednego namiotu, postawionego przez młodzieżówkę PO.

BIDEN POD RĘKĘ Z UE

Obok budowania krzepiącej dla sfrustrowanej ciągłymi klęskami opozycji paraleli między przegraną Trumpa a usilnie oczekiwaną przegraną Kaczyńskiego oraz epatowania widzów oburzeniem na „próbę odwrócenia demokratycznego werdyktu wyborców uliczną przemocą" przebija w reakcjach opozycji na sytuację zza oceanu jeszcze jeden, najsilniej akcentowany wątek: nadzieja, właściwie pewność, że Joe Biden włączy się do zwalczania polskich władz w podobny sposób jak urzędnicy Unii Europejskiej.

Muszę tu posłużyć się osobistym wspomnieniem – pamiętam jeszcze z młodości, jak zmieniło się zachowanie różnych pomniejszych (z większymi nie miewałem do czynienia) komunistów po 13 grudnia 1981 r. W czasie „karnawału Solidarności" nieco zalęknieni, wyraźnie nieczujący gruntu pod nogami, na wieść o stanie wojennym prężyli się, zakładali do pracy oficerki (naprawdę!), nabierali buty i nawyku mówienia podniesionym głosem. No, teraz wam razem z generałem pokażemy! – mówiły ich „mowa ciała" i pełne triumfu miny. Coś bardzo podobnego dostrzegłem w twarzach gości TVN24, zapowiadających, że Biden niezwłocznie zajmie się „przywróceniem w Polsce demokracji i praworządności", i sugerujących, że oni sami nie omieszkają mu w tym pomóc.

Witold Waszczykowski, pytany przez jedną z gazet o nowego prezydenta USA, wyraził rozsądny pogląd, że cokolwiek o jego zamierzeniach można będzie powiedzieć, gdy poznamy nominacje na kluczowe stanowiska w jego administracji – ale te pomniejsze, które już znamy, nie budzą zaufania. Goszczący u Moniki Olejnik Radosław Sikorski skomentował to szyderstwem: „Kiedy znowu będę się widział z Joe Bidenem, powiem mu, że musi się jeszcze postarać, żeby zasłużyć na zaufanie pana Waszczykowskiego". Można oczywiście zrozumieć radość Sikorskiego – poprzedni prezydent USA zapewne nie miał ochoty spotykać się z kimś tylko dlatego, że jest on mężem pochodzącej z wpływowej rodziny dziennikarki, i wysłuchiwać jego – znanych z kelnerskich nagrań – opowieści, kogo to, za przeproszeniem, „nie zrzuciłby z końca członka". Można też być pewnym, że podczas takiego spotkania i on, i jego żona będą błagać Bidena, aby – jeśli nie chce podejmować poważniejszych działań – przynajmniej naubliżał gdzieś publicznie polskiemu rządowi i prezydentowi. I z całą pewnością będzie go o to prosić nie tylko małżeństwo Applebaumów. I nie tylko Borys Budka, który pospieszył z aż dwoma publicznie ogłoszonymi listami do Joe Bidena, pisanymi z pozycji polskiego przywódcy „in spe", po oczekiwanej zmianie władzy.

Pytanie, jak Biden i członkowie jego administracji te prośby potraktują. Powody zbliżenia z Polską, które dokonało się za prezydentury Trumpa, nie leżały w sferze jego osobistej sympatii, lecz twardych interesów, które się nie zmieniły, a rządy PiS z natury będą zawsze bardziej proamerykańskie niż wiernopoddańczo oddanej Berlinowi i Brukseli „totalnej opozycji". Wszystko wskazuje na to, że kolejna fala euforii, w jaką wprawiła anty-PiS przegrana Trumpa, skończy się tak samo jak poprzednie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9af7342c1

Tajemnicza śmierć Zejdlera i dziennikarskie śledztwo TVP

Przystojny, utalentowany, podziwiany i popularny. Jacek Zejdler miał wszystko, by zrobić karierę. Zginął w wieku 25 lat w niewyjaśnionych okolicznościach. Przed śmiercią był zwalczany przez komunistów. Efekt dziennikarskiego śledztwa w sprawie niejasnych okoliczności śmierci aktora przedstawia film dokumentalny TVP3 OPOLE

Zaskarbił sobie sympatię Polaków jako tytułowy bohater siedmioodcinkowego serialu z 1973 r. „Stawiam na Tolka Banana". Wystąpił też m.in. w „Innej", „Do krwi ostatniej…", w „Wesela nie będzie" – w ostatnim filmie w swojej tragicznie przerwanej karierze grany przez niego bohater próbował targnąć się na swoje życie. Jacek Zejdler, syn lekarki, łączniczki w powstaniu warszawskim, absolwent łódzkiej filmówki, aktor najpierw Teatru im. Stefana Jaracza, a na kilka miesięcy przed śmiercią i po zwolnieniu z Jaracza zatrudniony w opolskim Teatrze im. Jana Kochanowskiego, 2 stycznia 1980 r. został znaleziony martwy w służbowym mieszkaniu. Leżał w śpiworze przy piekarniku, z którego ulatniał się gaz. W mieszkaniu wykręcono korki, by zmniejszyć ryzyko wybuchu.

Samobójstwo z powodu kłopotów małżeńskich, do którego przyczyniło się wzburzenie po kłótni na imprezie sylwestrowej, z której aktor wyszedł? Taką hipotezę przyjęto za najbardziej prawdopodobną i oficjalną wersję zdarzeń, ale w sprawie jest wiele wątpliwości.

Jacek Zejdler jeszcze na studiach związał się ze środowiskiem opozycyjnym, angażował w działania związane z Komitetem Obrony Robotników. Także po skończeniu edukacji i podjęciu pracy zawodowej wielokrotnie wyrażał swój sprzeciw wobec komunistycznego reżimu. Po wypadkach czerwcowych zbierał podpisy poparcia pod Listem 14. Nic dziwnego, że zainteresowanie PRL-owskich służb młodym aktorem tylko rosło. Pod koniec życia był on intensywnie zwalczany przez aparat władzy.

Czy działalność opozycyjna przyczyniła się do jego zdecydowanie przedwczesnej śmierci? Zwolennicy hipotezy samobójstwa wskazują, że oprócz zawodu miłosnego i sylwestrowej kłótni do targnięcia się na życie mogły Zejdlera pchnąć prześladowanie i zastraszanie, jakich miał doświadczać ze strony służb. Niewykluczone, że wpływ SB na śmierć aktora był jednak bardziej bezpośredni. Według niektórych informacji ciało Zejdlera miało być skrępowane sznurem.

Pytań w tej sprawie jest wiele. Ponownie zadali je i szukali na nie odpowiedzi dziennikarze Telewizji Polskiej – Zbigniew Górniak i Dariusz Deberny. Film „W starej koszuli. Z odwagą w sercu" przedstawia efekty kilkumiesięcznego śledztwa. Dokument produkcji TVP3 Opole, nad którym honorowy patronat objął Instytut Pamięci Narodowej, będzie można obejrzeć na ogólnopolskiej antenie TVP. Najbliższe emisje: TVP2 – 19 stycznia o godz. 23:20, TVP Dokument – 20 stycznia godz. 21:20 i 21 stycznia o godz. 12:05.

Mateusz Magdziarz, dyrektor i redaktor naczelny TVP3 Opole

Komunistyczny aparat władzy dołożył starań, aby historia Jacka Zejdlera i jego tragiczna śmierć w wieku 25 lat zostały zapomniane. Dziennikarskie śledztwo Zbigniewa Górniaka i Dariusza Debernego ujawnia wiele szczegółów z mechanizmu uporczywego nękania serialowego „Tolka Banana". To drugi najważniejszy projekt tożsamościowy TVP3 Opole po filmie „Ziemia przemówiła" z 2016 r., który poświęcony był komunistycznej zbrodni na oddziale ktp. Henryka Flame „Bartka" z NSZ.

eprasa.pl c9af7342c1

Prezydent Andrzej Duda odznacza ambasador Stanów Zjednoczonych Georgette Mosbacher Krzyżem Wielkim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej (rozmowa z Georgette Mosbacher na str. 60) FOT. JAKUB SZYMCZUK/KPRP

Prezydent szuka swojej roli

Piotr Semka

Problemem Andrzeja Dudy nie jest brak wpływu na relacje w Zjednoczonej Prawicy, ale brak wyraźnej roli dla prezydenta w polskim systemie ustrojowym

Kurtuazja prezydenta Andrzeja Dudy wobec ambasador Georgette Mosbacher z okazji odznaczenia pani ambasador Krzyżem Wielkim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej nie wyglądała na udawaną. Gospodarz pałacu przy Krakowskim Przedmieściu z pewnością ciepło wspomina blisko cztery lata ożywionych relacji z prezydentem Donaldem Trumpem. Teraz przyjdzie mu szukać porozumienia z administracją Joe Bidena, co może nie być już takie łatwe. Andrzej Duda nie tylko na tym polu musi znaleźć dla siebie odpowiednią, nową rolę.

Co robi prezydent? Nominalnie nadzoruje ład konstytucyjny państwa, politykę zagraniczną i obronną. Z tych trzech dziedzin polityka obronna po zwycięstwie w konflikcie z ministrem Antonim Macierewiczem przestała być areną żywszych sporów. Współpraca z ministrem Błaszczakiem może wydawać się wzorowa. O wiele bardziej aktywny prezydent był ostatnio na polu międzynarodowym. Głównie jednak wskutek specjalnych relacji z Donaldem Trumpem.

NOWE ELEMENTY UKŁADANKI

Miła atmosfera, w której Andrzej Duda żegnał Georgette Mosbacher, mogła wiązać się z nadzieją, że pani ambasador będzie dobrym pośrednikiem przy nawiązywaniu kontaktów z Joe Bidenem. Mosbacher w specjalnym oświadczeniu w listopadzie zeszłego roku zaznaczała, że Biden to „dobry i przyzwoity człowiek, z ogromnym doświadczeniem w polityce, był przecież wiceprezydentem przez osiem lat. [...] Jest przyjazną i życzliwą osobą, sądzę więc, że świetnie dogadają się z prezydentem Andrzejem Dudą" – podkreślała Mosbacher.

Tyle że w przypadku nowej administracji na prezydenta Dudę będzie czekało wiele pułapek. W Polsce zwolennicy opozycji już przechwalają się swoimi licznymi znajomościami w ekipie Bidena. Nowy sekretarz stanu Antony Blinken w sprawach polskich będzie zapewne zasięgał opinii byłego ambasadora w Polsce Daniela Frieda, który nie krył dystansu wobec ekipy dobrej zmiany. Blinken zapowiada powrót do ścisłego aliansu USA-Europa oraz współpracy w ramach organizacji międzynarodowych.

Jako żart można przyjąć sugestie mediów III RP, by nową ambasador w Warszawie została Anne Applebaum, ale na pewno znana publicystka wraz ze swoim mężem Radkiem Sikorskim będą częstszymi gośćmi w ambasadzie USA niż dotychczas.

A prezydent w tej niełatwej sytuacji ogłasza, że z funkcji szefa jego gabinetu odchodzi Krzysztof Szczerski. Urzędnik, który był faktycznie „kanclerzem" wyspecjalizowanym w polityce zagranicznej.

Faktem jest, że Szczerski od pewnego czasu wydawał się osobą nieco zblazowaną. Jego relacje z prezydentem Andrzejem Dudą przechodziły długą metamorfozę. Pierwsze dwa i pół roku urzędowania to okres najlepszej współpracy. Ci dwaj krakusi są niemal rówieśnikami (Szczerski jest o 11 miesięcy młodszy od Dudy), ukończyli dobre krakowskie licea i robili kariery na Uniwersytecie Jagiellońskim. Symboliczną sceną była w 2018 r. uroczystość nadania Szczerskiemu przez prezydenta tytułu naukowego profesora nauk społecznych.

Potem Szczerski zaczął zdradzać chęć odejścia na jakieś stanowisko międzynarodowe. Chociaż gdy trwało kompletowanie nowego rządu Mateusza Morawieckiego na początku 2018 r., to Szczerski miał odrzucić propozycję Jarosława Kaczyńskiego, by objąć MSZ. Jeśli wierzyć przeciekom z pałacu prezydenckiego, Szczerskiemu bardziej zależało na stanowisku wiceszefa NATO, w czym mieli mu pomóc Amerykanie. Nie udało się. Potem Morawiecki proponował mu funkcję komisarza Unii ds. rolnictwa, ale też miał odmówić.

„Prezydent miał coraz większą pretensję do Szczerskiego, że ten zaczął się rozglądać za międzynarodową funkcją, lekceważąc sobie w ten sposób stanowisko szefa jego gabinetu. A jednocześnie nie potrafił zrezygnować z jego usług" – mówi jeden z wpływowych polityków PiS.

Faktem jest, że nastąpiła sytuacja dziwaczna. Szczerski opuścił fotel szefa gabinetu prezydenta, ale nie odszedł daleko. Został pełnomocnikiem prezydenta ds. utworzenia Biura Polityki Międzynarodowej Prezydenta.

Andrzej Duda w wywiadzie dla interia.pl mówił tak: „Po wielu rozmowach

eprasa.pl c9af7342c1

z Krzysztofem Szczerskim stwierdziłem, że trzeba tworzyć takie wzmocnione biuro spraw międzynarodowych. Pandemia daje nam możliwości przeorganizowania polityki międzynarodowej, bo teraz dzieje się w niej mniej. Dziś wiele wydarzeń jest odsuwanych w czasie. Jednak jak tylko pandemia przygaśnie, to nastąpi intensyfikacja polityki międzynarodowej".

A więc ośrodek ekspercki jak BBN? Dlaczego jednak taka agenda kancelarii prezydenckiej nie mogła działać w podległości wobec Szczerskiego jako szefa gabinetu głowy państwa? Jeśli – jak chcą niektórzy – nowe biuro ma zajmować się szukaniem posady międzynarodowej dla prezydenta po zakończeniu kadencji, to jej nowy szef nie błysnął w szukaniu jej dla siebie. Tak czy inaczej, prezydent winien skupić się na jak najlepszym wykorzystaniu czterech i pół roku kadencji, a nie myśleć, co będzie po jej zakończeniu.

Oficjalnie jednak głowa państwa podkreśla, że chce wzmocnienia swoich prerogatyw. Czas pokaże, na ile ożywi to zagraniczną aktywność prezydenta.

CI ODLATUJĄ, CI ZOSTAJĄ

Wrażenie pewnego chaosu kadrowego w kancelarii prezydenckiej nie jest związane jedynie z dymisją Szczerskiego.

Paweł Mucha, wiceszef Kancelarii Prezydenta, odchodzi do NBP, by tam doradzać prezesowi Adamowi Glapińskiemu. Pozostawia sobie funkcję społecznego doradcy prezydenta, ale to znaczne osłabienie kancelarii. Znów nie wiadomo, dlaczego głowa państwa pozbywa się kogoś, kto lepiej lub gorzej, ale trwał u boku prezydenta w czasie kadencji. Wypalenie? Szukanie nowych kompetencji?

Dziwna aura niedomówień otacza też odejście z kancelarii w grudniu zeszłego roku Marcina Kędryny. Były dyrektor biura prasowego kancelarii był jednym z najlepiej rozpoznawalnych przez dziennikarzy ludzi z otoczenia prezydenta. W staroświeckim meloniku, z efektowną brodą dodawał pałacowi prezydenckiemu sympatycznego, krakowskiego uroku.

Już w październiku 2020 r. w wywiadzie dla Polsat News tak mówił o swoich relacjach z prezydentem: „Znamy się 40 lat. Skłamałbym, mówiąc, że jego wygrana w wyborach niczego nie zmieniła w naszym układzie. Zmieniła. Ale nie na tyle, żebym zapomniał, jak ma na imię. Albo drżał, czy aby krzywo na mnie nie spojrzy. Czasem stąpam po cienkim lodzie. Ale na razie ma do mnie cierpliwość" – mówił Kędryna zapytany, czy zwraca się do głowy państwa po imieniu.

Niektóre media sugerowały, że Kędrynę zniechęciły konflikty wewnętrzne w kancelarii. Inni twierdzili, że zabolały go odniesienia do środowiska LGBT w zeszłorocznej kampanii. Skoro tak, to dlaczego doszło do zerwania dopiero w grudniu?

I wreszcie swoista pointa zamieszania kadrowego – wychodząca zupełnie przypadkiem informacja, że Kinga Duda nie jest już społecznym doradcą pana prezydenta.

Nowym szefem gabinetu prezydenta został Paweł Szrot, 45-letni prawnik. Nie jest to człowiek mający podobne doświadczenie w dyplomacji międzynarodowej jak Szczerski, choć ma już wieloletnie doświadczenie w asystowaniu wielkiej polityce. Gdy pytam starych PiS-owców o tę postać, skojarzenie jest zazwyczaj jedno. Przez wiele lat był zaufanym Przemysława Gosiewskiego.

W epoce „pierwszego" rządu PiS, w latach 2005–2006, kierował gabinetem politycznym ministra rolnictwa i rozwoju wsi Krzysztofa Jurgiela. Od 2006 r. był szefem sekretariatu ministra członka Rady Ministrów i wicepremiera Przemysława Gosiewskiego. Okres „PiS-owskiej posuchy" lat 2007–2015 przepracował jako wicedyrektor biura Klubu Parlamentarnego PiS.

W 2015 r. poznał Andrzeja Dudę w trakcie kampanii wyborczej, w której był sekretarzem sztabu. Potem został już w kancelarii. W lutym 2016 r. objął funkcję wiceszefa kancelarii i pełnił ją do 2020 r. Sekretarzem stanu został 22 października 2020 r.

„Idealny człowiek drugiego planu, nierozpoznawany szerzej przez opinię publiczną" – wskazuje jeden z polityków PiS. „Teraz będzie postacią numer dwa po prezydencie i zobaczymy, czego się nauczył przez ostatnie lata". Paweł Szrot pamiętany jest z kampanii 2015 r. z bardzo dobrych relacji z Beatą Szydło.

Cień byłej pani premier mignął też przy okazji nominacji Piotra Ćwika na zastępcę Pawła Szrota. Do sierpnia 2020 r. Ćwik był wojewodą małopolskim, ale stracił stanowisko. Miało to nastąpić po sporze z ludźmi premiera Morawieckiego, z którymi wszedł w konflikt w sprawie sposobu restrukturyzacji kopalni na terenie województwa małopolskiego. I jeszcze jeden transfer. Do kancelarii przybył Łukasz Rzepecki, były poseł Kukiz'15, który sprzeciwił się rok temu aliansowi jego ugrupowania z PSL. Zająć ma się projektem „Młodzi w pałacu", ale na razie nie sposób orzec, z jakim efektem ten pomysł zostanie wcielony w życie.

WETO WETU NIERÓWNE

Nowy rok prezydent zaczął od zawetowania projektu ustawy o działach urzędów administracji państwowej. Prezydent nie zgadza się m.in. z włączeniem nowego działu leśnictwa i łowiectwa z Ministerstwem Środowiska do resortu rolnictwa. Tyle że znów pan prezydent nie dba o to, by przedstawiać powody swej decyzji w sposób zrozumiały dla opinii publicznej. W efekcie powstało wrażenie weta zgłoszonego jedynie dla przypomnienia o posiadanych prerogatywach. „Prezydent musiał przypomnieć, że istnieje. Na plus trzeba uznać mu to, że wybrał kwestię, w której premier Morawiecki jest otwarty na dyskusję" – mówi jeden z polityków PiS.

Urząd prezydencki jest stosunkowo mało przejrzysty. To prowokuje media do snucia często wydumanych tez na temat zamiarów prezydenta. Moi rozmówcy z PiS odrzucają teorie o sojuszu Andrzeja Dudy ze Zbigniewem Ziobrą. „To kolejny greps dziennikarzy z proopozycyjnych mediów. Jak zwykle niesprawdzalny, a tworzący wrażenie ciągłej walki buldogów pod dywanem w obozie Zjednoczonej Prawicy. Prezydent bardzo uważa, by nie wdawać się w wewnętrzne konflikty w imperium prezesa PiS" – mówi polityk PiS mający dobre relacje z Kancelarią Prezydenta.

I wydaje się mieć rację. Problemem Andrzeja Dudy nie jest brak wpływu na relacje w Zjednoczonej Prawicy, ale brak wyraźnej roli dla prezydenta w polskim systemie ustrojowym. Tak naprawdę głowa państwa jest obiektem zainteresowania wtedy, gdy korzysta z weta i paru innych uprawnień, takich jak np. rozwiązanie Sejmu.

Poza tym nie bardzo wiadomo, jaką ma odgrywać rolę. Przywódcy narodu? Nadzorcy MSZ w kreowaniu polityki zagranicznej? Zwierzchnika wojska? W żadnej z tych ról Andrzej Duda nie czuje się zbyt komfortowo.

Może jednak wymagania, by pełnił jakąś wyrazistą funkcję, są sprzeczne z oczekiwaniami większości Polaków? „Bardzo trafne było powiedzenie Andrzeja Zybertowicza: prezydent pilnuje, aby pociąg dobrej zmiany nie wyskoczył z szyn. Ta funkcja ma nie rzucać się w oczy, gdy wszystko w miarę dobrze posuwa się do przodu". Jeden z polityków PiS wskazuje: „Prezydent powinien być jak dobra policja – jeśli nie jest naprawdę źle, to nie powinno go być widać".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9af7342c1

Nowy podatek handlowy uderzy po kieszeni Polaków

Od 1 stycznia 2021 r. obowiązuje podatek od sprzedaży detalicznej, zwany podatkiem handlowym. Nowa danina miała wyrównać szanse pomiędzy firmami na rynku, tymczasem może się negatywnie odbić na gospodarce i portfelach Polaków. Branża już liczy straty i apeluje o odroczenie podatku na okres wychodzenia z pandemii

Podatek handlowy to kolejne uderzenie w sklepy, które straciły już na pandemii oraz zakazie handlu w niedziele. Zapłacą go sklepy z chwilą osiągnięcia w danym miesiącu przychodu ze sprzedaży detalicznej przekraczającego 17 mln zł. Jak poinformowało Ministerstwo Finansów, podatek będzie pobierany miesięcznie, a pierwsza płatność, za styczeń, powinna nastąpić do 25 lutego.

Przewidziano dwie stawki podatku: pierwsza wyniesie 0,8 proc. i obejmie miesięczny przychód między 17 a 170 mln zł, natomiast stawką 1,4 proc. będzie opodatkowany przychód ponad 170 mln zł. Według ministerstwa podatek detaliczny ma między innymi wyrównać szanse między dużymi sklepami a mniejszymi.

Sam podatek nie jest niczym nowym. Polska już w lipcu 2016 r. uchwaliła ustawę o podatku od sprzedaży detalicznej. Miał on wejść w życie już jesienią 2016 r. Komisja Europejska wszczęła jednak postępowanie ws. naruszenia prawa UE w związku z jego wprowadzeniem. Wiosną 2019 r. Trybunał Sprawiedliwości UE stwierdził nieważność decyzji Komisji.

Następnie podatek handlowy miał obowiązywać od 1 stycznia 2020 r., ale w związku z odwołaniem się KE od niekorzystnego dla niej wyroku TSUE w grudniu 2019 r. przedłużono jego zawieszenie do 1 lipca 2020 r. W połowie tego roku, z powodu epidemii, został on jednak zawieszony do końca 2020 r.

Decyzji TSUE ciągle nie ma, ale rząd na nią nie czeka i wprowadza podatek bez korzystnego wyroku.

BRANŻA BOI SIĘ KOLEJNEGO FATALNEGO ROKU

Wprowadzeniu podatku sprzeciwia się branża handlowa, która zwraca uwagę, że podatek był projektowany w innych warunkach gospodarczych. Kolejne trzy lockdowny zamknęły sklepy w galeriach handlowych na niemal cztery miesiące, czyli na jedną trzecią roku, jak wynika z dotychczasowych aktów prawnych. Federacja Przedsiębiorców Polskich i Konfederacja Lewiatan szacuje, że straty dla branży od początku pandemii wyniosły 25 mld zł i wciąż rosną. Tylko listopadowy lockdown przyniósł gospodarce ok. 8 mld zł strat z handlu – podała Polska Rada Centrów Handlowych. Dodatkowo na rentowność sklepów cały czas wpływa zakaz handlu w niedziele.

Dyrektor Departamentu Prawa i Legislacji Związku Przedsiębiorców i Praco-

eprasa.pl c9af7342c1

FOT. ADOBE STOCK

dawców Jakub Bińkowski zauważa, że podatek handlowy może stanowić ciężar, którego branża nie udźwignie.

– Związek Przedsiębiorców i Pracodawców bardzo konsekwentnie opowiada się przeciwko daninom o charakterze sektorowym. Uważamy, że dla zachowania równych i uczciwych warunków konkurencji konieczne jest, by podatki były powszechne i trudne do uniknięcia. Podatek handlowy jest daniną sektorową, natomiast w jego przypadku mamy do czynienia z dwoma dosyć szczególnymi uwarunkowaniami – podkreśla.

Pierwszym z nich jest to, że „pobór podatku rozpoczyna się w okresie epidemii, wyjątkowo trudnym dla przedsiębiorstw, w tym również sektora handlowego, którego sklepy w galeriach handlowych zostały trzykrotnie zamknięte. Po drugie, jego konstrukcja zaburza równe warunki konkurowania na rynku – zapłacą go polskie podmioty funkcjonujące jako pojedyncze spółki, podczas gdy podmioty zagraniczne, które mają podzieloną działalność między kilkadziesiąt spółek, unikną opodatkowania".

SKUTKI PODATKU HANDLOWEGO DLA SKLEPÓW

Branża handlowa nie ma wątpliwości, że podatek, który miał poskromić zagraniczne markety spożywcze, będzie oddziaływał na pozostałe segmenty handlu. Polska Organizacja Handlu i Dystrybucji apeluje do rządu o niewprowadzanie podatku. Powołuje się przy tym na opublikowany przez ekspertów ze Szkoły Głównej Handlowej raport „Społeczno-gospodarcze skutki wdrożenia podatku handlowego", w którym ostrzegają oni przed negatywnymi skutkami wprowadzenia tego podatku, takimi jak wzrost cen detalicznych, obniżenie cen u dostawców i ograniczenie dostępności części asortymentu.

– W przypadku firm z naszej branży podatek w tej wysokości skonsumuje dużą część zysków, ze względu na charakterystyczną dla branży niską marżę i rentowność zysku netto. Podatek zapłacą polskie spółki, podczas gdy bezpośrednia niemiecka konkurencja Media Saturn Holding, podzielona na wiele spółek, uniknie opodatkowania, zyskując silną przewagę konkurencyjną – stwierdza Agata Szostak, dyrektor ds. finansowych sieci RTV EURO AGD.

Dodatkowo przewaga konkurencyjna nie leży jedynie w uniknięciu opodatkowania, lecz także w otrzymanym dodatkowym wsparciu finansowym dla największego niemieckiego konkurenta, uzyskanym od jego niemieckiego właściciela w formie finansowania do kwoty 700 mln zł, który z kolei otrzymał wsparcie w kwocie 1,36 mld euro od państwowego niemieckiego banku KfW za zgodą Rządu Republiki Federalnej Niemiec.

Polski rynek handlowy jest różnorodny, obok segmentów z miażdżącą przewagą podmiotów zagranicznych są i takie, w których to polskie przedsiębiorstwa wypracowały duże udziały. Obok branży odzieżowej czy obuwniczej należy do niej również branża AGD, RTV i IT, w której 85 proc. rynku należy do polskich podmiotów. W tym segmencie podatek nie tylko nie wyrówna szans pomiędzy podmiotami zagranicznymi a polskimi, lecz także – wręcz przeciwnie – uderzy wyłącznie w rodzime przedsiębiorstwa.

PODATEK HANDLOWY MOGĄ ZAPŁACIĆ KLIENCI

Jakub Bińkowski spodziewa się najgorszego. – Konieczność zapłaty podatku od sprzedaży w sklepach stacjonarnych, które w galeriach były już trzykrotnie zamknięte, spowoduje istotne pogorszenie ich rentowności i może doprowadzić do ich zamykania oraz spowoduje konieczność obniżenia innych kosztów poprzez m.in. redukcję zatrudnienia – ocenia.

– Naturalnie podatek od sprzedaży detalicznej, jak każda danina, jest przerzucalny, więc ostatecznie jego ciężar ekonomiczny poniosą – w większym lub mniejszym stopniu – konsumenci, wskutek wzrostu cen – ostrzega.

Z niepokojem zauważa, że w obliczu kryzysu związanego z epidemią Polska nie zdecydowała się na podążanie śladem innych państw i zmniejszenie obciążeń daninami i obrała w zasadzie dokładnie przeciwny kierunek. – Gospodarka potrzebuje teraz spokoju regulacyjnego i powstrzymania nowych podatków, dlatego również pobór podatku od sprzedaży detalicznej powinien być zaniechany przynajmniej w bieżącym roku – podsumowuje dyrektor Departamentu Prawa i Legislacji ZPP.

Pobudzenie gospodarki na etapie wychodzenia z pandemii wymaga ogromnych nakładów finansowych. Jednak alternatywą dla szukania ich w portfelach przedsiębiorstw mogą być środki wynegocjowane przez polski rząd w ramach budżetu Unii Europejskiej oraz Funduszu Odbudowy – łącznie ok. 160 mld euro – które zaczną płynąć do naszego kraju jeszcze w tym roku.

Czy w takiej sytuacji, gdy Polska ekonomia będzie wsparta od 2021 r. niespotykanymi dotąd w historii funduszami, w związku z wielkim ogólnym kryzysem ekonomicznym wynikającym z pandemii COVID-19, należy obciążać polskie przedsiębiorstwa dodatkowym olbrzymim podatkiem? Wydaje się, że nie – stwierdza dyrektor ds. finansowych sieci RTV EURO AGD.

Firmy z branży handlowej liczą na pozytywny dialog z rządem w tym zakresie, który pozwoli odroczyć pobór podatku w trudnym gospodarczo czasie oraz wypracować zapisy w zakresie objęcia podatkiem grup kapitałowych, a nie pojedynczych spółek, co uniemożliwi unikanie opodatkowania i da możliwość powrotu polskich przedsiębiorstw do dobrej kondycji.

Autor: Ewa Koszowska

eprasa.pl c9af7342c1

Mandat nie do odrzucenia?

Łukasz Zboralski

PiS chce zmienić prawo i uniemożliwić odmowę przyjęcia mandatu. Według władzy to korzyść, bo w ciągu siedmiu dni będzie można przemyśleć decyzję i odwołać się do sądu. Jednak czy na pewno to lepsza sytuacja dla obywatela w sporze z organami władzy?

Nowelizacja dotknie głównie kierowców, bo 70 proc. wykroczeń rejestrowanych przez policję to wykroczenia na drogach FOT. PIOTR JĘDZURA/REPORTER

Grupa posłów PiS złożyła 8 stycznia w Sejmie projekt zmiany ustawy Kodeks postępowania w sprawach o wykroczenia. Nowelizacja przekształci procedurę karania Polaków mandatami. Obecnie każdy może odmówić przyjęcia kary. Wówczas np. policjant kieruje sprawę do sądu. Tam funkcjonariusze muszą udowodnić, że obywatel popełnił wykroczenie, i sąd nakłada karę lub uznaje, że do wykroczenia nie doszło.

Po nowelizacji – a jeśli zostanie przegłosowana w Sejmie, to wejdzie w życie bardzo szybko, po 14 dniach od opublikowania w Dzienniku Ustaw – ten porządek zostanie zmieniony. Przy nakładaniu mandatu funkcjonariusz nadal poinformuje o możliwościach sprzeciwu obywatela, ale kara i tak zostanie nałożona. A obywatel będzie mógł walczyć w sądzie o jej uchylenie.

Politycy PiS przekonują, że chcą odciążyć sądy. Argument? Większość spraw w sądach po nieprzyjęciu mandatów i tak kończy się ukaraniem obywateli. – W 90 proc. przypadków mandatów, kiedy sprawa jest skierowana do sądu, zapadają wyroki skazujące – mówił portalowi DoRzeczy.pl Marcin Warchoł, wiceminister sprawiedliwości. I zauważał, że koszty tych postępowań ponoszą wszyscy obywatele.

Wiceminister ma rację. Odsetek wygranych policji w sądach po odmowach przyjęcia mandatów czasem jest jeszcze wyższy i przekracza 99 proc. Komenda Główna Policji analizowała np., ilu kierowców nie przyjmowało mandatu za przekroczenie prędkości na drodze w latach 2016–2018. Okazało się, że do sądu szło zaledwie 0,87 proc. W dodatku w sądzie przed grzywną obroniło się ostatecznie zaledwie 0,8 proc. z nich.

A należy zauważyć, że w Polsce – jak wynika z danych Instytutu Wymiaru Sprawiedliwości za lata 2010–2017 – wykroczenia rejestrowane przez policję to w 70 proc. wykroczenia przeciw bezpieczeństwu i porządkowi w komunikacji, czyli głównie popełniane przez kierowców pojazdów. Wiadomo przy tym, że czasem policja w ogóle nie zamierza wręczyć mandatu i – uważając wykroczenie za bardzo poważne – od razu kieruje wniosek do sądu. To jednak ok. 5 proc. wszystkich przypadków wykroczeń ujawnianych przez tę służbę.

Jak wynika z informacji „Do Rzeczy" pozyskanych z resortu sprawiedliwości, liczba postępowań oraz wyroków nakazowych w sprawach o wykroczenia to: w 2017 r. – 419,9 tys., w 2018 r. – 386,8 tys., w 2019 r. – 340,1 tys. To głównie postępowania na wnioski policji (wnioski straży miejskiej stanowią ok. 25 proc. wszystkich).

Warto więc myśleć o odciążeniu sądów od tych postępowań. Tylko czy posłowie PiS zaproponowali dobre rozwiązanie?

Parlamentarzyści chcą bowiem dodać do Kodeksu postępowania o wykroczenia zapis: „Od nieprawomocnego mandatu karnego ukaranemu przysługuje, w termi-

eprasa.pl c9af7342c1

nie 7 dni od nałożenia grzywny mandatem karnym, odwołanie do sądu rejonowego właściwego ze względu na miejsce popełnienia wykroczenia. Odwołuje się bezpośrednio do sądu".

Zdaniem przedstawicieli rządu ma to być korzystne dla ludzi. – Projekt daje obywatelowi ukaranemu mandatem prawo do sądu – stwierdził w rozmowie z DoRzeczy.pl wiceminister Warchoł, zauważając, że decyzję o przyjęciu czy odrzuceniu mandatu ludzie podejmują często w emocjach, pochopnie oraz bez wiedzy o obowiązujących przepisach. – Nie ma wówczas możliwości dochodzenia sprawiedliwości w sądzie. Po przyjęciu mandatu nie można się już rozmyślić – wskazał Warchoł. – Nowe przepisy natomiast dają czas na spokojne zastanowienie się po powrocie do domu, konsultacje z rodziną i ze znajomymi oraz przedstawienie swojej wersji wydarzeń.

To nie do końca prawda. Owszem, po przyjęciu mandatu walka o jego uchylenie staje się o wiele trudniejsza, ale taka możliwość istnieje. W obecnym kodeksie (art. 101 par. 1) zapisano, że prawomocny mandat podlega uchyleniu, jeśli m.in. „grzywnę nałożono za czyn niebędący czynem zabronionym jako wykroczenie".

Dlaczego odwołanie przyjętego mandatu jest trudniejsze? Ponieważ to obywatel w ciągu siedmiu dni musi złożyć odwołanie w sądzie i to on musi przedstawić dowody na swoją niewinność. W odwrotnym przypadku – nieprzyjęcia mandatu – to policja ma czas na to, by sprawę do sądu w ogóle skierować, i to policja walczy przed sądem o udowodnienie winy obywatelowi.

– Projekt nie ogranicza konstytucyjnego prawa do sądu, wręcz przeciwnie, znacznie je zwiększa – przekonywał na portalu DoRzeczy.pl wiceminister Warchoł. Trudno jednak się zgodzić z takim zdaniem, skoro nowelizacja jest w istocie zawężeniem obecnych możliwości prawnych jedynie do istniejącej i dziś możliwości odwołania wnoszonego do sądu.

CO KTO POWINIEN UDOWADNIAĆ

Z propozycji nowelizacji wynika, że ukarany obywatel w odwołaniu ma podać argumenty wykazujące jego niewinność lub świadczące o zbyt wysokim wymiarze kary. „Odwołujący się powinien wskazać zaskarżony mandat karny oraz czy zaskarża mandat co do winy, czy co do kary. Odwołanie powinno wskazywać wszystkie znane skarżącemu dowody na poparcie swoich twierdzeń" – czytamy w projekcie nowelizacji. I dowody te będą musiały być dobrze przemyślane. Niewymienione w odwołaniu trudno będzie potem przed sądem wskazać, bo „Ukarany nie może w postępowaniu sądowym powoływać innych dowodów niż wskazane w par. 2 w zdaniu drugim, chyba że dowód nie był mu znany w chwili wniesienia odwołania".

– Projekt nie przerzuca na obywatela ciężaru udowodnienia swojej niewinności. Przy zaskarżaniu mandatu do sądu obywatel będzie podawał znane mu informacje, czyli po prostu przedstawi swoją wersję wydarzeń – argumentował na portalu DoRzeczy.pl wiceminister Warchoł.

Rzecznik praw obywatelskich wskazał jednak w oświadczeniu, że posłowie PiS zaproponowali „odwrócenie ciężaru dowodu" w swojej propozycji zmian prawa. „Polega to na tym, że obywatel ukarany mandatem karnym w krótkim czasie 7 dni zmuszony zostaje do zebrania wszystkich dowodów świadczących o jego niewinności i złożenia ich wraz z odwołaniem do sądu. Tymczasem standardem demokratycznego państwa prawnego jest, że to organ państwa musi wykazać winę jednostki pociąganej do odpowiedzialności za wykroczenie. Co równie ważne – w przypadku niemożności udowodnienia jednostce winy, to na oskarżycielu spoczywać powinien następczy obowiązek odstąpienia od prób zastosowania represji karnej" – napisał Adam Bodnar.

Zwrócił też uwagę na kłopoty z ograniczeniem późniejszego przedstawiania dowodów własnej niewinności. „[...] niebezpiecznie ograniczane wydaje się być prawo do obrony, w tym także znaczeniu, że możliwość późniejszego zgłaszania dowodów niewinności (mimo że niektórych sam obywatel pozyskać nie jest władny i do których dostęp miałby tylko uprawniony organ państwowy: np. nagrania monitoringu), jest warunkowana wyłącznie nieznajomością tego dowodu w chwili składania odwołania do mandatu" – wytknął RPO.

I na koniec – być może najtrudniejsza nowa sytuacja dla karanych mandatami. Nowelizacja nie zakłada, że wniesienie do sądu odwołania automatycznie wstrzyma nakaz zapłaty grzywny. Sąd może orzec wstrzymanie zapłaty do czasu rozstrzygnięcia sprawy, ale wcale tego uczynić nie musi. Ukarani grzywną – a ta w Polsce nakładana jest w wysokości do 1 tys. zł (choć w szczególnych przypadkach może być wyższa) – którzy nie zgadzają się z karą i czują się niewinni, będą więc czasem zmuszeni najpierw do zapłaty mimo walki w sądzie. Dzisiaj odmowa przyjęcia mandatu oznacza, że kwoty grzywny nie trzeba płacić do czasu rozstrzygnięcia w sądzie.

RPO dodaje, że po nowelizacji na obywatela decydującego się na odwołanie sąd będzie mógł nakładać grzywnę wyższą niż zaproponowana przez organ wystawiający mandat (dziś sądy zwykle karzą karą adekwatną do zaproponowanej w mandacie). I to może zniechęcać ludzi do wnoszenia odwołań.

– Będą jeszcze inne problemy – wskazuje Janusz Popiel, szef Stowarzyszenia Alter Ego zajmującego się pomocą poszkodowanym w wypadkach. – Zdarzały się nam takie sprawy, że poszkodowany w wypadku zostawał uznany winnym i policjanci na łóżku szpitalnym wręczali mandat. To jak taki człowiek, wymagający dłuższego leczenia, złoży w ciągu siedmiu dni sprzeciw od mandatu w sądzie? – pyta.

WZOREM ZACHODU?

Przedstawiciele Zjednoczonej Prawicy przekonują też, że tak samo odwołanie wygląda w innych krajach Europy. – W Niemczech mandaty za wykroczenia drogowe działają od razu, podobnie we Francji, w Belgii czy Holandii są one nakładane bez pytania o zgodę obywatela, który dopiero w sądzie może dowodzić swojej niewinności – wyliczał DoRzeczy.pl wiceminister Warchoł.

Nie są to jednak takie same regulacje jak proponowane w polskiej nowelizacji przynajmniej w odniesieniu do Niemiec. Wyjaśnił to obszernie na Facebooku prof. Włodzimierz Wróbel z Katedry Prawa Karnego UJ. Obywatel ukarany tam przez policję odpowiednikiem polskiego mandatu może wnieść sprzeciw. I jeśli organ sprzeciwu nie uznaje, to kieruje sprawę do prokuratury. Dopiero ona decyduje, czy skierować sprawę do sądu. Jest to zatem nadal udowadnianie obywatelowi winy przez organa państwa, a nie – jak zdaniem prof. Wróbla w nowelizacji posłów PiS – udowadnianie niewinności przez obywatela.

– Nie wiadomo, co do końca chce osiągnąć ustawodawca – mówi „Do Rzeczy" mec. Piotr Leonarski. – Dziś po odmowie przyjęcia mandatu to policjant kieruje sprawę do sądu. On więc też ma czas na pewną autorefleksję, może przemyśleć, czy podjął właściwą decyzję. Po zmianie każda niezgoda ukaranego trafi do sądu. Czy zatem tych spraw w sądach będzie mniej? Tego nie wiadomo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9af7342c1

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

Hodowanie Zbigniewa S.

Tomasz Rowiński

Historia z owinięciem wokół palca Lecha Wałęsy pokazuje, że Zbigniew S. wciąż potrafi odgrywać swoją rolę ofiary działań państwa

Zbigniew S. nie pozwala o sobie zapomnieć, choć zdaje się, że jego sława enfant terrible polskiej sfery publicznej zaczyna się kończyć. Zatrzymanie w Holandii, gdzie ukrył się przed oskarżeniami o oszustwa podczas prowadzenia działalności charytatywnej, może zakończyć się wieloletnią odsiadką. Wydaje się, że tym razem nie uda mu się już od niej wymigać. Mimo wszystko ostatnia akcja, w której telefonicznie udało mu się namówić Lecha Wałęsę, by ten wsparł jego wniosek o azyl polityczny w Norwegii, jest w pewnym sensie godna podziwu. Oczywiście jest to podziw, jaki należy się zręcznemu przestępcy, i nic więcej.

Przez wiele lat, pomimo kolejnych spraw prokuratorskich, a także wyroków skazujących, dzięki różnym działaniom i nie mniej ważnej obecności w mediach społecznościowych, udawało się Zbigniewowi S. utrzymywać wśród szerszej publiczności opinię swego rodzaju trybuna ludowego. Samotnego bojownika, który przeciwstawia się politycznej mafii, tzw. złodziejstwu fiskusa, kościelnej omercie w sprawie nadużyć seksualnych i homoseksualnego lobby. Jego wulgarny styl, połączony z brawurą, formułowanie ostrych ocen na temat prawdziwych czy wyimaginowanych afer elit władzy przysporzyły mu licznych odbiorców i – można użyć tego słowa – fanów. W 2015 r. konto S. na YouTube miało blisko pół miliona subskrybentów i na tym poziomie zostało wtedy zablokowane. Dzisiaj na „oficjalnym kanale" Zbigniewa S. jest tych subskrypcji nieco mniej, bo 428 tys., ale to i tak dużo, zważywszy na poziom, jaki reprezentują produkcje, które można tam znaleźć. To już zresztą kolejna odsłona tego kanału, ponieważ najstarsze aktualnie dostępne filmy nie sięgają dalej niż dziewięciu miesięcy wstecz.

JAK PATOSTREAMER

Oznacza to zatem, że publiczność Zbigniewa S. jest na swój sposób wierna i powraca do śledzenia tego specyficznego celebryty. Trudno zresztą powiedzieć, czy bardziej chodzi jej o słuchanie o kolejnych rzekomych i faktycznych aferach, oglądanie prowokacji czy może jednak przede

eprasa.pl c9af7342c1

wszystkim o śledzenie barwnych losów sławnego przestępcy. Nie jest nowym zjawiskiem sytuacja, w której przedstawiciele świata występku stają się panami społecznej wyobraźni i bohaterami legend. Pięciocentowe powieści o przygodach Jesse'ego Jamesa sprzedawały się jak ciepłe bułeczki. Ktoś uzna, że jestem nadwrażliwy, ale rzut oka wystarcza mi, by ocenić publikacje Zbigniewa S. jako ocierające się o dość popularne zjawisko znane jako patostreaming. A może właśnie o to chodzi, może od początku była to zręczna metoda Zbigniewa S., by funkcjonować w przestrzeni publicznej, metoda przyciągania uwagi i osłaniania aktywności przestępczej?

Motywacje działań Zbigniewa S. nie są wcale łatwe do oceny. Nie byłoby dziwne, gdyby jemu samemu zacierała się różnica między byciem bohaterem społecznym a przestępcą. W końcu uciekając do Norwegii, a potem do Holandii, pogodził się z utratą 400 tys. zł poręczenia majątkowego. Niejeden przestępca zdecydowałby się na takie posunięcie, ale tylko dla większej korzyści majątkowej. Można też jeszcze zrozumieć, że ktoś wybiera ukrywanie się przed wymiarem sprawiedliwości i utratę znacznej kwoty, ponieważ wysoko ceni sobie swoją swobodę. Czy jednak ktoś, kto się ukrywa i jest ścigany na podstawie Europejskiego nakazu aresztowania, prowadzi nieprzerwaną transmisję – niemal na żywo – ze swojego życia? Zbigniew S. zachowuje się tak jak wielu tzw. influencerów w rzeczywistości wirtualnej – jego własny los wydaje się tylko pożywką dla atrakcyjnej obecności na ekranach innych ludzi. Coraz mniej wskazuje na to, by na swoich działaniach robił jakiś szczególny interes, nie mówiąc już o utrzymywaniu opinii prześladowanego wroga mafijnego państwa.

W obu sprawach mogę się oczywiście mylić – nie znam bilansu finansowego działań Zbigniewa S., a historia z owinięciem wokół palca Lecha Wałęsy pokazuje, że wciąż potrafi on odgrywać rolę ofiary działań państwa. Przypomnijmy, że na początku grudnia, gdy pojawił się Europejski nakaz aresztowania, S. pokazał swoje ferrari F430, które już przed laty jeździło z napisem: „Złodzieje z Wiejskiej, oddajcie Polskę". Ogłosił, że będzie nim uciekał przed organami ścigania.

Dawniej Zbigniew S. przedstawiał się jako zwolennik prawicy niepisowskiej, deklarował gotowość wsparcia, także finansowego, Grzegorza Brauna, Janusza Korwin-Mikkego, Pawła Kukiza, Ruchu Narodowego czy Nowej Prawicy. Jako ludzi godnych zaufania wymieniał Krzysztofa Bosaka i Artura Zawiszę. Dzisiaj można uznać za bardzo prawdopodobne, że te deklaracje były równie wiarygodne jak ta, że Lech Kaczyński był jego przyjacielem. Jeśli chodzi o politykę, to S. otarł się o Samoobronę, w której był asystentem Wandy Łyżwińskiej. Jednak sam Andrzej Lepper się od niego odcinał. „S. nigdy nie był moim doradcą" – mówił. „Działania pana Zbigniewa S. nigdy nie były przedmiotem mojego zainteresowania" – cytował lidera Samoobrony Jakub Kowalski na łamach „Do Rzeczy" w 2015 r. Trzeba przyznać, że to dość stanowcza deklaracja. Być może Andrzej Lepper już przed laty rozpoznał, z jakim typem człowieka ma do czynienia.

W 2015 r. S. wysadził w powietrze część rządu Ewy Kopacz, gdy ujawnił akta afery taśmowej. Dzisiaj jego celem stały się rządy Prawa i Sprawiedliwości. Często atakuje Zbigniewa Ziobrę. I mimo że wobec kolejnych malwersacji, kłamstw i wyroków powinno być oczywiste, że S. działa przede wszystkim we własnym interesie, retoryka antypisowska, jak się zdaje, pozwoliła mu znów zbudować jakiś rodzaj kapitału zaufania.

WSPARCIE WAŁĘSY

Zbigniew S. do Lecha Wałęsy miał zadzwonić 24 listopada. „Nie zdążyłem słuchawki odłożyć, a On już zdążył pomóc" – pisał o Wałęsie na Facebooku. Były prezydent potwierdził, że faktycznie wstawił się za S. w norweskim urzędzie imigracyjnym, by ten pozytywnie rozpatrzył wniosek o azyl polityczny. Wałęsa napisał, że to używane przez S. metody i jego retoryka lokują go „poza głównym nurtem mediów, dlatego krytykowane przez niego osoby z kręgu obecnej władzy wypowiedziały mu bezwzględną wojnę" – referował portal Wprost.pl, który ujawnił treść listu. W dodatku Lech Wałęsa napisał, że S. jest osobą szykanowaną przez obecne władze kraju, w którym – co, przyznajmy, w tej sprawie nie ma szczególnego znaczenia – ostentacyjnie łamie się trójpodział władzy, a praworządność jest mglistym marzeniem.

W ocenie Wałęsy Zbigniew S. jest prześladowany z powodów politycznych, a nie rzeczywistych przestępstw, i grozi mu eskalacja przemocy prawnej ze strony państwa. „Stanowi to zagrożenie dla jego wolności" – pisał Lech Wałęsa. „Jego wniosek o azyl w Królestwie Norwegii uważam za dramatyczne, ale uzasadnione posunięcie człowieka walczącego o swój elementarny byt" – podsumowywał były prezydent.

„NARODZINY" ZBIGNIEWA S.

Sprawa ta pokazuje, że przynajmniej na chwilę Zbigniew S. znów znalazł się w swojej ulubionej sytuacji ofiary opresyjnego państwa, które gnębi, jeśli już nie obrońcę sprawiedliwości, to zwykłego obywatela przedsiębiorcę. „Dawałem ludziom pracę, wspierałem lokalne społeczności, starałem się. Mimo tego postanowiono mnie wykluczyć. Ale ja się nie poddam, nie jestem taką osobą" – pisał przed laty, gdy miał problemy z odzyskaniem pieniędzy od fiskusa, które, jak wykazały późniejsze kontrole, rzeczywiście mu się należały. Być może wtedy „narodził" się Zbigniew S., jakiego znamy dziś. Oplakatował wówczas swoje przedsiębiorstwo wulgarnymi hasłami przeciwko skarbówce i politykom, zaczął dobijać się do dziennikarzy, by zainteresować ich swoją sprawą. W 2014 r. opublikował w Internecie listę kontaktów do dziennikarzy mediów ogólnokrajowych, by zwrócić na siebie i swoje sprawy uwagę. Zaczął budować wizerunek bezpardonowego demaskatora, mściciela państwowej niesprawiedliwości.

Zdobyte sława i zasięgi spowodowały, że zaczęli się do niego zwracać ludzie z różnymi swoimi rzeczywistymi problemami, które ich zdaniem wymagały nagłośnienia. S. korzystał z tego, wzmacniając wizerunek samotnego szeryfa, zaangażowanego w sprawy zwykłych ludzi. Równocześnie zarabiał na firmowanej swoim nazwiskiem gazecie, grze planszowej, ale także, jak się zdaje, praniu pieniędzy. Biorąc pod uwagę swoje wczesne doświadczenia, być może uznał, że skoro fiskus i państwo to po prostu mafia, to i on może brać wszelkie sprawy w swoje ręce i metodami mafijnymi zadbać o swoje. Jestem najdalszy od usprawiedliwiania działań naszego antybohatera, jednak pewna uwaga wypowiedziana przed laty przez zachowującego anonimowość byłego ministra z szeregów Samoobrony nie daje mi spokoju. „Państwo nie umiało zatrzymać tego człowieka i wyhodowało takiego Zbigniewa S.". Chyba najwyższy czas tę hodowlę zatrzymać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9af7342c1

Agnieszka Niewińska

Bestia ze Wschodu

O 30-stopniowym mrozie mało kto marzy, ale wielu dotkliwie odczuwa brak prawdziwej zimy. Z tej tęsknoty jedni już ciągali sanki po trawie, inni bałwany lepili ze sztucznego śniegu z sody. Pierwsze większe opady wywołały euforię

Pogłoski o jej nadejściu zaczęły krążyć z początkiem roku. Miała dać się poznać po siarczystych mrozach, potężnych zaspach, a nawet zamieciach śnieżnych. Rozprawiano o niej – ze względu na pandemię – raczej na internetowych portalach, czatach i podczas rozmów telefonicznych, a nie – jak drzewiej bywało – w komunikacji miejskiej czy podczas sąsiedzkich dyskusji przez płot. Bestia ze Wschodu – bo o nią chodzi – to wyż syberyjski, który niesie ze sobą falę zimnego powietrza. Przydomek syberyjskiemu wyżowi nadali Brytyjczycy, którzy w 2018 r. przeżyli srogą zimę. Najniższą temperaturę (–14 stopni C) zanotowano na szczycie Cairn Gorm w Szkocji. Teraz o Bestii ze Wschodu znów zrobiło się głośno. Nie tylko nad Tamizą, lecz także nad Wisłą.

CZAS SANECZKARZY

Temat wywołał Marek Kučera, czeski meteorolog i fizyk atmosfery z Uniwersytetu Karola w Pradze. Na swoim blogu napisał, że w połowie stycznia będziemy mieli do czynienia z jednym z najmroźniejszych podmuchów od 2000 r. Zapowiedział też, że w niektórych regionach mogą paść rekordy zimna. I ruszyły spekulacje. Przyjdzie? Nie przyjdzie? Bestia czy tylko bestyjka? Będzie 30 stopni poniżej zera czy może tylko lekki mróz?

W Instytucie Meteorologii i Gospodarki Wodnej zaczęły urywać się telefony. – W ostatnich latach przyzwyczailiśmy się do ciepłych zim, więc opady śniegu i spadek temperatur wywołują duże zainteresowanie Polaków – mówił „Do Rzeczy" Jakub Gawron, synoptyk IMiGW-PIB.

Tłumaczył jednak, że choć czeka nas ochłodzenie, to doniesienia o Bestii ze Wschodu są meteorologicznym fake newsem. – Będziemy pod wpływem niżu znad wschodniej Europy – z terenów Ukrainy i Białorusi. Na wschodzie Polski oraz w obszarach podgórskich temperatura w nocy spadnie do –20 stopni C. Niska temperatura nawet poniżej –10 stopni C będzie się utrzymywać także w dzień. W zachodniej Polsce również się ochłodzi, ale w dzień temperatura będzie oscylować wokół –3 stopni C – zapowiadał synoptyk tuż przed zamknięciem tego numeru „Do Rzeczy". I dodawał, że ochłodzenie będzie krótkotrwałe. W momencie, kiedy czytają państwo ten numer tygodnika, ochłodzenie może już ustępować. – Od wtorku spodziewamy się ocieplenia. Dotrze do nas powietrze z zachodu. W środę na wschodzie w dzień będzie ok. 0 stopni C. W zachodniej Polsce ok. 4–5 stopni C.

Długo wyczekiwany – zwłaszcza przez dzieci – śnieg pojawił się już nie tylko w górach czy na Kujawach, lecz niemal w całym kraju. W ubiegłym tygodniu media społecznościowe zalały zdjęcia przyprószonych ogródków i parków. W Polsce zaroiło się od bałwanów – już nie rachitycznych, ledwo wystających nad ziemię, ale pękatych i dostojnych. Strony dla kreatywnych rodziców z przepisami na sztuczny śnieg z mąki ziemniaczanej, sody czy pianki do golenia chwilowo poszły w kąt, bo pojawiła się szansa na zabawę prawdziwymi śnieżkami.

Na lokalnych forach internetowych pojawiły się zapytania o to, gdzie jeszcze można kupić sanki. O ile w ostatnich bezśnieżnych latach z ich zakupem nie było

Zima stulecia w Polsce, 1979 r.

FOT. NAC

eprasa.pl c9af7342c1

problemu, o tyle teraz magazyny producentów opustoszały. – Przez ostatnie siedem lat w zasadzie nie było zim, a gdy nie ma zim, to nie ma sprzedaży sanek – mówi Mateusz Drabik z rodzinnej firmy San Drew z Tarnawy Dolnej, która od lat 80. produkuje klasyczne sanki z drewna bukowego. – W tym roku mamy dobry sezon. Pierwszy śnieg pojawił się przed mikołajem i wtedy zaczął się ruch. Duże zainteresowanie sankami widać było w okresie sylwestrowo-noworocznym. Teraz śniegu dosypało i mnóstwo ludzi jeździ na sankach. Udało nam się sprzedać nadwyżki z magazynów. Ceny sanek bardzo wzrosły, bo zapotrzebowanie jest teraz duże, a producentów zostało jak na lekarstwo, zaledwie kilku. Za sanki, które kosztowały 70–80 zł, trzeba teraz zapłacić 150–200 zł – opowiada Drabik. I dodaje, że sanki to „śliski" biznes. – Drewno musi się sezonować siedem–osiem miesięcy. Za chwilę będziemy kupować materiał na sanki, które wyprodukujemy we wrześniu. Trudno jest z takim wyprzedzeniem przewidzieć, jaka będzie zima, ile sanek się sprzeda i ile drewna na nie kupić – tłumaczy.

Firma jest jednak przygotowana na klimatyczne zmiany. Produkuje nie tylko sanki, lecz także leżaki plażowe i ogrodowe z podłokietnikami i bez. – Z samymi sankami byłoby trudno. Teraz to już produkt niszowy, sezonowy, mocno zależny od pogody – mówi Mateusz Drabik.

CHLEB ZMROŻONY NA KAMIEŃ

Piotr, tata Zosi i Jasia, przyznaje, że dzieciom sanek nie kupił. – Mamy sanki u dziadka, bo nie opłaca się nam ich kupować. Zbyt małe szanse na śnieg, żeby decydować się na taką inwestycję – mówi. Matylda, mama Stasia, opowiada, że z braku śniegu w mieście syna trzeba było ciągnąć sankami po trawie. – Ale porządny śnieg już widział w zeszłym roku w Beskidzie Niskim – podkreśla.

Pan Dariusz, emeryt z Warszawy, nie patrzy w niebo z tęsknotą za białym puchem, choć przez lata trzymał w garażu sanki po dzieciach, licząc na to, że przydadzą się wnukom. – Pojawił się wnuk, ale od kiedy się urodził, śniegu prawie nie ma. W ubiegłym roku się zdenerwowałem i sankom przyprawiłem kółka. Już mnie śnieżne zimy nie obchodzą, chociaż przyjemniej jest ciągnąć dzieciaka, kiedy śnieg trzeszczy pod płozami – opowiada.

Sanki na bezśnieżną aurę – choć nie autorstwa pomysłowego dziadka – zrobiły już furorę na salonach. W 2012 r. całoroczne sanki zaprezentował na Łódź Design Festival architekt i designer Szymon Hanczar. Nadał im nawet nazwę „We never give up!" (Nigdy się nie poddajemy). Do sanek domontował kółka, które w razie opadów śniegu można po prostu odkręcić.

Grzegorz Sieczkowski, dziennikarz, autor m.in. książki „Zima stulecia", podkreśla, że za zimą po prostu tęsknimy. – Nie za zimą stulecia, ale za normalną zimą ze śniegiem, z sankami, mrozem. Brakuje nam śniegu na święta Bożego Narodzenia, który tworzy niezwykłą atmosferę. Dla mojego pokolenia zima była czymś normalnym. Jako dziecko mieszkałem na warszawskiej Saskiej Kępie. Pamiętam, jak idąc do szkoły, mijałem zasypane śniegiem uliczki, jak śnieg skrzypiał pod butami. To miało swój klimat. Teraz, kiedy zima jest szara i deszczowa, nie chce się nawet wychodzić z psami na spacer – mówi. I dodaje, że w jego domu rodzinnym często wspominało się ostre zimy. – Słuchałem opowieści o bardzo srogiej zimie z początku wojny, kolejnej z lat 50. Za oknem było –15 stopni, a w domu słyszałem: „Kiedyś to były zimy". Dopiero zima stulecia z przełomu lat 1978/1979 przyćmiła wszystkie inne zimy i przestało się je wspominać. Teraz po latach sam wchodzę w buty starszych ludzi i mówię: „Kiedyś to były zimy".

W swojej książce „Zima stulecia" Grzegorz Sieczkowski przytacza wspomnienia wielu osób o mroźnym kataklizmie, który zjawił się niepostrzeżenie w sylwestrową noc 1978 r. i sparaliżował kraj na całe tygodnie. Temperatura spadła nawet do 20–25 stopni poniżej zera, a warstwa śniegu sięgająca niemal metra przykryła pola i drogi. Nie latały samoloty, pociągi w najlepszym razie miały wielogodzinne opóźnienia.

Na drogach kopano w śniegu tunele i mijanki, by minąć się mogły pojazdy nadjeżdżające z przeciwka. O ile w ogóle udało się uruchomić ich silniki. Popularnym środkiem transportu stały się narty i sanki. Zamknięto szkoły, zakłady pracy, miejsca kultury. – Poubierani w swetry, okryci kocami siedzieliśmy w domach, sprawdzając co chwila, czy kaloryfery grzeją. Było trochę jak teraz, w pandemii. Nie było gdzie pójść. Kina i teatry były zamknięte, a nieliczne w PRL kawiarnie świeciły pustkami. Obserwowaliśmy bezradność systemu komunistycznego. Chleb był w tamtych czasach wożony w skrzynkach samochodami przykrytymi tylko plandeką, więc w zimę stulecia przynosiliśmy go do domu zamrożonego i twardego jak kamień. Trzeba było włożyć go do piekarnika albo czekać, aż się sam rozmrozi. Mleka w pierwszych dniach w ogóle nie można było kupić. Potem pojawiło się sprzedawane nie w butelkach, ale prosto z baniek. Dzisiaj sanepid by tego zabronił – wspomina Grzegorz Sieczkowski. I dodaje: – Myślę jednak, że z taką zimą, jaka była wówczas, każde, także współczesne, państwo miałoby problem. Zwłaszcza teraz, po tylu latach bez srogich zim.

40 STOPNI PONIŻEJ ZERA

W poprzednim stuleciu tzw. zim stulecia było kilka. W Narodowym Archiwum Cyfrowym można znaleźć pojedyncze zdjęcia będące zapisem zimowego kataklizmu z przełomu lat 1928/1929. Na jednej z fotografii grupa mężczyzn odśnieża tory przed lokomotywą parową. Zaspy z lewej i prawej strony sięgają niemal komina lokomotywy. Tej zimy padło wiele rekordów zimna. Za jeden z nieoficjalnych podaje się ten z Rabki. Termometry miały tam wskazywać prawie 46 stopni poniżej zera. Oficjalnie jednak rekord temperaturowy miał paść kolejnej zimy nazywanej zimą stulecia – tej z 1940 r. 11 stycznia w Siedlcach zanotowano –41 stopni, a zima odpuściła dopiero w pierwszych dniach marca. Kolejną ciężką zimą była ta z przełomu lat 1962/1963. Wystarczy przytoczyć niektóre temperaturowe rekordy z tamtego czasu: Rzeszów –35,8 stopni C, Nowy Targ –35 stopni C, Kraków –28 stopni C. Potem przyszła wspomniana już zima stulecia z przełomu lat 1978/1979. Silne mrozy dały też w kość na przełomie lat 1986/1987. W wielu miejscach słupki rtęci spadły do –30 stopni C. Średnia temperatur dla całego miesiąca w wielu miejscach była poniżej –10 stopni.

Czy w tym stuleciu będzie „zima stulecia" albo chociaż jakaś porządna zima? A może będziemy o nich już tylko czytać w książkach? – Klimatolog z IMGW-PIB prof. Mirosław Miętus wskazuje, że klimat w Polsce się ociepla, a średnia temperatura rośnie. Nie oznacza to jednak, że mamy zapomnieć o śniegu – mówi synoptyk Jakub Gawron.

Śnieżnych zabaw lepiej nie odkładać na później. Cieplejsze dni są już za rogiem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9af7342c1

Francuski pisarz Jean Raspail

FOT. PASCAL PARROT/SYGMA/GETTY IMAGES

Czy powieść katolicka jest możliwa?

Elżbieta Morawiec

Tytułowe pytanie można by potraktować jako retoryczne, a odpowiedź jako oczywistą. Brzmiałaby: Dopóty, dopóki istnieją pisarze katolicy. Idzie jednak o coś głębszego – o społeczne istnienie takiej literatury. Jak można ją dziś uprawiać, aby jej ten byt społeczny zapewnić?

Niesłabnąca popularność cyklu Tolkienowskiego czy „Opowieści z Narnii" Lewisa zdaje się wskazywać, że ta skazana przez lewicowe media i trendy na niszowość literatura ma się nieźle. Na polskim gruncie prawda, że w małych wydawnictwach, ale – co nie bez znaczenia – państwowo dotowane ukazały się przekłady książek wielkiego francuskiego pisarza Jeana Raspaila: „Obóz świętych", „Pierścień rybaka", „Sire" , „Miłosierdzie". Inny, wielki, a zupełnie w Polsce nieznany – Joseph Malègue – został ponad dwa lata temu udostępniony polskiemu czytelnikowi przekładem powieści „Augustin ou le Maître est là", pióra prof. Urszuli Prokop. Wydany własnym sumptem od blisko dwóch lat „obrabiany" jest w PIW i na razie końca temu nie widać. Wreszcie pisarz, który miał więcej szczęścia niż obaj Francuzi: Kanadyjczyk Michael D. O'Brien jest już prawie w całości przybliżony polskiemu czytelnikowi. Skoro te grube powieści (O'Brien rzadko schodzi poniżej 500 czy 600 stron) się rozchodzą – to ze społecznym bytem powieści katolickiej nie jest aż tak źle, jakby się mogło wydawać.

FRANCUSKA KLASYKA

Z dorobkiem tych trzech pisarzy warto się pokrótce zapoznać. Zmarły niedawno, w wieku 95 lat, Raspail polskim czytelnikom znany jest przede wszystkim z powieści „Obóz świętych". Wydana w 1975 r. powieść jest wstrząsającą i jakże profetyczną zapowiedzią inwazji imigrantów na Europę i jej nieuchronnych skutków. Powieść – równie przenikliwa jak drastyczna w obrazowaniu – jest stosunkowo prosta dla czytelnika. Co innego ostatnie, nigdy nieukończone, „Miłosierdzie", które Raspail pisał przez kilkanaście lat. Osnuta wokół prawdziwego zdarzenia we Francji w roku 1956 – podwójnego morderstwa, którego na swojej ciężarnej kochance dokonał pewien ksiądz. Raspail bierze z tego faktu tylko postać bohatera. W książce pojawia się on nie wprost, lecz przez opowieści innych. Dokonująca się w więzieniu przemiana bohatera nie jest bowiem treścią refleksji pisarza. Nie jest nią psychologia, ale niewypowiedziane zawisłe nad książką pytania: Jakie jest działanie Bożego miłosierdzia? Jakie są jego granice i czy w ogóle istnieją? Pytania pozostawione bez odpowiedzi, pozostawione sumieniu czytelnika. O czułości sumienia samego Raspaila świadczyć może to, że zarówno swoją postawę polityczną (był rojalistą), jak i twórczość traktował jako ekspiację za udział swojego przodka w rewolucji francuskiej…

Joseph Malègue (1875–1940) polskiemu czytelnikowi prawie zupełnie nieznany, debiutował późno, na początku lat 30. XX w., za to z ogromnym sukcesem. Licząca 900 stron powieść „Augustin ou le Maître est là" natychmiast zyskała ogromne uznanie krytyki i środowiska pisarskiego. Autora okrzyknięto – nie sądzę, aby zasadnie czy potrzebnie – „katolickim Proustem". W jego dorobku jest jeszcze tylko jedna powieść, równie obszerna, acz niedokończona „Pierres noires: Les Classes moyennes du Salut".

Malègue bodaj jako pierwszy w literaturze katolickiej nie zajmował się grzechem wobec szóstego przykazania. Skupił się na najcięższym grzechu – odrzuceniu Boga. Jak liczni we Francji początków XX w. moderniści katolicy bohater powieści, prosty chłopak

eprasa.pl c9af7342c1

z Owernii, podczas studiów uniwersyteckich traci wiarę, odchodzi od Boga. Odnajduje go u końca swojej bardzo dramatycznej drogi życiowej – na łożu śmierci w szwajcarskim sanatorium. Scena spowiedzi Augustyna w pokoju otwartym na ośnieżone szczyty Alp, wobec księdza, przyjaciela młodości, to absolutne, przejmujące głębią i pięknem arcydzieło.

DZIECKO NOWEGO ŚWIATA

Obaj Francuzi to wielka klasyka literacka. Kanadyjczyk O'Brien nie na darmo jest dzieckiem Nowego Świata. Jego bardzo obszernym powieściom nieobce są środki i efekty z kultury masowej – powieści kryminalnej, przygodowej. Zawsze jednak stosowane z umiarem, nieprzesłaniające najważniejszej idei utworu. We wczesnej młodości ateizował. Nawrócił się na katolicyzm w wieku 21 lat. Jest autodydaktą, bez wyższych studiów uniwersyteckich. Obdarzony także talentem plastycznym – sam projektuje okładki swoich książek. Debiutował z inspiracji żony – późno, mając 46 lat. Najważniejsze jak dotąd dzieło O'Briena – trylogia o o. Eliaszu – to opowieść o dzisiejszym świecie nadciągającej apokalipsy. Czytelnik odnajdzie w nim ważne polskie wątki. Bohater trylogii, Żyd David Schafer, ukrywany jest podczas wojny w Warszawie przez Polaka, Pawła Tarnowskiego. Nawraca się i wstępuje do zakonu karmelitańskiego. W kolejnym tomie powołany zostaje przez papieża (mocno przypominającego Jana Pawła II i kardynała – quasi-portret – Josepha Ratzingera) do misji ocalenia świata przed szatanem. W przedmowie do wydanego ostatnio polskiego przekładu tomu „Ojciec Eliasz. Czas Apokalipsy" O'Brien daje się poznać jako znawca polskiej współczesności, specyfiki polskiej religijności, a także – co najważniejsze – uznania, że katolicyzm polski jest religią ludzi wybranych do uratowania świata, że takie jest głębokie jądro naszej polskiej wiary. Z kolei świetną znajomością Rosji zaleca się (w rozumieniu – wyróżnia się) powieść rzeka „Opowieść ojca".

Nieprzetłumaczona jeszcze na polski książka „The Island of the world", najwybitniejsze w moim przekonaniu dzieło O'Briena, obejmuje swoim przebiegiem ponad pół wieku dziejów świata – od drugiej wojny światowej na Bałkanach (bohater Josef Lasta jest Chorwatem), poprzez całe ich krwawe XX-wieczne dzieje, odnajdujemy się wraz z bohaterem w Ameryce. O'Brien to pisarz bardzo rzetelny w traktowaniu realiów historycznych, ale i znakomity narrator, a przy tym człowiek prawdziwie zatroskany nihilizmem współczesnego świata.

A w Polsce? Na razie nie doczekaliśmy się ani wybitnej, ani choćby ciekawej powieści katolickiej. Natomiast poezja katolicka Wojciecha Wencla, Wojciecha Kudyby, Jana Polkowskiego, Krzysztofa Koehlera, Przemysława Dakowicza – to w naszym kraju pierwsza gildia literacka. Nie wiem, jak czas obszedł się z całą twórczością Zofii Kossak-Szczuckiej, ale jej „Pożoga" na pewno zasługuje na czytelniczą pamięć. A dzieło Romana Brandstaettera, tetralogia „Jezus z Nazaretu", nie ma sobie równych w literaturze światowej. Gdyby nie śmierć autora, może mielibyśmy jeszcze jedną Nagrodę Nobla w literaturze – w latach 80. książka została do tej nagrody zgłoszona.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

GAWĘDA O HISTORII MEDYCYNY

PREMIERA 20 STYCZNIA

- Dlaczego Kazimierz Wielki zmarł bez męskiego potomka?
- Tajemnicza i przedwczesna śmierć Stefana Batorego.
- W jakim stopniu choroba Napoleona miała wpływ na tragiczny wynik bitwy pod Waterloo?
- Konferencja w Jałcie a choroba nadciśnieniowa.

... i wiele innych sekretów medycyny.

KSIĄŻKA DO KUPIENIA W: WWW.XLM.PL

PATRONATY MEDIALNE:

poradnikzdrowie

HISTORIA .ORG.PL

eprasa.pl c9af7342c1

FOT. ARCHIWUM FOTOGRAFICZNE EDWARDA HARTWIGA/NAC

Z Elżbietą Draczyńską rozmawiał
Tomasz Zbigniew Zapert

Dodka
cena popularności

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Pierwszy sukces filmowy zawdzięczał Adolf Dymsza głuchoniemym?

ELŻBIETA DRACZYŃSKA: Występował początkowo w filmach niemych, grając role epizodyczne i doskonaląc umiejętności artystyczne. Nie ukończył przecież żadnej szkoły aktorskiej, był samoukiem. Pierwszą większą rolę zagrał w obrazie „Miłość przez ogień i krew" (1924 r.). Miał za zadanie rozbawienie 200 żołnierzy znajdujących się na poligonie. Aby temu sprostać, postanowił wypróbować jedyny pomysł, który przyszedł mu do głowy. Zdecydował się na wygłoszenie do żołnierzy wiązanki przekleństw. Ci istotnie wybuchnęli śmiechem. Artysta sądził, że sposób, w jaki osiągnął upragniony cel, pozostanie tajemnicą. Jednak reakcja głuchoniemych uczniów uczestniczących w projekcji filmu, potrafiących czytać z ruchu warg, doprowadziła do ujawnienia sekretu.

Dlaczego Adolf Bagiński przybrał pseudonim?

Stało się to w trakcie pierwszego kontraktu z kabaretem Miraż, tuż po pierwszej wojnie światowej. Pracę w nim godził z odbywaniem służby wojskowej. Specjaliści od marketingu kabaretowego przekonywali go, że jego rodowe nazwisko nie nadaje się na scenę. W starym kalendarzu „Kuriera Porannego" znalazł personalia Leopolda Dymszy, posła do carskiej Dumy. „Pożyczył" to nazwisko i je rozsławił.

Posądzenie aktora o kolaborację z Niemcami stanowiło plon jego gigantycznej popularności?

Karę nagany otrzymał w maju 1944 r. od władz Polskiego Państwa Podziemnego. Jej nałożenie uzasadniono „utrzymywaniem zażyłych stosunków z Niemcami i przełamywaniem niechęci do widowisk organizowanych przez propagandę niemiecką". W rzeczywistości kontakty wziętego aktora z Niemcami zostały na nim wymuszone. Zdecydował się na nie, gdyż tylko w ten sposób mógł zapewnić najbliższym ochronę i środki materialne niezbędne do życia. Relacje Dodka z okupantem doprowadziły zresztą do ocalenia wielu osób, także narodowości żydowskiej. Gdy ciężko zachorowały córki artysty, przyjęcie propozycji pomocy – złożonej Dymszy przez tancerza volksdeutscha, Jakuba Millera-Valenso – było szansą na uratowanie im życia. Nie ulega jednak wątpliwości, że błędem, do którego sam się poczuwał, była zgoda na to, aby afisze z tytułami programów: „Serwus Dymsza", „System à la Dodek", „Dymsza, humor i spółka" widniały obok list z nazwiskami rozstrzelanych Polaków i Żydów.

Dlaczego tak surowo i niesprawiedliwie potraktował go sąd weryfikacyjny ZASP?

Krzywdzący wyrok tego trybunału stanowił rezultat zawiści środowiska aktorskiego, zazdrosnego o dowody uwielbienia okazywane mu przez widownię. Koleżeńskiemu sądowi ZASP obradującemu w Łodzi przewodniczył Jan Kreczmar, wybitny aktor, reżyser i pedagog. W trakcie okupacji należał do Tajnej Rady Teatralnej. Wyrok, wydany 20 lipca 1945 r., dowodzi, że podzielał

eprasa.pl c9af7342c1

pogląd Bohdana Korzeniewskiego, nieprzejednanego wobec ludzi związanych ze scenami koncesjonowanymi przez okupanta.

Tylko niemieckiego, dodajmy. Osób występujących w teatrach kontrolowanych przez Sowietów – i to w wyjątkowo antypolskim repertuarze! – nie sekował. Istnieją za to liczne dowody, że podczas okupacji Dodek zachowywał się dzielnie!

Można podać na to wiele przykładów. Uratował od więzienia lub śmierci przyjaciół (Józefa Porębskiego, Czesława Skoniecznego, Tadeusza Sygietyńskiego, Mirę Zimińską, Marię Chmurkowska) oraz nieznane sobie osoby. Nie zawahał się zaryzykować własnego życia i życia najbliższych, gdy udzielił schronienia iluzjoniście żydowskiego pochodzenia, Mieczysławowi Kittayowi. Kolportował konspiracyjną prasę, utrzymywał bliskie kontakty z podziemiem, któremu przekazywał broń i cenne informacje pozyskane w wyniku wymuszonych kontaktów z Niemcami. Brał udział w koncertach charytatywnych, wspierając w ten sposób polskich żołnierzy, inwalidów czy dzieci z Zamojszczyzny. Nie był obojętny wobec losu kolegów artystów uwięzionych w getcie. W trakcie występów na jawnych scenach nieraz decydował się na kpiny z zarządzeń i propagandy Niemców, co wiązało się z ogromnym ryzykiem.

A z czego wynikał akces artysty do PZPR?

Został doń zmuszony szantażem. Pracownik Urzędu Bezpieczeństwa przekazał żonie Dymszy, że jeżeli mąż nie zdecyduje się na ten krok, to władze umieszczą jego córki w oddzielnych placówkach opiekuńczych, tak by przerwane zostały z nimi wszelkie więzi rodzinne. W przypadku odmowy miał być pozbawiony praw rodzicielskich. Zofia Dymszyna obiecała, że małżonek dostosuje się do tych żądań. Wiedziała, że rodzina jest wartością, którą ceni najwyżej, i przekonała go do przyjęcia „czerwonej legitymacji".

Z zawarciem małżeństwa miał kłopoty?

Ożenek Dymszy w roku 1929 był przedmiotem rozmów i zainteresowania w całym kraju. Dla rodziców panny młodej ślub ten był klasycznym przykładem mezaliansu. Ojciec Zofii Olechnowicz był wysokiej rangi urzędnikiem kolejowym, natomiast matka solistką słynnego baletu petersburskiego. W hierarchii społecznej młoda narzeczona górowała więc nad Dodkiem. Jako członkini zespołu baletowego Tacjanny Wysockiej otrzymała pewne przygotowanie aktorskie. On był „tylko" synem skromnego kolejarza, wychował się na Starówce, dzielnicy biednej i zaniedbanej. Jego pomysły porwania wybranki z rodzinnego domu w celu doprowadzenia przed ołtarz nie mogły zyskać aprobaty rodziców Zofii. Zawarcie małżeństwa stało się możliwe, gdy zakochany Adolf wystarał się o indult – konieczny, gdyż panna młoda miała niewiele ponad 17 lat.

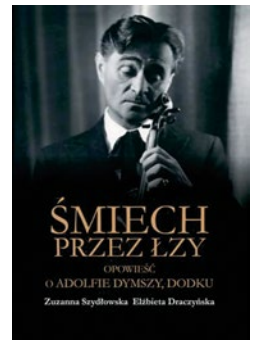

Życie osobiste Dymszy nie było usłane różami.

Cierpiał na otosklerozę – postępujące, przewlekłe schorzenie ucha wewnętrznego. Zdiagnozowane w toku badania lekarskiego przed poborem na front wojny polsko-bolszewickiej sprawiło, że trafił do kancelarii pułkowej. W okresie międzywojennym źle leczona grypa pogłębiła chorobę. Okupacja pozbawiła artystę możliwości specjalistycznego leczenia. Jedyną szansą na powstrzymanie głuchoty była operacja. Zabiegi przeprowadzone w latach 50. przez prof. Jana Miodońskiego poprawiły stan zdrowia Dodka na krótko. Kres kolejnym operacjom położyła śmierć lekarza. Depresję spowodowaną utratą nadziei na skuteczną terapię pacjent umiejętnie ukrywał przed wszystkimi. W teatrze Syrena grał, obserwując wargi kolegów aktorów i reakcję publiczności. Głuchota i poważne zakłócenia błędnika zmusiły go w marcu 1972 r. do zejścia ze sceny i przejścia na emeryturę.

Oboje małżonkowie pragnęli mieć dzieci, ale trzykrotnie los okrutnie z nich zakpił. Pierwsza córka zmarła wkrótce po narodzinach. W roku 1933 transfuzje krwi oddawanej przez artystę okazały się zawodne wobec śmiertelnej grypy, na którą zapadły bliźnięta: Adolf Julek i Maria.

Zamiast aktora mógł zostać piłkarzem?

Jego sprawność fizyczna imponowała. Czy mógł zostać wybitnym piłkarzem? Kto wie... Zamiłowania do futbolu najlepiej dowiodły organizowane z jego inicjatywy – w latach 1937, 1938, 1947 i 1963 – mecze pomiędzy artystami i dziennikarzami. Dochód z przedwojennych imprez przeznaczono na Dom Aktora Weterana w Skolimowie, a z pierwszego po wojnie – na odbudowę Warszawy.

Za kierownicą czuł się równie świetnie jak na scenie?

Auta kochał. Miał ich siedem. W II RP stać go było na luksusowe. W Polsce Ludowej najdłużej korzystał z warszawy. O jego sprawności za kółkiem świadczy zajęcie trzeciego miejsca w trakcie Turnieju Karambolowego w roku 1967.

Co wpisywał w rubryce „hobby"?

Trudno o jednoznaczną odpowiedź. Myślę, że zajęciem sprawiającym mu największą satysfakcję była metaloplastyka. Pierścionki wykonywane dla najmłodszej córki – Anity, cukiernica dla wnuczki, znak teatru Syrena, potwierdzają talent Dymszy i w tej dziedzinie. Chętnie parał się stolarstwem, projektował meble, z których jeden do dziś służy jego potomkom mieszkającym w Międzylesiu. Uwielbiał wędkowanie i spacery. Po przejściu na emeryturę odbywał je regularnie – dopóty, dopóki pozwalał mu na to stan zdrowia.

Wokół schyłku egzystencji Dymszy narosło wiele mitów...

Zanim zupełnie już głuchy znalazł się w Domu Pomocy Społecznej im. Waleriana Łukasińskiego w Górze Kalwarii, gdzie rodzina odwiedzała go regularnie, był leczony w stołecznych szpitalach. Na początku roku 1975 w wyniku wylewu krwi do mózgu stał się niemy. Doznał przy tym niedowładu prawej części ciała. Wymagał ciągłej pomocy przy wykonywaniu podstawowych czynności. Takiej opieki nie mogły mu zapewnić ani schorowana żona, ani obarczone własnym potomstwem córki, ani Dom Weteranów Sceny w Skolimowie.

Lekarz przyjmujący artystę w Górze Kalwarii stwierdził, że chory cierpi na miażdżycę uogólnioną wszystkich naczyń, niedowład ruchowy i ostre zapalenie ucha środkowego. Personel zapewnił mu doskonałą opiekę, otoczył ciepłem i życzliwością. Dzięki temu nastąpiła krótkotrwała poprawa stanu zdrowia gasnącego Dodka, który dał w Górze Kalwarii ostatni występ.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Elżbieta Draczyńska
– współautorka, wraz z nieżyjącą już mamą Zuzanną Szydłowską, książki pt. „Śmiech przez łzy. Opowieść o Adolfie Dymszy, Dodku" (wyd. LTW).

eprasa.pl c9af7342c1

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

HBO GO

W cieniu potwora

★★★★★☆

REŻ. KITTY GREEN
„ASYSTENTKA" („THE ASSISTANT")
USA 2019

wyst. Julia Garner, Matthew Macfadyen

W „Asystentce" niczym w zręcznym horrorze: nigdy nie widzimy potwora, odczuwamy jednak jego obecność. Potworem jest bezimienny szef głównej bohaterki, właściciel studia filmowego w Nowym Jorku. Nie widzimy go na ekranie, słyszymy za to jego głos, gdy przez telefon ruga swą asystentkę. Poza tym wszystko, co wiemy o tajemniczym szefie, pochodzi z obserwacji jego zachowań dokonywanych przez Jane (rewelacyjna rola Julii Garner). Asystentka pracuje dopiero od pięciu tygodni, ale zaczyna się orientować, w jakie miejsce trafiła. Starsi pracownicy żartują, żeby nigdy nie siadać na kanapie szefa. Po podłodze gabinetu walają się damskie kolczyki. Żona szefa dzwoni z awanturami, pragnąc się dowiedzieć, co robi jej mąż, gdy nie ma go w domu. Wreszcie z prowincji przybywa panienka bez doświadczenia, której obiecano pracę w firmie, ale którą najpierw zakwaterowano w luksusowym hotelu, żeby mógł ją odwiedzać nowy chlebodawca.

Cała historia opowiedziana jest z punktu widzenia Jane, a akcja zamyka się w jednym długim dniu. Asystentka pierwsza przychodzi i wychodzi, sprząta, odbiera telefony, prowadzi kalendarz, przynosi lunch, roznosi wiadomości i układa kalendarze spotkań. Nuda i harówka, ale rozsypane strzępy informacji o prawdziwym obliczu wszechmocnego szefa, ewidentnie seksualnego drapieżnika, zamieniają miejsce pracy w koszmar. Najbardziej przerażające jest zaś to, że wszyscy doskonale zdają sobie sprawę z tego, wedle jakich reguł szef prowadzi firmę, ale kompletnie ich to nie obchodzi. Jest, jak jest, nie ma się co wychylać. Bo po co ryzykować własną posadę? Trudny wybór stoi przed samą Jane – czy powinna podzielić się z kimś wiedzą o swoich podejrzeniach na temat przełożonego, o którym cała firma mówi tylko „On"?

„Asystentka" jest najmądrzejszym i najmocniejszym filmem epoki #MeToo, bo zamiast publicystycznej plakatowości, zamiast dosłowności wybiera opowiadanie poprzez niedopowiedzenia. To nie polityczna agitka, ale wybitny dramat. Kitty Green przez rok zbierała świadectwa ludzi pracujących pod rządami Harveya Weinsteina, po czym przedestylowała je w wielkie kino.

„Asystentka" trafiła do kin tuż przed pandemią i niestety błyskawicznie została zdmuchnięta z ekranów przez koronawirusa. Mało kto o niej słyszał, a jest to bez wątpienia jeden z najlepszych filmów roku 2020. ©℗

NOWE SERIALE: „ROZPRUWACZ Z YORKSHIRE"

N

Miniseria dokumentalna opowiadająca o najgłośniejszym śledztwie w dziejach Wielkiej Brytanii XX w. Trwało niemal sześć lat, a później zostało poddane druzgocącej krytyce przez niezależne komisje. Peter Sutcliffe zamordował w latach 1975–1980 13 kobiet, był także winnym innych ataków, które nie zakończyły się śmiercią ofiar. Dziesięciokrotnie przesłuchiwany przez policję wciąż umykał sprawiedliwości. Serial jest nie tylko opowieścią o łowach na zbrodniarza, lecz także niewesołym portretem targanej kryzysem Anglii drugiej połowy lat 70. ©℗

Piotr Gociek

• ***„Rozpruwacz z Yorkshire", Wielka Brytania 2020, serial dokumentalny***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Steven Wouterlood* ***„Niezwykłe lato z Tess" („My Extraordinary Summer With Tess"),*** *Holandia 2019* HBO GO
- *reż. Wes Anderson* ***„Wyspa psów" („Isle Of Dogs"),*** *USA 2019* CINEMAX
- *reż. Shannon Murphy* ***„Babyteeth",*** *Australia 2019* CANAL+

eprasa.pl c9af7342c1

Dom z zasadami

player

Dario Argento nowego horroru już chyba nie nakręci, więc trwa casting na jego następcę. Roberto De Feo ma wyczucie stylu, lecz straszy subtelniej od mistrza. „Gniazdo zła" dość długo wydaje się kameralną psychodramą, w której rolę kata gra matka, a ofiary – utalentowany muzycznie dzieciak na wózku inwalidzkim.
Samuel nie może opuszczać rodowej posiadłości, która – jak zapewnia rodzicielka – jest „najlepszym miejscem na świecie". Ludzie na zewnątrz są źli, a lokatorzy neogotyckiego, otoczonego wielkim parkiem pałacu tworzą „nowe, lepsze społeczeństwo". W tym domu obowiązują surowe zasady. Należy do nich katowanie muzyką klasyczną. Obrzydzaniu Rossiniego i Beethovena (jakże oryginalny hołd w 250. rocznicę urodzin geniusza z Nadrenii!) towarzyszy apologia rocka, który jak na ironię popadł ostatnio w stan śmierci klinicznej.
W sumie nie jest to propozycja, która znajdzie zrozumienie u fanów amerykańskich slasherów tudzież purystów oczekujących scenariuszy skonstruowanych z zegarmistrzowską precyzją. W „Gnieździe zła" są jednak sceny zapadające w pamięć, udana transkrypcja przeboju „Where is my Mind", wytrawne aktorstwo, a nawet szczypta humoru w postaci bajki o chorym koniu i wścibskiej świni. Największą niespodziankę Roberto De Feo zachował na sam koniec. ©℗

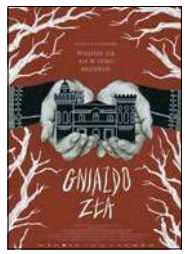

★★★★☆☆
REŻ. ROBERTO DE FEO
„GNIAZDO ZŁA" („THE NEST – IL NIDO")
WŁOCHY 2019

wyst. Justin Korovkin, Francesca Cavallin, Ginevra Francesconi

Wiesław Chełmniak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIWO, KOBIETA I ŚPIEW

vod.pl

Kto „Postrzyżyn" nie zna, ten czeskiej duszy nigdy nie zrozumie. Film, nakręcony 40 lat temu według opowiadania Bohumila Hrabala, bezwstydnie sławi doczesne rozkosze, prowadząc do odkrycia, że nawet w świniobiciu i włażeniu na komin jest zawarta jakowaś poezja. Zwłaszcza jeśli w wyżej wymienionych czynnościach bierze udział Magda Vášáryová. Przyszła ambasador Słowacji w Polsce gra małżonkę zarządcy browaru, równie apetyczną jak wyrabiana przez nią kaszanka. Maryška jest perfekcyjną panią domu i przedmiotem pożądania męskiej połowy miasteczka. Co tu gadać, eskapizm w pełnej krasie, naszpikowany w dodatku mądrościami typu „kto na piwo nie chadza, ten własne zdrowie zdradza". Zawoalowana kpina z idei postępu to wszystko, na co można było sobie w komunistycznej Czechosłowacji pozwolić. W serwisie są też dostępne inne dzieła duetu Menzel/Hrabal, z „Pociągami pod specjalnym nadzorem" na czele.

★★★★☆☆
REŻ. JIŘI MENZEL
„POSTRZYŻYNY" („POSTŘIŽINY")
CZECHOSŁOWACJA 1980

wyst. Jiří Schmitzer, Magda Vášáryová, Jaromír Hanzlík

ODFRUNĄŁ W PORĘ

arte

Ciałem w Paryżu, sercem w Witebsku. Niemal godzinny film dokumentalny o młodości Marca Chagalla na pierwszy rzut oka sprawia solidne wrażenie. Jego twórcy pofatygowali się aż na Białoruś, ale i tak posiłkują się archiwalnymi zdjęciami i filmami. Sztetl, w którym urodził się i dorastał jeden z najpopularniejszych malarzy XX w., już nie istnieje. W pobliskim Witebsku Mojsze Szagałow przepoczwarzył się w artystę i odszedł od religii przodków, choć nie od żydowskiej kultury. Tutaj przegrał walkę o rząd dusz z apostołem awangardy Kazimierzem Malewiczem. Dla jednych za mało nowoczesny, dla drugich niewystarczająco rosyjski, w 1922 r. wyemigrował na Zachód. Autorzy dokumentu bagatelizują rewolucyjny epizod biografii bohatera. Mało tego, twierdzą, że bolszewizm dał mieszkańcom imperium wolność. Czemuż więc Chagall wolał malować fruwających kochanków tak daleko od ojczyzny światowego proletariatu? ©℗

recenzuje Wiesław Chełmniak

★★★☆☆☆
REŻ. LAURENCE JOURDAN
„MARC CHAGALL – POMIĘDZY DWOMA ŚWIATAMI"
FRANCJA 2019

GRA TYGODNIA: „LEAGUE OF LEGENDS: WILD RIFT"

★★★★☆☆

„League of Legends" to jedna z najpopularniejszych gier na świecie: jej turnieje drużynowe, w czasach przed pandemią, zapełniały całe stadiony. W sytuacji, w której życie przenosi się do domu, a zamiast komputera stacjonarnego jako sprzęt do grania wybieramy smartfony, również „LoL" musiał się dostosować. „Wild Rift" to w istocie nic innego jak odświeżona i uproszczona wersja mobilna stacjonarnego hitu, w którym 10 bohaterów rywalizuje o dominację na osadzonej w realiach fantasy mapie. O dziwo, nawet na telefonie gra zachowuje swój urok i grywalność, choć nic nie zastąpi myszki i klawiatury. ©℗

Marcin Makowski

- ***Gatunek:*** *MOBA*
- ***Platforma:*** *iOS/Android*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Riot Games*
- ***PEGI:*** *12+*

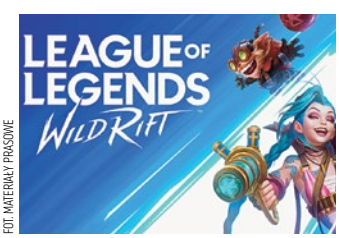

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c9af7342c1

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Niepoprawne listy „Cata”

W dobie byle jakich SMS-ów tym bardziej doceniamy wartość i znaczenie prawdziwej korespondencji, jakiej znakomitą próbę zaserwował nam Ośrodek KARTA, publikując wybór listów Stanisława Cata-Mackiewicza, świetnego pisarza i publicysty, a – bywało – i polityka, z 20 lat, od 1946 do 1966 r. Dzieli się ta korespondencja na dwie części: emigracyjną i krajową, jej cezurą jest bowiem rok 1956, kiedy to były redaktor naczelny przedwojennego wileńskiego „Słowa” i wydawanego po wojnie w Londynie pisma „Lwów i Wilno”, a także premier rządu II RP na uchodźstwie (1954–1955), powrócił do rządzonej przez komunistów Polski.

O przyczynach tej decyzji pisze w posłowiu „Odsłon Cata” Rafał Habielski. Zadecydowały o niej względy rodzinne, a także materialne oraz – czy może przede wszystkim – znużenie i głębokie rozczarowanie „polskim Londynem”, „upiorzyskiem”, jak nazywał środowisko emigracyjne. Tęskno mu było do żywych ludzi, do polskich spraw, zawsze dla niego najważniejszych. Szybko jednak przekonał się, że nad Wisłą nie spełni swoich oczekiwań, że jego temperamentu politycznego nie da się pogodzić z gomułkowskim socjalizmem. Stał się niewygodny nawet dla PAX-u, który początkowo go przyhołubił, natrafiał na coraz dotkliwsze trudności wydawnicze, a po podpisaniu Listu 34 w obronie wolności słowa i ujawnieniu jego kontaktów z paryską „Kulturą”, gdzie drukował testy jako Gaston de Cerizay, tylko zaawansowany wiek (urodził się w 1896 r.) i zły stan zdrowia uchroniły go przed więzieniem. Zmarł w Warszawie 18 lutego 1966 r., przedostatni z opublikowanych teraz listów – do mieszkającego w Ameryce przyjaciela, Michała K. Pawlikowskiego, też znakomitego pisarza („Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego”, „Wojna i sezon”) – wysłał miesiąc wcześniej.

FOT. NAC

„Nigdy w życiu – powiadał w nim – nie byłem w tak strasznej depresji. Z trudnością zdobywam się na te kilka słów”. A jednak w tym samym liście pisze: „Przygotowuję się do książki o Mickiewiczu. Jak wiesz, ten wielki poeta polski urodził się w Szczecinie, kończył uniwersytet we Wrocławiu, gdzie był dręczony przez Niemców. Największy jego poemat, z inwokacją »Ziemie Odzyskane, Ojczyzno moja«, poświęcony jest życiu górników na Śląsku”.

Takie też są inne listy „Cata”: bardzo osobiste, pełne anegdot, informacji przemieszanych z plotkami, ocen politycznych i literackich, a w wypadku korespondencji z Pawlikowskim – także wyznań erotycznych, po części tylko prawdziwych, ale na pewno świadczących o wadze, jaką przywiązywał Stanisław Mackiewicz do tej sfery życia. Dzisiaj, gdy poprawność polityczna i obyczajowa zaklajstrowuje nam mózgi, z czerwonymi uszami czytamy to, co miał do powiedzenia właściwie na każdy temat, ze szczególnym jednak uwzględnieniem kobiet, Żydów czy kochających inaczej. W latach, gdy o LGBT nikomu się nie śniło, autor „Europy in flagranti” wyłuszczał, co następuje: „Czy nie uważasz, że artykuł o [Karolu] Szymanowskim w »Wiadomościach« chwalący go za pederastię, jest artykułem nieprzyzwoitym i aspołecznym – i powinien być konfiskowany? Pederastia winna być zwalczana ze względów społecznych. Jeśli erotyzm normalny zakłóca często ład społeczny, to jednak jest on podstawą naszego bytu, jest tym, czym słońce, od którego trzeba się zasłaniać parasolką, ale które stwarza nam życie. Natomiast pederastia jest tylko szkodliwa i obrzydliwa – i trzeba tępić żądania równouprawnienia mniejszości seksualnej, jak ją błędnie nazywał Boy, bo to nie żadna mniejszość mogąca mieć prawa do równouprawnienia, ale zaburzenie zasad obcowania płci”.

Czytelnik znajdzie również w „Odsłonach Cata” jego listy do m.in. Mieczysława Grydzewskiego i Jerzego Giedroycia, Melchiora Wańkowicza – innego „kresowego żubra”, wielkiego swojego rywala, Zofii Kossak-Szczuckiej, Józefa Czapskiego i Jerzego Putramenta. Z tym ostatnim prowadził w Londynie rozmowy na temat swojego powrotu, wiedząc doskonale, kim jest jego dawny znajomy z Wilna i jaką rolę odgrywa w komunistycznej Polsce. Nie przeszkodziło mu to jednak chwalić później jego „Pół wieku” – nazywał te wspomnienia „wspaniałymi”, z zastrzeżeniem wprawdzie, że chodzi tylko o tom pierwszy przywołujący wileński okres w życiu ich obu. Bo cóż tu i mówić więcej. „Na podstawie swych studiów – twierdził »Cat« – dzielę ludzkość na trzy zasadnicze kategorie: Pierwsza: Rodzina Radziwiłłów. Druga: Szlachta litewska. Trzecia: Inni ludzie”. ©℗

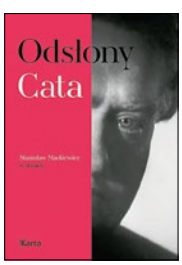

★★★★★★
„ODSŁONY CATA. STANISŁAW MACKIEWICZ W LISTACH”
OŚRODEK KARTA, WARSZAWA 2020

eprasa.pl c9af7342c1

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Perły z lamusa

To nie jest zwyczajny wybór opowiadań, to kolekcja pereł – może oprócz pierwszych dwóch utworów, które słabo przetrzymały próbę czasu. Jednak już od trzeciego, czyli „Porwania Pearl Button", trafiamy do świata wyśmienitej literatury, do świata Katherine Mansfield.

Urodzona w Nowej Zelandii, klasyfikowana jako ozdoba brytyjskiego modernizmu, dużą część życia spędziła na włóczęgach po Europie, zmieniając kochanków i kochanki, wywołując skandale, bratając się z bohemą. Z obszernego posłowia Magdy Heydel (autorki wyboru i przekładów) wiele można się dowiedzieć o burzliwym i przedwcześnie zakończonym życiu Mansfield (zmarła, mając zaledwie 34 lata). Także o polskich tropach – związku z Floryanem Sobieniowskim i o zaszczepionych autorce przez niego fascynacjach literackich Czechowem i Wyspiańskim. Byłoby jednak niedobrze, gdyby barwna biografia zaczęła nam przesłaniać literaturę. A ta jest wybitna.

Mansfield dokonuje rzeczy niezwykłej. Pisząc o zwyczajnych, zdawałoby się, ludziach i sytuacjach, zmienia w trakcie narracji punkt widzenia, zderzając ze sobą dzięki temu różne światy: kobiet i mężczyzn, młodych i starych, biednych i bogatych. Nie potrzebuje do tego fabularnych przewrotek, większość opowiadań to coś w rodzaju scenek z życia rozmaitych sfer, ale przenikliwość, oko do szczegółu i ogromna empatia pisarki sprawiają, że niedługo przed końcem opowieści nagle zaczynamy widzieć bohaterów w zupełnie innym świetle. Widzimy ukrywane tragedie, zwracamy uwagę na pomijane krzywdy, dostrzegamy, krótko mówiąc, w kimś innym – redukowanym do roli zawodowej czy społecznej – inną ludzką istotę, cierpiącą, marzącą, prawdziwą.

Jak czytamy w opowiadaniu „Kanarek", zamykającym zbiór: „Życie ma w sobie jednak jakiś smutek. Trudno powiedzieć, co to takiego. Nie chodzi mi o te cierpienia, które wszyscy znamy, jak choroba, bieda czy śmierć. Nie, to jest coś innego. To jest tu, w głębi, w głębi, to jest częścią nas, jak oddech. Choćbym nie wiadomo jak ciężko pracowała i trudziła się, wystarczy, że na chwileczkę przerwę i już czuję, że to tam jest, że czeka. Czasem się zastanawiam, czy wszyscy mają to samo". Otóż tak, mają tak wszyscy, ale by o tym przypomnieć i spróbować to zrozumieć, potrzeba wielkiej literatury. ©℗

★★★★★☆
KATHERINE MANSFIELD „OPOWIADANIA" OFFICYNA 2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Mądra i potrzebna książka autora „Granic marzeń". Tym razem wybrał się Grzywaczewski w podróż wzdłuż granic II RP, szczególną uwagę poświęcając miejscom dziś znajdującym się poza terytorium Polski. Poruszająca opowieść.

TOMASZ GRZYWACZEWSKI „WYMAZANA GRANICA. ŚLADAMI II RZECZPOSPOLITEJ" CZARNE

Pięknie ilustrowany zbiór gawęd o wydawniczych kuriozach, książkach niezwykłych czasem ze względu na bardzo nietypową formę, kiedy indziej – szaloną treść. Szczególnie ciekawy jest rozdział o literackich fałszerstwach.

EDWARD BROOKE-HITCHING „BIBLIOTEKA SZALEŃCA" REBIS

Dzieje 7. Eskadry Myśliwskiej im. Tadeusza Kościuszki, czyli amerykańskich ochotników walczących u boku Polaków przeciw bolszewikom w latach 1919–1920. Barwna opowieść, świetna lektura i lekcja historii plus liczne zdjęcia.

KENNETH MALCOLM MURRAY „SKRZYDŁA NAD POLSKĄ" OŚRODEK KARTA

Kolejna edukacyjna książka dla najmłodszych Elbanowskiego (po m.in. „Tabliczce mnożenia w wierszykach"), równie pięknie ilustrowana przez Małgorzatę Flis. Serię ortograficzną tworzą dwa tomy. ©℗

poleca Piotr Gociek

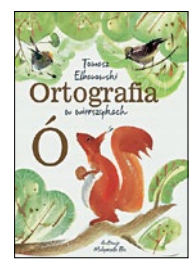

TOMASZ ELBANOWSKI „ORTOGRAFIA W WIERSZYKACH" WIERSZYKI DO NAUKI

KOMIKS TYGODNIA: „TRASA PROMOCYJNA"

Witajcie w koszmarze pisarza – zaraz po wyruszeniu w trasę promującą książkę autor pada ofiarą rabusia, policja ma go za niespełna rozumu, bo w skradzionej walizce były książki, a na spotkaniach autorskich nie pojawia się pies z kulawą nogą. To dopiero początek, bo policja podejrzewa nieszczęsnego Fretwella o morderstwo, a jego odyseja po księgarniach robi się coraz dziwniejsza i odrealniona. Powieść graficzna popularnego brytyjskiego autora komiksów (u nas dotąd nieznanego) to świetna propozycja dla czytelnika, który ceni melancholię, absurd i obyczajową komedię. ©℗

poleca Piotr Gociek

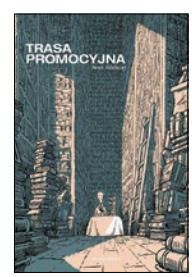

ANDI WATSON „TRASA PROMOCYJNA" MARGINESY 2020

eprasa.pl c9af7342c1

Nic Wielkiego

FOT. FACEBOOK.COM/NIC-WIELKIEGO

„Kiedyś chyba byłyśmy bardziej syjamskie niż dzisiaj. Trochę odłączyli nas mężowie, dzieci, ale na scenie postanowiłyśmy wyglądać jak typowe bliźniaczki i zrobić z tego atut, i tak przekornie, z uśmiechem, nazwać tę płytę »Syjamskie bliźnięta«" – opowiadały na antenie RDC założycielki warszawskiego zespołu Nic Wielkiego.

Bliźniaczki Olga Szaltis i Magda Woźniak, w dzieciństwie identyczne („Mama znaczyła nas tylko małą kieszonką albo guziczkiem innego koloru, żeby było wiadomo, kto jest kto" – wspomina Olga), później szukające indywidualności, próbujące się odróżniać („Magda była krótkowłosą blondynką, a ja byłam długowłosą czarnulą"), dziś znów niemal jak dwie krople wody („W końcu doszłyśmy do wniosku, że jest fajnie mieć siostrę bliźniaczkę. Dodatkowo jest to atutem na scenie i to wykorzystałyśmy. Teraz jakoś się upodabniamy – ubieramy się tak samo i czeszemy. Różni nas tylko to, że Madzia nosi okulary").

Olga i Magda założyły swój zespół przed 20 laty. Magda określiła kiedyś, że grają „poezję alternatywną", i tak czasami się definiują, podkreślając, że to tekst, poezja jest fundamentem ich twórczości. W 2003 r. wydały debiutancki album „Świat dotknięty" i mimo że został on ciepło przyjęty, zniknęły ze sceny na długie lata. Bliźniaczki poświęciły się prowadzeniu w stolicy klubu muzycznego. Czy powrót po dwóch dekadach z krążkiem „Syjamskie bliźnięta" to znów pojawienie się na chwilę? – Tym razem mamy nadzieję, że nie będzie to słowo rzucone na wiatr. Spięłyśmy się z Olgą i całym zespołem. To jest coś, bez czego nam trudno funkcjonować. To nie jest dodatek do życia. To jest życie. Jak się ma taki dar, to trzeba z niego korzystać – mówiła w RDC Magda.

Bliźniaczki w zespole i na najnowszej płycie wspierają: Hipolit Woźniak, Paweł Jędrzejewski, Daniel Moński, Ryszard Grabowski i, gościnnie, Marcin Bors. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

12 miesięcy samotności

Po 15-letniej przerwie powracają rodzimi pionierzy industrialnego dance. Na czwartym albumie grupa w 12 piosenkach podsumowuje 12 miesięcy „najdziwniejszego roku w naszym życiu".

Maciej Werk, lider i jedyny stały członek łódzkiego Hedone, zaprosił korespondencyjnie do studiów nagraniowych 14 współpracowników, w tym basistę Wojtka Pilichowskiego. Powstało mroczne dzieło oparte na elektronicznych, jednostajnych pulsacjach wspomaganych przez żywą perkusję, klawiszowe akordy molowe i syntetyczne tnące gitary. Baryton Werka pasuje do gotyckich klimatów, w których świat samotności opisywany jest przez odcienie szarości. Płyta oparta na nowoczesnych brzmieniach jednocześnie jest mocno osadzona w latach 80. Choćby żeńskie chórki zderzone z samczym, mamroczącym wokalem przywodzą na myśl nagrania Sisters of Mercy. Nieprzypadkowy jest udział na płycie Pawła Gumoli z punkowej Moskwy. I oczywiście, jak to u Werka, znajdziemy w nagraniach mrugnięcia w stronę Lennona i Depeszów. Natomiast w „Kilnk Klang", jak sam przyznaje, interpoluje piosenkę Nelly Furtado. Wyraźne ożywienie przynoszą dwie „polskie" piosenki zaśpiewane przez wspominanego Gumę („Wstyd") i Joannę Prykowską („Jak?"). Całość kończy apokaliptyczne pożegnanie z powtarzanym zwrotem „tokoniecświataktóryznamy" i odliczającym koniec fortepianem. ©℗

★★★★☆☆
HEDONE
„2020"
NEW SUN

★★★★☆☆
RÓŻNI WYKONAWCY
„MĘSKIE GRANIE 2020"
MYSTIC

Koncert bez publiczności, ale z wielkimi emocjami. W ubiegłym roku w głównych rolach – Daria Zawiałow (świetna), Król i Igo – oraz goście (m.in. Nosowska, Mata, Organek). Połowę materiału stanowią covery (od Czerwonych Gitar do Wilków) wykonane z ikrą i ciekawie zaaranżowane.

★★★★☆☆
BARRY GIBB & FRIENDS
„GREENFIELDS: SONGBOOK VOL. 1"
CAPITOL

Ostatni z braci przypomina piosenki Bee Gees w orkiestrowo-pop-country'owych aranżacjach. Wśród gości m.in. Dolly Parton, Alison Krauss i Sheryl Crow. Album zawiera przeboje, a także napisaną w liceum „Butterfly" i niewydaną „Word of a Fool". Nostalgicznie. ©℗

eprasa.pl c9af7342c1

Grzegorz Kondrasiuk

„Dziady" 2020 – „Noc Druga"

Każde nieprzypadkowe, fighterskie wznowienie „Dziadów" powinno być u nas wydarzeniem

„Dziady – Noc Druga", reż. Piotr Tomaszuk, teatr Wierszalin; premiera teatralna: 27 maja 2017 r.; premiera realizacji telewizyjnej: TVP Kultura, 17 listopada 2020 r.

FOT. TVP SA

W moim przekonaniu takim wydarzeniem jest telewizyjna realizacja niedawnej premiery w reżyserii Piotra Tomaszuka. Niezwykle mądrze, bez nadmiernego pietyzmu, ale i z szacunkiem dla autora (da się to pogodzić!) przyswoił on arcydramat na potrzeby niewielkiej scenki teatru Wierszalin. Tnąc śmiało, nie bojąc się skreślania postaci ani radykalnych decyzji interpretacyjnych, zmieścił ten rozległy, wieloosobowy, rozwichrzony tekst w dwóch dobitnych półtoragodzinnych „Nocach". Tajemnicą jego reżyserskiego ołówka pozostanie sposób, w jaki udało mu się ocalić przy tym dwie, najważniejsze, przeszywające to dzieło osie znaczeń. Bardzo możliwe, że to właśnie one decydują o unikalności „Dziadów". O czym mowa? O oparciu przez Mickiewicza wszystkich sensów arcydramatu na opozycjach, na przemieszczaniu się między biegunami wartości tego, co stare, odziedziczone po przodkach a wizjami możliwej przyszłości. A także między wspólnotowością, monumentalnym, sakralnym teatrem polskości a intymnym wymiarem dramatu jednostki.

Rzecz cała rozgrywa się w nasyconym własnymi znaczeniami wnętrzu, wyłaniającym się z półmroku. To kaplica, gdzie przed chwilą odbywały się gusła, która zaraz zmieni się w celę Konrada, w przedziwny sposób nadal pozostając kaplicą. Od wywoływania duchów i upiorów, od słynnego „Ciemno wszędzie, głucho wszędzie" – potraktowanego z całą powagą – rozpoczyna się nie tylko „Noc Pierwsza" „Dziadów" Tomaszuka, oparta głównie na częściach II i IV (o której pisałem w numerze świątecznym), lecz także „Noc Druga", czyli adaptacja części III.

W „Nocy Pierwszej" grany przez Tomaszuka Guślarz był kimś więcej niż czuwającym nad przebiegiem rytuału – powoływał, a potem odsyłał w niebyt wszystkie pojawiające się na scenie postaci. W „Nocy Drugiej" taką nadświadomością zostaje obdarzony Gustaw-Konrad. To on uruchamia spektakl, wyznacza ramy wszystkich zdarzeń. Przejmuje od Guślarza sakramentalne „Ciemno wszędzie…", odczytuje autorską dedykację III części, dla „ofiar narodowej sprawy", wyskrobaną na ścianie swojej celi, rozkłada rekwizyty, lokalizuje miejsce akcji. Przywołuje kolejno uwięzionych, jakby przypominając sobie, a może wyobrażając bieg zdarzeń. W ten sposób „męczeństwo narodowej sprawy" przywołane jest z wewnętrznego, imaginaryjnego świata, od jednego z „nas", w dodatku okazuje się, że wcale nie będzie on wykreowany na poetę, geniusza, na jednostkę wybitną. Jest to Konrad najwyraźniej niewysłuchany. Bezradnie woła do współwięźniów rozbiegających się w popłochu, w lęku przed strażnikami: „Stójcie… Pieśń skończę… skończę…". Tuż przed wejściem w wizje Wielkiej Improwizacji – inaczej niż w dramacie – nie słabnie, nie traci świadomości. Siada, przytulając się do więziennej ściany, skulony owija się więzienną derką. Wtedy ma prawo powiedzieć owe, inicjujące Wielką Improwizację: „samotność – cóż po ludziach, czym śpiewak dla ludzi?", i wtedy te słowa coś znaczą. Rafał Gąsowski w zwielokrotnionej roli Gustawa/Konrada/Księdza Piotra, dźwigającej główny ciężar spektaklu, zrobił rzecz wielką. Pomimo nieomijalnego patosu, zakutego w języku przekazującego świadomość epoki, dał nam postać ludzką, dość zwyczajną, słaniającą się pod ciężarem człowieczego przeanielenia i zbydlęcenia oraz pod naporem wielkich idei. „Mam tych skrzydeł dwoje / Wystarczą: – od zachodu na wschód je rozszerzę, / Lewym o przeszłość, prawym o przyszłość uderzę" – powiada Konrad, ale jego skrzydłami są trzymane w szeroko rozłożonych rękach dwa łańcuchy... Bo „wokół tylko lu⍰ie skazitelni / Marni, ale nieśmiertelni". Jest z tym wszystkim przeraźliwie sam, otoczony duchami, duszeczkami czyśćcowymi, majakami i ideami. Salon warszawski i mieszkanie Nowosilcowa również są scenami z majaczeń i ze wspomnień, tak jak mesjański monolog Księdza Piotra, z owym słynnym „40 i 4" – jakby zacytowany czy zrelacjonowany.

Noce z „Dziadami" Piotra Tomaszuka nie są z pewnością wizją Mickiewicza opartą na testamencie Marii Janion, na „szczerej nienawiści do naszego mesjanizmu". Nie jest to także Mickiewicz zinfantylizowany ani Mickiewicz zbanalizowany, przetłumaczony na kody kultury popularnej. Jaki więc? Ten najważniejszy tekst sceniczny napisany w polskim języku brzmi gorzko, ale nie szyderczo. Są to bowiem właśnie gorzkie, ale nie szydercze „Dziady" grane w roku 2020. ©℗

eprasa.pl c9af7342c1

Marek Jurek

„Dogmat i tiara", owszem, prowokuje, ale prowokuje do myślenia i odpowiedzialności. Począwszy od wstrząsającego podtytułu: upadek rzymskiego katolicyzmu. A przecież Kościół nie może upaść!

„Dogmat i tiara" przypomina działalność Josepha Ratzingera od doradztwa na soborze do papieskiej abdykacji. Lisicki wykazuje głęboką ciągłość refleksji prof. Ratzingera, od progresywistycznych początków do papieskiego nauczania FOT. GRZEGORZ GAŁĄZKA/MONDADORI PORTFOLIO/GETTY IMAGES

eprasa.pl c9af7342c1

Przeciw upadkowi Kościoła

Od czasów Chateaubrianda wielu najwybitniejszych apologetów katolicyzmu to świeccy, tak jak Chesterton, Messori, Seewald. Z polskiej strony do tego grona dołącza Paweł Lisicki. Wiele jego książek („Czy Jezus jest Bogiem?", „Grób Rybaka. Śledztwo w sprawie największej tajemnicy watykańskich podziemi", „Tajemnica Marii Magdaleny") poświęconych jest po prostu dowodzeniu prawdy chrześcijaństwa. Inne mają charakter polemiczny („Luter. Ciemna strona rewolucji", „Krew na naszych rękach", „Dżihad i samozagłada Zachodu"). W ten drugi nurt wpisuje się niedawno wydany „Dogmat i tiara. Esej o upadku rzymskiego katolicyzmu".

Na temat posoborowego kryzysu Kościoła napisano już wiele, często jednak skupiając się na objawach, rejestrując najbardziej spektakularne i poruszające przejawy problemu. Lisicki sięga głębiej, do jego pierwszych przyczyn, i to jest najmocniejszą stroną jego analizy. Kryzys, którego dziś doświadczamy, nie zaczął się bowiem wczoraj. Nie jest też – jak długo zdawało się myśleć wielu Polaków – przypadkowym korowodem „dziwactw przychodzących z Zachodu". Jest wielkim wyzwaniem duchowym i intelektualnym, a choć oglądamy jego zupełnie nową fazę, źródłem jest trwający od ponad stu lat nieprzezwyciężony modernizm.

ROMANTYCZNY SUBIEKTYWIZM

Ten prąd w teologii pojawił się na skrzyżowaniu pozytywistycznego przełomu w nauce i neoromantyzmu w kulturze i w znacznym stopniu się z nimi wiązał. Z jednej strony rozwój nauk historycznych stał się motywem zwątpień i pretekstem do podważania tożsamości historycznego katolicyzmu z Kościołem pierwotnym, na co kapitalną odpowiedź stanowi traktat „O rozwoju doktryny chrześcijańskiej" bł. Jana Henryka Newmana. Z drugiej – romantyczny subiektywizm, widzący w religii system symboli ożywiających duchowe pragnienia czy moralne uczucia, przestawał traktować katolicyzm jako jedyną prawdziwą religię, a widział w nim jedynie jedną z wielu uprawnionych manifestacji nieokreślonego Ducha.

Prawda jest wartością całkowicie niezależną, ale jest też światłem koniecznym do dobrego życia. Modernizm niósł więc również skutki całkiem praktyczne: jeśli bowiem Kościół katolicki miałby być tylko jednym z nurtów chrześcijaństwa, to jego nauka, a tym bardziej odziedziczone Magisterium, nie mogło mieć charakteru zobowiązującego. Podobnie jak kult, a szczególnie jego formy. W modernizmie wszystko miało wartość o tyle, o ile ożywiało uczucia wiernych. One – bardziej niż „abstrakcyjne" dane dokonanego w historii Objawienia – miały być wyrazem prawdy. Tej irracjonalistycznej tendencji z całą mocą przeciwstawił się św. Pius X, formułując nowe wyznanie wiary, przysięgę antymodernistyczną, do której składania zobowiązał biskupów i wykładowców katolickich.

Składający ją potwierdzali naukę Soboru Watykańskiego I o możliwości rozumowego poznania Boga na podstawie porządku naturalnego, przekonanie, że decydującym dowodem wiary są zapowiedzi proroków i cuda Zbawiciela (przede wszystkim Jego Zmartwychwstanie), wiarę w to, że Chrystus założył Kościół i oparł go na urzędzie Piotra, czyli na papiestwie, w asystencję Ducha Świętego, dzięki której rozwijało się Magisterium i zachowywana jest Tradycja katolicka. Najkrócej mówiąc, przysięga antymodernistyczna potwierdzała rozumowe racje wiary w Boga oraz historyczne racje wiary w Chrystusa i Kościół, racje, które czyniły wiarę powszechną, naprawdę skierowaną do wszystkich ludzi.

Modernizm potępiony przez św. Piusa X przycichł, zrezygnował z najbardziej prowokacyjnych sformułowań, ale jako nastawienie nie znikł. To dlatego Pius XII w „Humani generis" musiał potępić (implicite) jego kolejne manifestacje, takie jak ewolucjonizm (Teilharda) czy antropocentryzm (Rahnera). Paweł Lisicki przypominając tę encyklikę, z całą mocą broni nie tylko jej ocen, lecz także samej zasady „non licet" (nie wolno) – będącej koniecznym środkiem afirmacji prawdy. Pozbawiona konturów, bezkształtna, niebroniona przed deformacją prawda przestaje być rozpoznawana i traci (również egzystencjalne) znaczenie. Dlatego Lisicki przypomina, że dla katolicyzmu tak ważna, należąca do jego istoty, jest zasada dogmatyczna i hierarchiczna.

ZASADA DOGMATYCZNA

W istocie oba jej elementy stanowią jedno. Konstytucja „Pastor aeternus", proklamując w czasie Vaticanum I dogmat nieomylności papieskiej, uczy wyraźnie, że „następcom Piotra Duch Święty został obiecany nie w tym celu, by na podstawie Jego objawienia podawali nową naukę, lecz aby przy Jego pomocy święcie zachowywali i wiernie wyjaśniali otrzymane przez Apostołów Objawienie, to znaczy depozyt wiary". Apostołowie byli uprzywilejowanymi, bo wybranymi przez Pana świadkami Objawienia. Biskupi, a w szczególności biskup Rzymu, kontynuują ich misję.

Nigdy jednak nie dość przypominać, że zasada dogmatyczna nie ma w sobie nic arbitralnego, że jedynie chroni dobra i owoce wiary i z wiary wyrasta. Dlatego Newman, pośród szczególnych cech katolicyzmu, obok rozwoju i jako jego sprawdzian, stawia zasadę teologiczną: „Ciągłą w Kościele tradycję i stałą praktykę poddawania naukowej analizie wszystkich prawd objawionych […] prawie nieznaną poza zasięgiem chrześcijańskiej wspólnoty". To samo odnosi się do badania historycznych źródeł Objawienia. Ta solidność podstawy, historyczne wydarzenie Zmartwychwstania i cuda, które je poprzedziły, obecność Izraela, którego Kościół zawsze uważał za nieintencjonalnego świadka Prawdy – daje odwagę badania początków chrześcijaństwa. Mogą bowiem –

eprasa.pl c9af7342c1

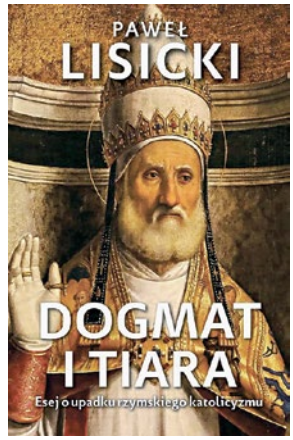

pisze Newman – „istnieć pytania w sprawach objawionych, które da się pogodzić z wiarą najpełniejszą i absolutną".

Ryzyko modernizmu, a więc kryzysu wywołanego zachłyśnięciem się pozytywistycznym przełomem w nauce, było w jakimś sensie nieuchronne. Problem nie polega na tym, że prąd ten się pojawił, ani że jego styl czasami udzielał się nawet tym, którzy zachowali ortodoksję, ale że po drugiej zdecydowanej reakcji Rzymu, po śmierci Piusa XII, uznano, że modernizm już nie istnieje, łącznie ze zniesieniem wyznania wiary zawartego w antymodernistycznej przysiędze. I stało się to właśnie wtedy, gdy błędy, przed którymi przysięga miała chronić, stały się najgroźniejsze.

Modernizm zawsze powoływał się na zasadę rozwoju, będącą jednym ze znamion katolicyzmu. Zapominał jednak, że – jak to wykazał święty kardynał Newman – nie każda zmiana stanowi rozwój; ten może być autentyczny, ale może być też pozorny, wypaczony. Rozwój prawdziwy ma charakter uzupełniający, a nie zmieniający; chroniący i nacechowany pietyzmem, a nie rewolucyjny i brutalny. Reguła Świętego Benedykta o władzy opata mówi, że władza „ma raczej pomagać niż przewodzić". Oczywiście nie można tej normy materialnie przenosić z małej dobrowolnej wspólnoty na cały Kościół powszechny. Jednak duch ma być ten sam, inny niż w świecie, gdzie „wielcy dają […] odczuć swą władzę" (Mt 20, 25). Kościół jest zbudowany na kształt winnicy, a władza w nim jest ochroną powierzonego depozytu i wyrastającego zeń życia. To jest Jego Kościół – często przypominał Benedykt XVI biskupom i teologom.

Lisicki w swej książce sięga do źródeł kryzysu, a jeśli chodzi o jego współczesne manifestacje – to nie zajmuje się „książkami najgorszymi", ale zmaga się z najlepszymi. Zasadniczym motywem opisu współczesnej historii Kościoła jest dla niego życie i dzieło Benedykta XVI.

DZIAŁALNOŚĆ PROF. RATZINGERA

To najbardziej kontrowersyjny (choć powiedzmy jasno – cenny i ciekawy) wątek. „Dogmat i tiara" przypomina działalność Josepha Ratzingera od doradztwa na Soborze do papieskiej abdykacji. Przypomina jego rolę u boku kard. Fringsa, jednego z promotorów „partii zmian" na Soborze. Lisicki chce więc wykazać głęboką ciągłość refleksji prof. Ratzingera, od progresywistycznych początków do papieskiego nauczania.

Zaznaczmy jedno: papieże są dziećmi swych ojczyzn i swego czasu. Na Piusa XII ogromnie wpłynęło pochodzenie z rodziny blisko związanej z bł. Piusem IX i z papiestwem, na Pawła VI – chadecka działalność jego ojca i jego własne chadeckie przyjaźnie, na Jana Pawła II – polski romantyzm, na Franciszka – peronizm. W wypadku Benedykta XVI były to dwa wpływy – patriotyzm bawarski i zdecydowanie antyhitlerowskie przekonania rodziny z jednej strony, z drugiej – szok wojny, koniec pewnego świata. Lisicki trafnie pokazuje, że młodzi Niemcy zapominali często po wojnie, że to nie świat i cywilizacja się skompromitowały, lecz ich państwo. Inspirowani niemiecką filozofią chcieli chrześcijaństwo i świat „naprawić". W tym sensie zwrot przeciw tradycji w Kościele ukazuje się jako kolejny eksces niemieckiego romantyzmu i idealizmu.

Joseph Ratzinger (w jakimś sensie silny swymi bawarskimi korzeniami) przezwyciężył jednak ograniczenia swego pokolenia i swej młodzieńczej formacji. Był jednym z pierwszych, którzy zareagowali na symptomy kryzysu w Kościele. I wskazywał je innym. Mogę powiedzieć, że byłem jednym z nich, jak uzdrowiony w sadzawce Siloe: „Jedno wiem: byłem niewidomy, a teraz widzę" (J 9, 25). „Raport o stanie wiary" był książką, która w latach 80. wielu katolikom, szczególnie młodym, pozwoliła zobaczyć jasno to, co widzieliśmy za mgłą „dialogów" – prawdy właśnie odrzucane przez modernizm: że to Chrystus nadał Kościołowi jego apostolski ustrój, że liturgia jest święta, że Kościół zachowuje prawdę, którą okaleczyły wspólnoty odłączone. I również „Wprowadzenie do chrześcijaństwa", tę istotnie summę dla niewierzących (ale nie – summę niewierzących) czytałem inaczej niż autor „Dogmatu i tiary".

„Wprowadzenie" zawiera perspektywę zdecydowanie niemodernistyczną. Występuje przeciw „idei pokoju między religiami [które mają] się wzajemnie akceptować jako zróżnicowane formy jedynego Wiecznego i pozostawiać człowiekowi wolność w kwestii wyboru drogi". Pokazuje, że taki relatywizm traktuje Chrystusa jak „człowieka, który jedynie w szczególny sposób doświadczył Boga". Tymczasem Jego mamy czcić, bo gdy przestajemy widzieć „osobowego Boga, tam Jego imię nie jest już strzeżone i czczone, tam Jego imię zostaje porzucone". Credo katolickie jest po prostu „odpowiedzią na wezwanie pochodzące od Jezusa z Nazaretu: »Nauczajcie wszystkie narody, udzielając im chrztu«". Sama wiara nie jest kreacją, gdyż „myślenie w wierze jest ostatecznie zawsze przemyśleniem tego, cośmy usłyszeli i otrzymali", a „wiara nie jest niczym przeze mnie wymyślonym, tylko czymś, co otrzymałem z zewnątrz, nie mogę dowolnie rozporządzać jej słowem ani go zmieniać". Wiara zaś, że „Bóg stał się człowiekiem w Jezusie Chrystusie, nie może dopuszczać »trzeciego panowania«; jest wiarą w definitywność tego, co się stało". To tylko kilka notatek z lektury, ale nie myślę, żebym był w niej odosobniony. O poszczególne tezy „Dogmatu i tiary" można się więc spierać. Mam zresztą wrażenie, że ta książka po to została napisana, żeby naszą opinię katolicką wyrwać z duchowego letargu.

OKREŚLIĆ KRYZYS

Owszem, jest prowokująca, ale prowokuje do myślenia i odpowiedzialności. Począwszy od jej wywołującego wstrząs podtytułu: upadek rzymskiego katolicyzmu. A przecież Kościół nie może upaść! Owszem, ale może upadać, jak nasz Pan na drodze krzyżowej. Z historii wiemy, że w czasach upadku Kościoła objawiała się w sposób szczególny moc Boża. Tak było z kryzysem ariańskim, który zaowocował przyjęciem credo, które co niedziela odmawiamy na mszy św. Z reformą kluniacką w czasie upadku autorytetu Rzymu albo z kontrreformacją, z całym jej niezwykłym wysiłkiem intelektualnym i misyjnym. W kryzysach objawiają się również, prowadzący wcześniej ukryte życie, prorocy. Z jednym z nich, bp. Athanasiusem Schneiderem, Paweł Lisicki wydaje właśnie wywiad rzekę.

Kryzys jednak należy najpierw określić. Nie można udawać, że go nie ma, albo banalizować jego przyczyny. Dzisiaj uświadomienie sobie obecności modernizmu, z jego nieuchronnym indyferentyzmem wobec prawd wiary i dóbr cywilizacji, jest kluczowym warunkiem odnowy Kościoła. Tej sprawie służy „Dogmat i tiara".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9af7342c1

WIZJONERZY
ZDROWIA 2021

„PRZYSZŁOŚĆ OCHRONY ZDROWIA W POLSCE 2021–2023"

NAGRODY DLA WYBITNYCH OSOBOWOŚCI
ŚWIATA MEDYCYNY ORAZ SYSTEMU OCHRONY ZDROWIA,
LUDZI, KTÓRZY ZMIENIAJĄ POLSKĄ MEDYCYNĘ
I OPIEKĘ NAD PACJENTAMI.

INFORMACJE I ZGŁOSZENIA DO NAGRODY NA:
dorzeczy.pl/wizjonerzy-zdrowia

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

eprasa.pl c9af7342c1

Z Agnieszką Marianowicz-Szczygieł, psychologiem, wiceprezes Fundacji Instytut Analiz Płci i Seksualności „Ona i On”
rozmawia Maciej Pieczyński

Dziecko musi mieć i ojca, i matkę

FOT. ADOBE STOCK

MACIEJ PIECZYŃSKI: W debacie na temat wychowywania dzieci przez pary homoseksualne z obu stron zazwyczaj słyszymy argumenty ideologiczne. A co na to psychologia?

AGNIESZKA MARIANOWICZ-SZCZYGIEŁ: Tak czy inaczej podstawowy jest argument biologiczny. Pary homoseksualne z natury są bezpłodne…

Heteroseksualistom też to się zdarza. Ale takiej parze nikt z definicji nie odmówi prawa do adopcji.

Mówi pan o sytuacji losowej. Pary homoseksualne po prostu biologicznie nie są w stanie spłodzić dziecka. Nigdy w historii związki jednopłciowe nie były traktowane jako uniwersalny wzorzec.

Zwolennik takich związków w tym momencie podałby pani przykład starożytnej Grecji i Rzymu, gdzie homoseksualizm był wręcz modny.

Nie był jednak traktowany na równi z heteroseksualnością. Sprawa wcale nie jest zresztą taka jednoznaczna, np. dr Czachorowski zbadał te kwestie w materiałach źródłowych. Poza tym w tamtych czasach nie postulowano adopcji dzieci przez pary jednopłciowe. Realizacja tego kontrowersyjnego postulatu ma charakter bezprecedensowego eksperymentu społecznego.

Przejdźmy do argumentów czysto psychologicznych. Jak wychowanie przez parę homoseksualną może wpłynąć na rozwój dziecka?

Zwolennicy tego eksperymentu społecznego często podkreślają, że osoby homoseksualne wręcz mają „prawo do dziecka”. To argumentacja oparta przede wszystkim na emocjach, bez uwzględnienia szerszego kontekstu. Owszem, mogą szczerze, intensywnie odczuwać potrzeby macierzyńskie czy ojcowskie. Tego nie neguję. Tyle że najważniejsze jest dobro samego dziecka. Warto przypomnieć głośny przypadek Heather Barwick, bohaterki książki „Heather ma dwie mamusie”. Chociaż jako 20-latka była aktywistką LGBT, to później jako matka czworga dzieci wystosowała list otwarty do środowisk LGBT pt. „Wasze dzieci cierpią”. Przyznała co prawda, że partnerka jej mamy traktowała ją jak własną córkę, ale stwierdziła także: „Małżeństwo homoseksualne wstrzymuje dostęp do jednego z rodziców i przekonuje, że nie jest on ważny […]. Ale tak nie jest – wielu z nas, wiele z waszych dzieci jest okropnie poranionych. Nieobecność ojca stworzyła we mnie wielką pustkę”. Heather, m.in. obserwując, jak jej mąż zajmuje się ich dziećmi, uświadomiła sobie, jak wiele straciła. Tego typu świadectw jest więcej. Profesor Lopez, wychowywany przez parę lesbijek, odnosząc się do „produkcji” dzieci na zamówienie (surogacja, banki spermy itp.), mówi wręcz o nowej formie niewolnictwa i segregacji płciowej. Jeśli – jak to było w jego przypadku – dziecko jest innej płci niż rodzice, to jest izolowane od przedstawicieli swojej płci. Kiedy natomiast taki chłopiec, wychowywany przez kobiety, wyraża tęsknotę za ojcem, bywa oskarżany o „homofobię” lub czuje taką presję. Dodajmy do tego, że raport ILGA stwierdza, że jedynie ok. 16 proc. krajów na świecie zalegalizowało adopcję przez pary homoseksualne. Nie dajmy sobie wmówić, że to jakaś ogólnoświatowa norma, którą musimy wypełnić, bo inaczej społeczność międzynarodowa uzna, że z Polską jest jakiś problem. Należy przede wszystkim odpowiedzieć na podstawowe pytanie: Czym się różnią pary homoseksualne od heteroseksualnych? Wbrew pozorom nie tylko samą orientacją seksualną. Ciągle słyszymy argumenty w stylu „miłość to miłość, niezależnie, kogo dotyczy”. Tymczasem badania pokazują, że związki homoseksualne są np. o wiele mniej stabilne niż te heteroseksualne. Średnio trwają ok. dwóch–czterech lat.

Z czego to wynika?

Na to pytanie świat nauki nie daje jednoznacznej odpowiedzi, wiele wskazuje, że homoseksualizm jest zaburzeniem, np. związki gejowskie definiują się w dużej mierze przez seksualność. Panowie, nawet jeśli mieszkają ze sobą i deklarują stałość uczuć, to jednak często i tak zdradzają swoich partnerów. W przypadku pań

eprasa.pl c9af7342c1

statystyki są nieco bardziej optymistyczne. Doktor Witehead podaje, że związki gejów trwają średnio 7,7 razy krócej, a związki lesbijek – 5,6 razy krócej niż małżeństwa heteroseksualne i niemal trzy razy krócej niż kohabitacje. Zmienność partnerów w oczywisty sposób wpływa na jakość wychowania dzieci. Osoby homoseksualne częściej cierpią także na różne zaburzenia psychiczne, choroby przenoszone drogą płciową, uzależnienia. Ponadto alarmujące są dane dotyczące orientacji seksualnej dzieci wychowywanych przez dwie mamy lub dwóch ojców i przyznają to badacze zatrudniani przez środowiska LGBT.

Dzieci homoseksualistów nasiąkają wzorcami i orientacją rodziców?

Tak. Niewiele jest natomiast badań pokazujących długofalowe skutki takiego wychowania. A szkoda, bo dzięki nim można znaleźć odpowiedź na pytanie, jak dzieci homoseksualistów funkcjonują już jako osoby dorosłe, gdy mają własne rodziny. Ciekawe wyniki dało chyba jedyne badanie monitorujące stan ok. 70 takich dzieci od początku życia, dziś w wieku ok. 25 lat, wychowanych przez lesbijki (projekt nllfs.org). Tylko 30 proc. kobiet i 70 proc. mężczyzn objętych badaniem odczuwa w pełni heteroseksualne pożądanie, nieco więcej – ale i tak mniej niż w całej populacji – identyfikuje się jako osoby hetero (te i inne dane na stronie Instytutu „Ona i On"). Podobnych danych jest sporo.

A jak rozkładają się role męskie i żeńskie w takim związku?

Generalnie geje są bardziej sfeminizowani niż mężczyźni w ogóle, natomiast lesbijki – bardziej zmaskulinizowane niż średnia, jeśli chodzi o kobiety. Nie jest więc tak, że dziecko wychowane przez dwóch ojców otrzymuje podwójną dawkę ojcowskiej miłości, a to, którym opiekują się dwie mamy, podwójną dawkę matczynej miłości. Jest to raczej podwójna doza sfeminizowanej męskiej miłości lub podwójna doza zmaskulinizowanej damskiej miłości. Najważniejsze, czy dzieci mają dostęp do wzorców przeciwnej płci. Mając opiekunów homoseksualnych, z natury rzeczy wychowują się w środowisku osób o tej orientacji. Pytanie brzmi: Czy opiekunowie zapewnią swoim dzieciom wzorce heteroseksualne oraz czy będą heteroseksualizm deprecjonować, wmawiać swoim pociechom, że ich orientacja jest lepsza? Badania Bos i in. wykazały, że tylko 50 proc. dzieci wychowywanych przez lesbijki miało w otoczeniu modelowy wzorzec mężczyzny. To zasadniczy problem. Według części badań dzieci wychowywane przez pary homoseksualne częściej mają problemy emocjonalne, szkolne, częściej doświadczają przemocy, bezrobocia, molestowania, częściej mają kłopoty w relacjach. Inne badania (tu często pytani są opiekunowie) mówią o braku różnic.

Część badaczy uważa, że w takiej relacji panuje większa „elastyczność" ról kobiecych i męskich. To ich zdaniem dobrze wpływa na rozwój dziecka, bo nie musi się ono trzymać sztywnych, tradycyjnych wzorców.

A czy zależy nam na tym, aby w społeczeństwie rodziły się dzieci? Żeby harmonijnie i zdrowo się rozwijały? Jeśli tak, to potrzeba im co najmniej stabilnego środowiska, przewidywalnych norm i wzorców. Choćby dane ekonomiczne pokazują, że trwałe małżeństwa heteroseksualne są tu niedościgłym złotym standardem. Dziecko nie jest gotowe na „elastyczność" płciową, gubi się, czuje się zaniepokojone. Moda na eksplorację nienormatywnej orientacji sprawiła, że wybuchła wręcz epidemia zaburzeń płciowości u nastolatków.

Dzieci wychowywane przez pary jednopłciowe są też wyśmiewane przez rówieśników. Tyle że dla lewicy to argument raczej za tym, by uczyć społeczeństwo tolerancji.

Jedno trzeba sobie wyjaśnić: to oczywiste, że osobom homoseksualnym należy się godność i szacunek, tego nikt nie neguje. To jednak nie oznacza, że dla ich dobrego samopoczucia musimy stawiać na głowie porządek społeczny. Seksualność i płciowość kształtują się w dużej mierze w procesie wychowania. Jeśli puścimy lejce i pozwolimy parom jednopłciowym czy poliamorystom na adopcję, to otrzymamy w rezultacie za kilka pokoleń społeczeństwo hybryd damsko-męskich o zaburzonej płynnej tożsamości. A to nie pomoże nam w walce z nadciągającą katastrofą demograficzną. Męskość i kobiecość to inne kompetencje.

Lewica często podnosi taki oto argument: „Lepiej, by dziecko zostało wychowane przez parę homoseksualną niż w patologicznej rodzinie czy w domu dziecka".

To przypadki losowe, które nie mogą decydować o ogólnych normach. Dziecko, aby prawidłowo się rozwijało, potrzebuje zarówno ojca, jak i matki, wzorców męskich i damskich, np. kompetencji społecznych na forum i w diadach, ryzyka i empatii – ojciec i matka kładą tu inne akcenty. Dziecko może mieć własny pokój, komputer, wakacje na Karaibach, ale bez miłości matki i ojca nie będzie mogło w pełni przystosować się do życia w zróżnicowanym społeczeństwie. Poza tym dziecko to nie zabawka, którą można dać każdemu. Znam przypadek, gdy starsza, samotna kobieta chciała przysposobić osierocone dziecko. Naprawdę bardzo jej na tym zależało. Jednak ze względu na jej wiek nie było to możliwe – dziecko mogło przedwcześnie stracić przybranego rodzica, a to też wpłynęłoby negatywnie na jego rozwój.

Ponadto z jakiegoś powodu zakazujemy kazirodztwa. Od jakichkolwiek uczuć ważniejsze jest w tym przypadku ryzyko chorób genetycznych. Pedofile też głośno mówią o swojej „miłości"! Czy im też mamy ulegać? Społeczeństwo zawsze stawiało jakieś granice, jeśli chodzi o seksualność. Zresztą z badań wynika, że tylko ok. 30–40 proc. osób homoseksualnych w Polsce popiera adopcję dzieci. Mniej więcej tyle samo sprzeciwia się jej. Słynni projektanci mody, zadeklarowani homoseksualiści żyjący w związku, Domenico Dolce i Stefano Gabbana, publicznie stwierdzili: „Jesteśmy przeciw gejowskim adopcjom. Rodziną jest tylko ta tradycyjnie rozumiana". „Dwóch facetów, w tej chwili, decydujących się na wychowywanie wspólnie dziecka musi być strasznymi skurw..... i strasznymi egoistami, żeby zafundować temu małemu dziecku taką historię" – to z kolei Tomasz Jacyków, również homoseksualista. W Holandii, która jako pierwsza zalegalizowała małżeństwa jednopłciowe, tylko 20 proc. osób LGBT je zawiera. Wygląda więc na to, że problem jest w dużej mierze sztuczny. Summa summarum nauka pokazuje więc z jednej strony piękno i mądrość rodziny naturalnej i co najmniej większe ryzyko homorodzicielstwa z drugiej. Trwałe i intencjonalne pozbawianie ojca czy matki wraz z jednopłciową indoktrynacją to jednak przede wszystkim strukturalna prawna i moralna przemoc wobec dzieci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Agnieszka Marianowicz-Szczygieł – psycholog, wiceprezes Fundacji Instytut Analiz Płci i Seksualności „Ona i On".

eprasa.pl c9af7342c1

POLEXIT debata DO RZECZY ZA I PRZeciw

Ze Stanisławem Michalkiewiczem, publicystą, byłym działaczem opozycji antykomunistycznej i byłym politykiem Unii Polityki Realnej
rozmawia Tomasz Cukiernik

UE nadal będzie obezwładniała państwa członkowskie

FOT. WŁODZIMIERZ WASYLUK/FORUM

TOMASZ CUKIERNIK: Dlaczego w referendum unijnym w 2003 r. głosował pan przeciwko członkostwu Polski w Unii Europejskiej?

STANISŁAW MICHALKIEWICZ: Dlatego że – po pierwsze – uważałem, że Unia Europejska jest pseudonimem budowy IV Rzeszy. To było oczywiste po wejściu w życie traktatu z Maastricht, który w zasadniczy sposób zmienił formułę współpracy europejskiej. Przed tym traktatem była to formuła konfederacji, więc – związku państw. Traktat z Maastricht zmienił to na formułę federacji, czyli państwa związkowego. Zatem od razu pojawiło się pytanie o prawnomiędzynarodowy status państw członkowskich: Czy zachowają niepodległość, czy tylko autonomię? O niepodległości nie mogło być mowy, bo nigdy jeszcze żadna część składowa jakiegokolwiek państwa nie była niepodległa. Przeciwnie – była podlegała władzom tego państwa, którego część składową stanowiła. Zatem – tylko autonomia o bliżej nieokreślonym zakresie. Traktat z Maastricht wszedł w życie w 1993 r., więc nikt w roku 2003 nie mógł się tłumaczyć, że nie wie, do jakiej Europy wchodzi, i te rzewne opowieści, jakobyśmy wchodzili do „Europy ojczyzn", trzeba włożyć między bajki. Może był ktoś, kto w to wierzył, ale nie sądzę, żeby stręczyciele Unii Europejskiej o tym nie wiedzieli. Po drugie – nie wierzyłem, że Niemcy będą drenowały swoich podatników, bo chciałyby dogodzić Polakom czy Słowakom. Z ich punktu widzenia była to inwestycja, która w pewnym momencie musi się zacząć zwracać. Jakie żądania pojawią się wtedy – nikt tego nie wiedział. Po trzecie – rozwalenie przez Niemcy Heksagonale [Inicjatywy Środkowoeuropejskiej, która miała m.in. zapobiec hegemonii Niemiec w Europie Środkowej oraz ułatwić państwom postkomunistycznym rozwój współpracy z Zachodem – przyp. red.] nie pozostawiało złudzeń, że to one pragną wypełnić po swojemu próżnię polityczną w Europie Środkowej, która pojawiła się po ewakuacji stąd Sowietów. Wreszcie – po czwarte – kto stręczył do Unii. Pamiętam rozmowę w Programie III Polskiego Radia, w której uczestniczyli Józef Oleksy, poseł Artur Zawisza, Monika Olejnik i ja. Józef Oleksy zachwalał Unię na wszystkie możliwe sposoby, więc w pewnym momencie powiedziałem, że on z pewnością wie na ten temat więcej niż ja i pan Zawisza. Na to Oleksy: „W takim razie uwierzcie mi!". Ja na to: „Nie mogę, bo pamiętam, jak tak samo przekonująco zachęcał nas pan do Związku Radzieckiego". Żałowałem, że nie ma tam kamery, bo jowialny uśmiech schodził mu z twarzy.

Środowisko wolnościowe jako jedyne przed referendum unijnym starało się pokazywać także minusy przyszłego członkostwa Polski w Unii Europejskiej. Organizowane były konferencje eurosceptyczne między innymi z udziałem pana i sowieckiego dysydenta Włodzimierza Bukowskiego. Czy patrząc z perspektywy roku 2021, można powiedzieć, że tamte przewidywania się sprawdziły?

Owszem. Traktat lizboński nie pozostawia wątpliwości, a to ze względu na „zasadę lojalnej współpracy". Stanowi ona, że państwa członkowskie muszą powstrzymać się przed każdym działaniem, które mogłoby zagrozić urzeczywistnieniu celów Unii Europejskiej. Jest oczywiste, że skoro chodzi o cele Unii Europejskiej, to kompetentne w ich określaniu są władze Unii, a nie władze państw członkowskich. A teraz ta zasada jest wykorzystywana do narzucania państwom członkowskim „europejskich wartości", na przykład praworządności, a wszelkie próby przeciwstawienia się tej presji, nawet w postaci zapowiedzi skorzystania z zawarowanego w tym traktacie prawa weta do obrony swoich interesów, jest uważane za rodzaj myślozbrodni nie tylko przez niemieckich owczarków z Komisji Europejskiej, lecz także folksdojczów w Polsce.

eprasa.pl c9af7342c1

Czy poza Białorusią i „białymi niedźwiedziami" ma Polska jakąś alternatywę wobec Unii Europejskiej?

Próbą wykreowania takiej alternatywy było Heksagonale, ale Niemcy rozgoniły to towarzystwo. Obecnie taką alternatywą mogłoby być Trójmorze, pod warunkiem jednak, że nie ograniczyłoby się ono do kupowania amerykańskiego gazu przez państwa Europy Środkowej. Wadą Heksagonale był brak silnego lidera, a nawet silnego protektora. Protektorat amerykański nad Trójmorzem tę wadę by usuwał – oczywiście pod warunkiem, że ze strony europejskiej nie negocjują ze Stanami Zjednoczonymi amerykańscy agenci.

Czy Unia Europejska nam się w ogóle opłaca? Czy Polska ma jakieś korzyści z członkostwa w Unii?

Ma, ale cena, jaką za nie płaci, może się okazać – i chyba się okazuje – wyższa od korzyści. My mamy skłonność do skupiania się na aspekcie finansowym i tu można odnieść wrażenie korzyści – chociaż tak naprawdę bardzo umiarkowanych – natomiast nikt nie oblicza, za jaką cenę te korzyści uzyskujemy. Niemcy za pośrednictwem UE realizują projekt „Mitteleuropa", który przewiduje m.in., aby gospodarki krajów Europy Środkowej nie były w stanie nigdy stać się zdolne do konkurowania z gospodarką niemiecką, by mogły tylko pełnić funkcję uzupełniającą i peryferyjną. Na naszych oczach to się rozgrywa, gdy pod pretekstem „ochrony zwierząt" rząd demoluje rolnictwo, które potencjalnie może z niemieckim rolnictwem rywalizować.

Jak objawia się to, że – jak pan mówi – kierownikiem politycznym Unii Europejskiej są Niemcy, i co z tego wynika?

To chyba każdy widzi – ale istotne jest to, co się stało podczas ratyfikacji traktatu lizbońskiego. Traktat ten został zaskarżony do Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe jako niezgodny z konstytucją RFN. Trybunał stwierdził, że jest zgodny, ale uzależnił zgodę na ratyfikację od uprzedniego przyjęcia ustawy, według której żadne prawo nie może wejść w życie na obszarze RFN bez uprzedniej aprobaty Bundestagu i Bundesratu. Oznacza to, że Niemcy mogą na terenie UE forsować rozwiązania, które wejdą w życie w państwach członkowskich – a w Niemczech nie. Znaczy – tylko one zachowują suwerenność w ramach UE, więc mają pozycję szczególną.

Czy Polska poza Unią Europejską dałaby sobie radę? Czy poza Unią Polska mogłaby rozwijać się szybciej?

To zależy od tego, co by robiła. Gdyby robiła takie same albo jeszcze większe głupstwa, no to oczywiście nie. Niepodległość nie oznacza, że państwo rządzi się porządnie, tylko że rządzi się samo. Niepodległość daje jednak szansę, podczas gdy podległość – nie. Pamiętam, jak pan dr Andrzej Olechowski podczas jednej konferencji zupełnie serio powiedział, że powinniśmy wejść do Unii Europejskiej, bo wtedy będziemy mogli „współdecydować o naszych sprawach". Najwyraźniej uważa, że współdecydowanie jest lepsze od decydowania samodzielnego.

Według szkoły austriackiej w ekonomii wszelkie dotacje są szkodliwe. Czy dotacje unijne są wyjątkiem, jak próbują wmawiać unijni biurokraci i euroentuzjaści?

Dotacje – również unijne – są szkodliwe, bo uzależniają od nich dotowanego tak samo jak narkotyk uzależnia narkomana. Dla biurokracji, które okupują swoje narody, to jest prawdziwy dar niebios – i dlatego to przede wszystkim one stoją w awangardzie unijnych stręczycieli – ale narodom uniemożliwiają wybicie się na samodzielność, bo je obezwładniają. Wreszcie – kto płaci, ten wymaga, czego właśnie doświadczamy choćby w pogróżkach pani Věry Jourovej [wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej odpowiedzialna za „wartości i przejrzystość" – przyp. T.C.].

Bruksela coraz bardziej ingeruje w sprawy obyczajowe. Czy Polska może się przed tym jakoś obronić?

Nie można i pieniędzy zarobić, i wianuszka nie stracić. Żałuję, że mój faworyt JE abp Józef Życiński już nie żyje, bo ciekaw jestem, jakie łgarstwo wymyśliłby teraz – bo w przeszłości zapewniał nas, że w sprawach społeczno-obyczajowych państwa członkowskie będą absolutnie samodzielne. Toteż właśnie tracimy wianuszek, czemu przyklaskują aktywistki „rewolucji macic".

Przed 2004 r. Kościół katolicki zapewniał, że po wejściu do Unii Europejskiej Polska przywróci wiarę w zlaicyzowanej Europie Zachodniej. Stało się dokładnie odwrotnie. To trend rezygnacji z religii i laicyzacji przyszedł z Zachodu do nas. Dlaczego tak się stało?

To było jedno z tych obrzydliwych łgarstw, kolportowanych m.in. przez mojego faworyta. Zwracałem wtedy uwagę, że jeśli chcemy nawracać Europę, to ją nawracajmy. Jednak dlaczego musimy w tym celu wchodzić do Unii? Polska była wtedy znacznie bardziej aktywna na odcinku religijnym niż teraz na dawnych Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej – ale nigdy nie słyszałem, byśmy w tym celu musieli wstąpić do Wspólnoty Niepodległych Państw.

Czy jest szansa na zreformowanie Unii Europejskiej od środka, jak obiecują niektórzy polscy politycy?

To jest taki wallenrodyzm dla ubogich. Jeśli można to zrobić, to czemu nikt tego nie robi?

Czy polskie władze powinny dążyć do opuszczenia Unii Europejskiej?

Stręczyciele nigdy nie zrezygnują ze swego rzemiosła. Zresztą – jakie tam „polskie władze"? Przecież Polską rotacyjnie rządzą trzy stronnictwa: ruskie, pruskie i amerykańsko-żydowskie. Załóżmy jednak, że nagle się polskie władze objawiły. Przede wszystkim powinny przygotować Polskę do samodzielności, zwłaszcza pod względem gospodarczym. Nie oznacza to jakiejś autarkii, ale zaprzestanie narkotyzowania się dotacjami. I dopiero wtedy można myśleć o wystąpieniu. Pierwszym i najważniejszym warunkiem jest odblokowanie narodowego potencjału gospodarczego, który w ciągu ostatnich 30 lat został skutecznie zablokowany przez wadliwy ekonomiczny model państwa, czyli „kapitalizm kompradorski", przez biurokratyzację państwa i niemiecki projekt „Mitteleuropa". Czy jednak jest to w ogóle możliwe przy utrzymaniu procedur demokratycznych i biurokratycznej okupacji państwa?

Jaki przewiduje pan rozwój sytuacji w Unii Europejskiej? Jaka czeka ją przyszłość? A może dojdzie do rozpadu Unii?

Jeśli chodzi o sytuację w Unii, to w najbliższym czasie będzie ona intensywnie „pogłębiała integrację", czyli się federalizowała, to znaczy – obezwładniała państwa członkowskie. Unia może się skończyć, kiedy Niemcy dojdą do wniosku, że ta formuła się wyczerpała i nie ma co już dłużej utrzymywać fikcji „państw członkowskich". „Zapomną" zapłacić składkę i ci wszyscy nadęci komisarze będą musieli się spakować i wrócić do domu, bo nie będą mieli, czym zapłacić za hotel i restaurację.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9af7342c1

Maciej Rosalak

– Zamierzacie się szczepić? – pytają znajomi z niedowierzaniem. Obawy przed szczepionkami towarzyszą nie tylko obecnej pandemii. Tymczasem ludzkość nie wymyśliła dotychczas lepszej broni na zarazy...

Szczepionka – ju-jitsu mikrobiologii

Szczepią nas na ogół zastrzykami, ale też doustnie (przeciw polio), wziewnie (rozpylając do nosa, również przeciw grypie), a także dzięki zadraśnięciu naskórka (przeciw ospie prawdziwej). Każdemu znaną dziś plastikową strzykawkę jednorazową wprowadził nowozelandzki weterynarz Colin Murdoch w 1956 r., udoskonalając metalowo-szklaną strzykawkę wielokrotnego użytku, którą trzeba było za każdym razem dokładnie sterylizować, wymieniając przy tym igły. Strzykawka stanowi wynik trwających od starożytności prób wprowadzania leczniczych substancji do organizmu chorych.

Zasada działania szczepionek przypomina nieco dalekowschodnią szkołę walki ju-jitsu, polegającą na użyciu siły rywala przeciw niemu samemu. Otóż dzięki szczepionce sami „zarażamy się" preparatem biologicznym imitującym naturalną infekcję i tym sposobem uodporniamy się na działanie prawdziwej bakterii czy wirusa. Naukowo mówiąc, powodujemy „swoistą odpowiedź immunologiczną naszego układu odpornościowego przeciw określonemu drobnoustrojowi". Zanim jednak odkryto drobnoustroje, stosowano zasadę ju-jitsu w medycynie ludowej. Zwłaszcza historia szczepionki przeciw ospie wiele mówi o twórczym kontakcie człowieka z przyrodą, o wnikliwości obserwacji tzw. prostych ludzi, a wreszcie o wynikających stąd możliwościach walki z wirusami nawet wtedy, kiedy przecież nie wiedziano, że one w ogóle istnieją.

DOKTOR JENNER I PROFESOR PASTEUR

Słynny wynalazca pierwszej szczepionki, dr Edward Jenner, też zresztą nie wiedział. Wiele lat przed nim nie wiedzieli też Chińczycy, którzy wdmuchiwali do nosa osoby zdrowej starte w pył strupy z ciała chorego na ospę prawdziwą. U pacjenta rozwijała się wtedy łagodna postać choroby, dzięki której nabywał na nią odporność. Ani Turcy, którzy ową metodę zapożyczyli od Chińczyków, ani Mary Wortley Montagu – żona brytyjskiego ambasadora w Stambule, która z dobrym skutkiem zastosowała metodę u dwojga swych kilkuletnich

eprasa.pl c9af7342c1

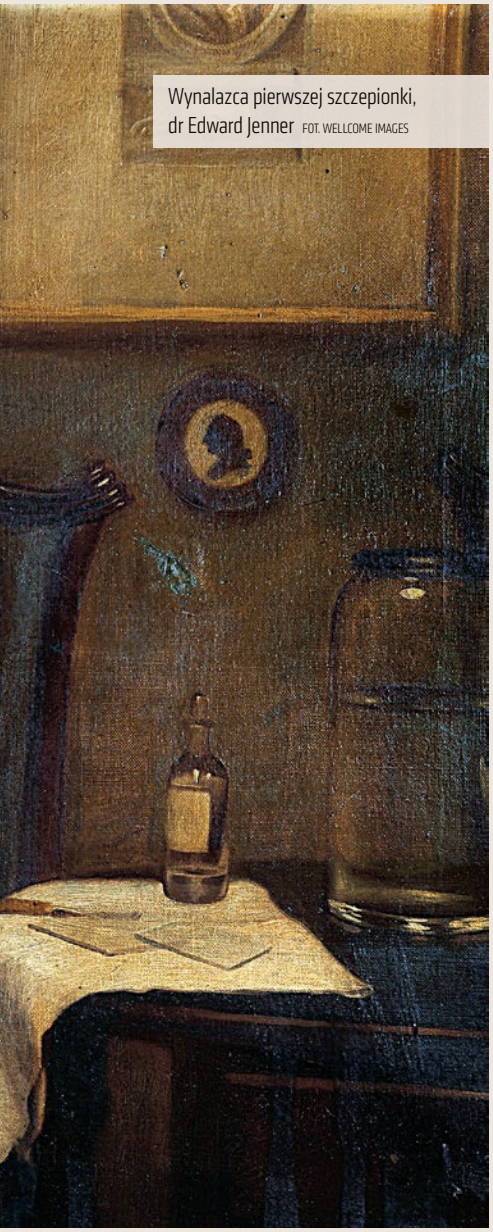

Wynalazca pierwszej szczepionki, dr Edward Jenner FOT. WELLCOME IMAGES

dzieci – nie wiedzieli o patogenie, tym bardziej go nie widzieli. Jednak przynajmniej dowiedziało się o doświadczeniu pani Montagu angielskie Royal Society.

Kiedy ospa zaatakowała w 1721 r. Londyn, przestraszona rodzina królewska chwyciła się owej wiadomości jak ostatniej deski ratunku. Ma się rozumieć, że zanim takiemu leczeniu został poddany Ich Majestat, przeprowadzono próby na sześciu skazańcach i 11 sierotach, a gdy nikt nie umarł, a wszyscy wyzdrowieli, starte strupy wdmuchano z dobrym skutkiem w najczcigodniejsze w całej Brytanii nosy. Od tej pory chińsko-turecka metoda leczenia ospy, firmowana przez Mary Wortley Montagu, zdobywała coraz więcej zwolenników.

Sposób leczenia podobny do późniejszych szczepień – wcieranie płynu surowiczego pobranego od chorego w rankę na ciele osoby jeszcze zdrowej, ale pragnącej się uodpornić – od swego afrykańskiego niewolnika Onesimusa uzyskał pastor Cotton Mather podczas epidemii ospy w Bostonie. Przywleczono ją tu w 1721 r. z Barbadosu. Tłum – oburzony ową rzekomo obrażającą Boga metodą – chciał pastora powiesić. Jednak gdy w następnym roku epidemia wygasła, a niemal wszyscy pacjenci Mathera wyzdrowieli, ten sam tłum uznał go za bohatera. W latach 70. XVIII w. unikanie szczepienia uznawano za dziwactwo, chociaż powodowało ono jednak chorobę o łagodnym przebiegu, i to w 2 proc. przypadków śmiertelną.

Kiedy Edward Jenner miał 13 lat, zauważył, że ludzie pracujący przy krowach nigdy nie chorują na ospę prawdziwą, tylko zapadają na znacznie lżejszą odmianę ospy – krowiankę. Po powrocie ze studiów medycznych, gdy w jego rodzinnym mieście Berkeley w hrabstwie Gloucestershire zapanowała epidemia, również hodowcy bydła powiedzieli Jennerowi, że krowianka zapobiega ospie. W 1796 r. sprawdził tę teorię, a to dzięki miejscowej dojarce, która akurat zachorowała na krowiankę i zgłosiła się doń na leczenie.

Jenner znalazł więc ośmioletniego syna ogrodnika, wszczepił mu krowiankę, a po jego szybkim wyzdrowieniu spróbował zarazić go ospą. Nie udało się. Królik – pardon! – chłopiec (ale przecież tylko syn ogrodnika…) został uodporniony. Aby do opatentowanej w 1796 r. szczepionki przekonać niedowiarków z Royal Society, Jenner musiał – jakżeby inaczej – zarazić krowianką, a następnie spróbować zakazić ospą prawdziwą jeszcze pięcioro dzieci. Ale ponieważ szczęśliwie żadne nie umarło, Jenner doszedł do pieniędzy oraz przeszedł do historii. A pierwsze powszechne szczepienia przeciw ospie wprowadził prezydent USA Thomas Jefferson już w 1801 r.

Podczas studiów w paryskiej École normale supérieure Ludwik Pasteur (1822–1895) dogłębnie sprawdzał każdą teorię, samodzielnie przeprowadzał wszystkie doświadczenia, aż w 1847 r. otrzymał tytuł doktora i posadę asystenta. Charakterystyczne jest, że do mikrobiologicznych odkryć prowadziły go „przyziemne" prace dla francuskich plantatorów i producentów. Jako profesor w Strasburgu pierwszy zamienił kwas winowy w gronowy (1853), otrzymał Legię Honorową, nagrodę pieniężną, a rychło też stanowisko dziekana wydziału nauk przyrodniczych w Lille.

Tam – pomagając zrozpaczonemu producentowi alkoholu z buraków – wykazał, że każda fermentacja jest wywołana przez drobnoustroje, które – aby się rozmnażać – rozkładają substancje, w których żyją. Akurat przemiany cukru w alkohol dokonują drożdże *Saccharomyces*, natomiast w kwas mlekowy – bakterie *Bacillus acidificans*. Te szkodliwe mikroorganizmy niszczą drożdże i uniemożliwiają produkcję alkoholu. Wystarczyło, że gorzelnik utrzymywał czystość w wytwórni, a problem zniknął. Przy okazji Pasteur zauważył, że wewnątrz gnijącego ciała zaczynają się rozmnażać mikroorganizmy niepotrzebujące powietrza. Odtąd gnicie przestano uważać jedynie za przejaw śmierci, a medycyna musiała przyjąć do wiadomości, że takie właśnie mikroorganizmy powodują liczne zapalenia, tężec i gangrenę – plagę szpitali na całym świecie. Dało to podwaliny zasadom antyseptyki dr. Józefa Listera...

Rozwiązanie problemu fermentacji i mikroorganizmów oraz wyniki dalszych badań tworzyły podstawy mikrobiologii. Pasteur zdobywał światową sławę i w wieku 35 lat został profesorem paryskiej École normale supérieure. Rychło rozwiązał kłopoty francuskiej marynarki wojennej, której wino kwaśniało na statkach. Pasteur znalazł rozwiązanie: podgrzewanie trunku do 63 st. C niszczyło mikroorganizmy, nie niszcząc przy tym smaku wina. Podróż dookoła świata napełnionych nim beczek ostatecznie potwierdziła skuteczność metody. Nazwano ją pasteryzacją i do dziś nosi taką nazwę. Pomocy udzielił też hodowcom jedwabników, które zapadały na niszczącą je chorobę pieprzową. Badacz odkrył przyczynę morwowej zarazy, jaką okazały się fermentujące liście morwy – pokarmu jedwabników. Ich suszenie zwalczyło chorobę.

Dzień 7 kwietnia 1864 r. przeszedł do historii nauki dzięki wykładowi Pasteura, który swojemu adwersarzowi – Félixowi-Archimède'owi Pouchetowi – udowodnił, że mikroorganizmy nie powstają w wyniku „samorództwa". Uczynił to za pomocą napełnionych bulionem specjalnych butelek, z których jedna była otwarta i wystawiona na działanie znajdującego się w powietrzu kurzu, a wnętrze drugiej – o łabędziej szyi – było przed nim chronione. Oczywiście pod wpływem mikrobów znajdujących się

eprasa.pl c9af7342c1

w powietrzu zmętniał bulion w otwartej butelce.

W grudniu 1881 r. Pasteur został członkiem Akademii Francuskiej za odkrycie – za pomocą eksperymentów na zimnokrwistych owcach (podatnych na zarażenie) i gorącokrwistych odpornych kurach – że mikroby wywołujące wąglik są wrażliwe na zmiany temperatury. Z kolei przetrwalniki choroby wytwarzają się w ciałach martwych zwierząt, z których dostają się do ziemi, a następnie poprzez dżdżownice tam, gdzie rośnie trawa zjadana na koniec przez zwierzęta. Można je jednak uodpornić dzięki zastosowaniu osłabionych bakterii wąglika.

Latem 1883 r. pomógł w zwalczaniu cholery, której epidemia wybuchła w Indiach i w Egipcie, a w następnym roku ogłosił wynalezienie szczepionki na wściekliznę, która zabijała corocznie setki ludzi w Europie, a tysiące w Azji i w Afryce. Ściślej biorąc, szczepionka uodporniała na chorobę, ale zastosowana niedługo po pogryzieniu przez wściekłe zwierzę także ratowała ludzkie życie. Po raz pierwszy stało się to 6 lipca 1885 r., a pacjentem był dziewięcioletni Józef Meister. Kolejnym uratowanym okazał się 15-letni Jupille. Chociaż zdarzały się niepowodzenia, to jednak Pasteur stał się jedyną nadzieją dla milionów ludzi, a instytut jego imienia – otwarty w Paryżu 14 listopada 1888 r. – ściągał uczonych i potrzebujących pomocy z całego świata.

Ten twórca mikrobiologii, badacz bakterii, które oglądał pod mikroskopem, i wirusów, których istnienie odkrywał po skutkach, na wdzięczność ludzkości zasłużył jak mało kto w dziejach.

ŁOWCY PATOGENÓW

Drogą przetartą przez Pasteura poszli w końcu XIX i na początku XX w. mikrobiolodzy i lekarze na całym świecie. Odkrywaniu kolejnych pasożytów, bakterii i wirusów towarzyszyło wynajdowanie szczepionek przeciw nim. Coraz skuteczniej zapobiegano zarażaniu się ludzi i leczono już zarażonych. Tak powstała wtedy szczepionka przeciw tężcowi i błonicy – której toksynę zidentyfikował Émile Roux, a leczenie opracowali Emil von Behring i Paul Ehrlich – oraz przeciw trapiącej duże skupiska ludzkie cholerze. Twórcami szczepionek przeciw niej byli Jaime Ferran (szczepionka żywa) i Wilhelm Kolle (martwa). Podobnie groźną zarazą był wówczas dur brzuszny (tyfus), na który antidotum znaleźli Almroth Wright i Richard Pfeiffer.

Prątka gruźlicy – przekleństwa XIX w. – odkrył niemiecki uczony Robert Koch (1843–1910), który wyniki swoich badań opublikował 24 marca 1882 r. Stąd – obok *Mycobacterium tuberculosis* – używa się też nazwy: prątek Kocha. Już po tym odkryciu z powodu gruźlicy zmarło jednak na świecie ponad 100 mln ludzi. Skuteczne zapobieganie gruźlicy zapoczątkowało dopiero wynalezienie i stosowanie szczepionki ochronnej BCG w 1921 r. Leczenie, które doprowadziło niemal do całkowitego wyeliminowania tej plagi w świecie zachodnim, zaczęło się zaś w drugiej połowie lat 40. XX w. od stosowania antybiotyków, a zwłaszcza streptomycyny wspomaganej kwasem p-aminosalicylowym PAS.

Dopiero mikrobiologia oparta na prawdziwie naukowych metodach badań i dostępność narzędzi do stosowania tych metod (m.in. coraz doskonalszych mikroskopów) pozwoliły na zmierzenie się ze słynną „czarną śmiercią". Gdy w Indiach i południowych Chinach wybuchła epidemia dżumy dymieniczej, w 1894 r. francuski lekarz Alexandre Yersin miał okazję ją zbadać. Odkrył wówczas bakterię powodującą dżumę, nazwaną od jej odkrywcy *Yersinia pestis*. Bakteria zaraża gryzonie – szczury, ale także dziko żyjące gatunki, takie jak wiewiórki czy północnoamerykańskie pieski preriowe. Bakteria przenosi się m.in. przez pchłę szczurzą, która po wyssaniu zakażonej krwi może zakażać ludzi dalej przez dni 20. Objawy chorobowe dokładnie zgadzały się z większością relacji z okresu „czarnej śmierci", więc trafnie powiązano odkrycie mikrobiologa ze straszną zarazą z XIV w. Odtąd też nosi ona nazwę „dżuma". Ostatecznym potwierdzeniem sprawczej roli bakterii dżumy w wybuchu epidemii połowy XIV w. były badania (2011) naukowców niemieckich i kanadyjskich nad próbkami szczątków 109 zwłok wrzuconych do masowego grobu w East Smithfield pod Londynem w 1349 r.

Do odkrywców wirusów należał rosyjski botanik i mikrobiolog Dmitrij Iwanowski (1864–1920), profesor uniwersytetów w Warszawie i Rostowie. Wykazał on przenikanie wirusów mozaiki tytoniowej – zarazków wywołujących tę chorobę w tytoniu i ziemniakach – przez porcelanowe sączki bakteryjne. Wirusy te badał również i doprowadził do postaci krystalicznej amerykański profesor biochemii Wendell Meredith Stanley. Te właśnie prace uznano za początek wirusologii. Z kolei amerykański lekarz patolog Peyton Rous (1879–1970) wykrył w roku 1911 pierwsze rakotwórcze wirusy, zdolne do samodzielnej replikacji, wywołujące u kur mięsaka. Doświadczalnie udowodnił, że mięsak można przenosić nie tylko drogą przeszczepienia, lecz także stosując bezkomórkowy przesącz. Oznaczało to istnienie wirusa.

W 1931 r. niemiecki fizyk Ernst Ruska (1906–1971) skonstruował pierwszy mikroskop elektronowy. Pozwala on uzyskać obraz mikrobów mierzonych tzw. podwielokrotnościami metra. Podstawową jednostką jest tu nanometr (symbol: nm) – jedna miliardowa metra, czyli jedna milionowa milimetra. Jest to wielkość całkowicie pozazmysłowa. „Naszego" koronawirusa też nie dostrzeże żadna żywa istota, ale jest to osobnik niezwykle duży jak na świat podwielokrotności metra. Ma bowiem wielkość ok. 0,1 mikrometra, a mikrometr jest to jedna milionowa metra, czyli inaczej jedna tysięczna milimetra. A więc koronawirus mierzy jedną dziesięciotysięczną milimetra. No, olbrzym po prostu…

W 1949 r. amerykański mikrobiolog i genetyk Alfred Day Hershey (1908–1997) odkrył rekombinację u bakteriofagów (czyli obronnych komórek organizmu zabijających zarazki). Rekombinacja jest to proces wymiany materiału genetycznego, w wyniku którego powstają nowe genotypy. Stanowi ona główne źródło występującej w przyrodzie zmienności dziedzicznej oraz podstawę do procesów ewolucyjnych. Jest również jedną z metod usuwania uszkodzeń powstałych w DNA. Nie prowadzi ona jednak do powstawania nowych genów, lecz jedynie do tworzenia się różnych kombinacji uprzednio istniejących sekwencji. Ale oto Hershey wykrył, że bakterie przenoszą swój materiał dziedziczny za pośrednictwem tych samych bakteriofagów, których zadaniem jest zabicie niebezpiecznego patogenu.

Trzy lata później on i Martha Chase (1927–2003) zakazili bakterię *Escherichia coli* bakteriofagiem T2 i wykazali jednoznacznie, że DNA jest nośnikiem informacji genetycznej. I tak zbliżamy się do tego, czego nie możemy do końca zrozumieć, gdy słyszymy w telewizji, że koronawirus umiera, ale nadal nas zaraża. Otóż w naszym organizmie pozostaje aktywna jego informacja genetyczna. Szczepionka wykorzystuje zaś materiał genetyczny wirusa do obezwładnienia go.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9af7342c1

Prymas w stanie wojennym

W bożonarodzeniowym wydaniu „Do Rzeczy" (52/2020) opublikowaliśmy tekst pt. „Prymas w stanie wojennym". Poniżej polemiczny list naszego czytelnika oraz odpowiedź autora artykułu, Rafała Łatki

Oceniając postawę przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski abp. Józefa Glempa w okresie stanu wojennego, Rafał Łatka wykazuje nieznajomość dokumentów, na które się powołuje (chyba że jest to celowa manipulacja ich treścią w celu uzasadnienia wątpliwych tez sformułowanych w artykule). Według opinii autora prymas „ostatecznie jakiekolwiek złudzenia co do możliwości reaktywacji [Solidarności] miał stracić po spotkaniu z Wojciechem Jaruzelskim odbytym 25 kwietnia", co jakoby znalazło potwierdzenie w komunikacie z Konferencji Plenarnej EP z 4 maja 1982 r., gdzie „w dalszym ciągu znajdowało się wezwanie do ugody społecznej, ale nazwa »Solidarność« już się w nim nie pojawiła". Rozumowanie to obarczone jest zasadniczym błędem, ponieważ stroną nowego porozumienia z władzą miała być przecież reaktywowana Solidarność, o czym biskupi wypowiedzieli się już wcześniej. W komunikacie znalazło się zresztą zupełnie jednoznaczne poparcie oczekiwań społeczeństwa, że „zawieszone związki zawodowe będą mogły – w interesie ludzi pracy – wznowić swoją statutową działalność" (P. Raina, „Kościół w PRL. Dokumenty 1975–1989", Poznań-Pelplin 1996, s. 302).

Podobnie niezgodne z faktami jest stwierdzenie Rafała Łatki, że w czasie homilii na Jasnej Górze 26 sierpnia 1982 r. prymas „nie wspomniał ani słowem o przywróceniu możliwości działania Solidarności". W rzeczywistości prymas skierował pod adresem władz PRL postulat, by „wznowić, choćby etapami, pracę związkową" (J. Glemp, „Nauczanie społeczne 1981–1986", Warszawa 1989, s. 71). Teza autora, że prymas wycofał poparcie dla Solidarności i „takie podejście poskutkowało także wstrzemięźliwą reakcją Kościoła na oficjalną delegalizację Solidarności w październiku 1982 r.", jest więc fałszywa. W istocie Kościół do końca opowiadał się za reaktywowaniem działalności związkowej i rozwiązanie przez władze PRL zarówno NSZZ „Solidarność", jak i NSZZ RI „Solidarność" ocenił krytycznie (vide komunikat Konferencji Plenarnej EP z 2 grudnia 1982 r., P. Raina, op. cit., s. 358–359).

W ocenie prymasa (i Kościoła) w stanie wojennym autor całkowicie pominął takie choćby działania jak pomoc świadczona represjonowanym ludziom Solidarności i ich rodzinom czy patronat nad światem kultury i nauki obejmujący również ludzi dalekich od wiary. Ani słowem nie wspomniał o inicjatywach na rzecz Solidarności na wsi, czego wyrazem było powołanie specjalnej Komisji Episkopatu Polski ds. Duszpasterstwa Rolników oraz próba utworzenia kościelnej Fundacji Rolniczej w celu dystrybucji pomocy deklarowanej przez Zachód. Według Rafała Łatki Kościół z prymasem na czele w okresie stanu wojennego zapewne powinien zejść do podziemia i wraz z Bujakiem i Frasyniukiem organizować demonstracje uliczne, prowadzone przez księży i zakonnice niosące krzyże i transparenty „Precz z komuną!".

Zwracam ponadto uwagę, że zdjęcie ilustrujące artykuł pracownika IPN zawiera błędny podpis. W 1981 r. ani Józef Glemp nie był kardynałem, ani Bronisław Dąbrowski arcybiskupem.

Andrzej W. Kaczorowski, badacz niezależny

OD AUTORA

Andrzej W. Kaczorowski w swojej polemice z moim tekstem powołuje się tylko na dokumenty powszechnie znane i mające charakter publiczny, a nie zna materiałów pochodzących z posiedzeń Episkopatu, a szczególnie jego kierowniczego gremium, czyli Rady Głównej. W czasie tych spotkań prymas Glemp wypowiadał się w sposób znacznie bardziej krytyczny o Solidarności, a szczególnie podziemnej działalności wielu jej liderów. Ze słów wygłaszanych przez hierarchę na forum EP wynikały późniejsze pominięcia w wystąpieniach czy dokumentach ogłaszanych publicznie. Tak było w przypadku komunikatu EP z 4 maja i w homilii abp. Glempa z 26 sierpnia 1982 r. Czy tego p. Kaczorowski chce, czy nie, wstrzemięźliwa reakcja Episkopatu na delegalizację Solidarności jest faktem. Biskupi w tej sprawie wydali komunikat półtora miesiąca po tym wydarzeniu. Nie zajmowałem się pomocą charytatywną Kościoła, tylko stosunkiem prymasa do opozycji, więc uwagi o brakach w tekście są nieuzasadnione. Zdanie p. Kaczorowskiego o tym, co Kościół powinien zrobić, jest – w moim przekonaniu – absurdalne, bo jako historyk opisuję, jak było, a nie piszę, co biskupi zrobić powinni.

Rafał Łatka

OD REDAKCJI

Nieścisłość w podpisie jest efektem pomyłki redakcji. Za błąd przepraszamy.

eprasa.pl c9af7342c1

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Bombardowanie '39

Album „Okaleczone miasto – Warszawa '39" oglądałem ze ściśniętym sercem. Rozbite budynki, pokiereszowane odłamkami kościoły, zburzone muzea i zabytkowe gmachy. Całe kwartały miasta zmiecione z powierzchni ziemi. Chodniki zasypane szkłem z potłuczonych okien. Tysiące grobów zabitych cywili.

Warszawa w 1939 r., jak Paryż w 1940 r., powinna zostać ogłoszona miastem otwartym

Między wypalonymi kikutami budynków przemykają ludzie. Wstrząśnięci skalą destrukcji. Opłakujący bliskich, którzy zginęli pod bombami i pociskami w trakcie oblężenia. Niepublikowane wcześniej zdjęcia zrobione przez Antoniego Snawadzkiego są jednym z najbardziej wstrząsających i tragicznych obrazów kampanii 1939 r.

Często mówi się o niemal całkowitym zburzeniu stolicy w trakcie i po zakończeniu powstania warszawskiego. Zapomina się zaś o tym, że po raz pierwszy Warszawa została zniszczona już w roku 1939. Od początku wojny do 27 września na polską stolicę sypały się niemieckie bomby i pociski artyleryjskie. Zburzeniu uległo 12 proc. budynków. Zginęło ok. 20 tys. cywili.

Zdjęcia Snawadzkiego skłaniają do niewesołych refleksji. Po pierwsze, poraża okrucieństwo niemieckich lotników, którzy przez miesiąc bombardowali pełne ludności cywilnej miasto. Po drugie, trudno zrozumieć decyzję polskiego dowództwa o zamianie Warszawy w „twierdzę". Polska stolica, tak jak Paryż w roku 1940, powinna zostać ogłoszona miastem otwartym. Właśnie w trosce o zabytki i życie cywili.

Niezwykle ciekawa jest postać autora zdjęć – Antoniego Snawadzkiego. Był to bohater przez duże B. Członek Legionów, weteran wojny 1920 r., powstaniec śląski. Zarówno w 1920, jak i w 1939 r. walczył w szeregach oddziałów legendarnego gen. Stanisława Bułak-Bałachowicza.

Za pierwszym razem został pojmany przez bolszewików i wydany w łapska Czeka. Snawadzki przeszedł ciężkie tortury. Udało mu się jednak uciec spod luf plutonu egzekucyjnego i przedrzeć do Polski. Dwadzieścia lat później nie miał już tyle szczęścia. W styczniu 1940 r. został wyprowadzony z domu przez gestapo. I wszelki ślad po nim zaginął…

„Okaleczone miasto" to bez wątpienia jeden z najlepszych albumów IPN. ©℗

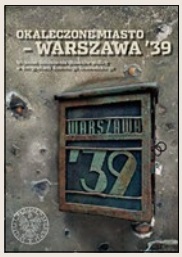

★★★★★★
„OKALECZONE MIASTO – WARSZAWA '39"
(OPRAC. MARCIN MAJEWSKI) IPN

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Dwa debiuty

Lucyna Messal od najmłodszych lat miała jasno określony cel – pragnęła zostać gwiazdą operetki. O jej dzieciństwie wiemy niewiele, a właściwie tylko tyle, ile sama chciała powiedzieć. Pochodziła z niezamożnej rodziny majstra stolarskiego Jana Mischala, miała siedmioro rodzeństwa. Rodzice skierowali ją w stronę kariery baletowej, do której dziewczynę predysponowała uroda i dobry słuch muzyczny.

Ponowny debiut Lucyny nastąpił pięć lat po pierwszej porażce

„[...] młode dziewczęta, pochodzące przeważnie z warstw bardzo ubogich – wspominał pianista Roman Jasiński – oddawane były do szkoły baletowej jeszcze we wczesnym dzieciństwie, a to wyraźnie z myślą, by zrobiły karierę. Lecz nie tyle artystyczną – tu szanse były znikome, ile po prostu życiową. Marzeniem tych dziewcząt było znalezienie dobrze sytuowanego męża, a choćby przyjaciela".

Ambicje Messalki nie kończyły się jednak na znalezieniu odpowiedniego kandydata na męża albo sponsora. Brała lekcje śpiewu i w wieku 18 lat pojawiła się na scenie warszawskiej operetki. Umożliwił jej to baryton stołecznej opery, Stanisław Bogucki, który jednak chyba zbyt szybko uwierzył w jej możliwości. Zadebiutowała 14 stycznia 1904 r. w operetce Straussa „Ach, ta wiosna".

„Poniosła wtedy sromotną klęskę – relacjonował Ludwik Sempoliński. – Głos miała jeszcze nieopanowany, żadnego przygotowania scenicznego, no i zachowanie na scenie wprost nie do zniesienia. Zanim podziękowała publiczności za oklaski, dygała przed lożą prezesa teatrów, a koleżankom za kulisy posyłała pocałunki".

Panna Lucyna miała jednak trzeźwe spojrzenie na świat, więc zrozumiała, że musi się jeszcze wiele uczyć. Po klęsce zrezygnowała z dalszych występów w charakterze śpiewaczki i powróciła do baletu. Mimo to w wolnym czasie pracowała nad swoim głosem, a jej pierwszym profesjonalnym nauczycielem był Stefan Wołoszko. Jednak największy wpływ wywarł na nią światowej sławy bas, Edward Reszke. Początkowo brała u niego lekcje śpiewu w Warszawie, potem pojechała do Paryża, „gdzie wraz z bratem otworzyli jedną z najlepszych szkół śpiewania na świecie".

Ponowny debiut Lucyny miał miejsce pięć lat po pierwszej porażce. Tym razem wystąpiła w „Baronie cygańskim" Johanna Straussa i odniosła pełny triumf. Nie traciła też czasu, gdyż pięć dni po debiucie wystąpiła w głównej roli w operetce Gustawa Kerkera „Piękność z Nowego Jorku". Wkrótce potem stała się wielką gwiazdą i ulubienicą całej Warszawy. ©℗

eprasa.pl c9af7342c1

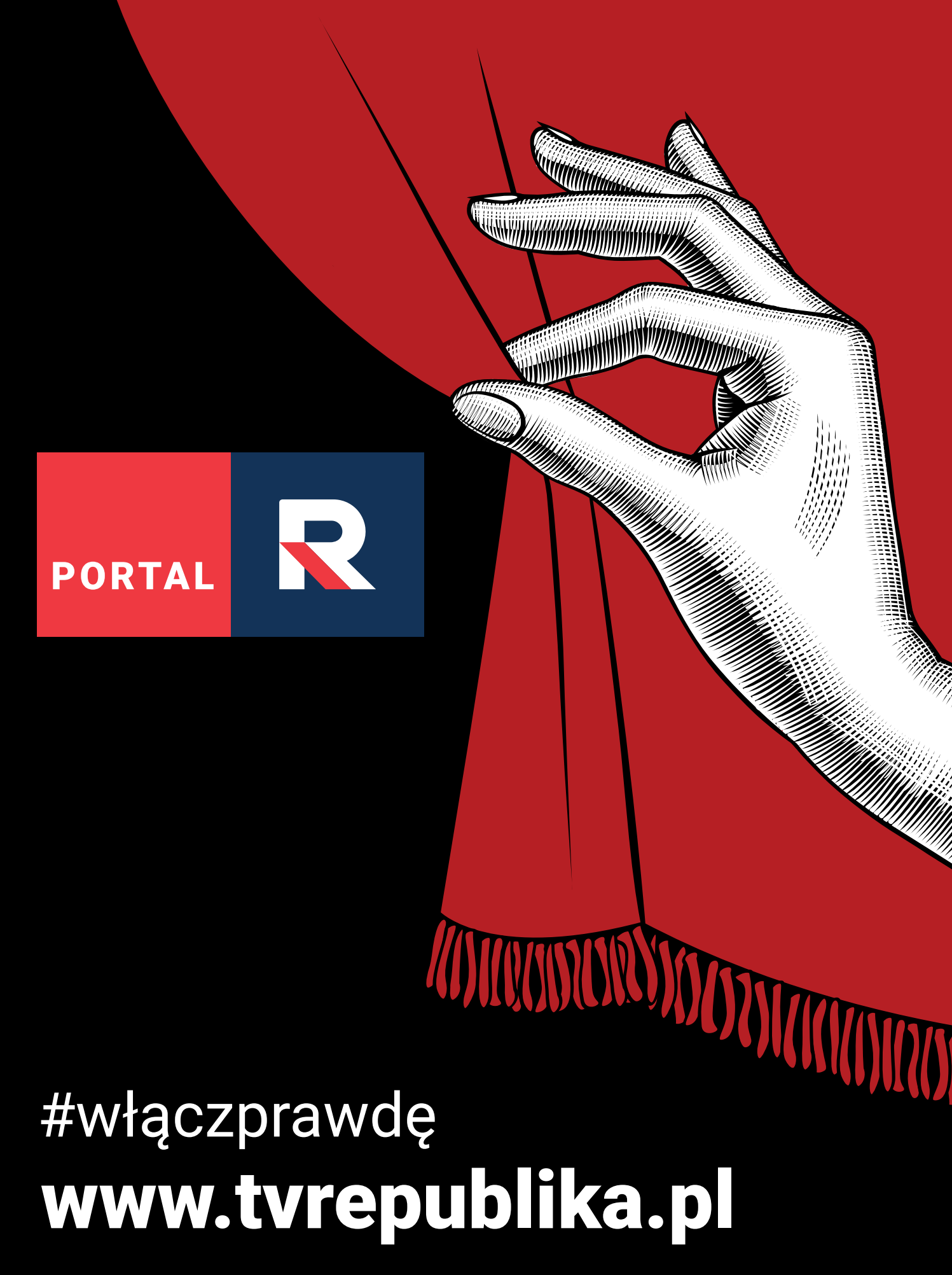
PORTAL
#włączprawdę
www.tvrepublika.pl

FOT. MAREK LASYK/REPORTER

eprasa.pl c9af7342c1

Z Georgette Mosbacher, ambasador USA w Polsce
rozmawia Marcin Makowski

Prezydent Trump ponosi największą odpowiedzialność

MARCIN MAKOWSKI: Minęły prawie trzy lata, od kiedy objęła pani funkcję ambasadora USA w Polsce, a politycznie wydaje się, jakby minęła dekada. Gdyby miała pani podjąć jeszcze raz tę decyzję, wyjechałaby pani do Warszawy?

GEORGETTE MOSBACHER: Tak, bez żadnego wahania. Również dlatego, że lubię mieć poczucie, iż coś osiągnęłam i ambitnie wykorzystałam czas. Chcę działać tak, aby mieć wpływ na świat, który mnie otacza, i mam wrażenie, że to mi się udało. Polska to wschodnia flanka NATO, brama Europy Wschodniej w kierunku Chin, lider regionu, który stwarza możliwości do realizacji ważnych zadań w relacjach dwustronnych.

Czy są jakieś decyzje, których pani żałuje? Niezałatwione sprawy, które wywołują niepokój?

Nie sądzę. Z punktu widzenia priorytetów, które zostały przede mną postawione, większość udało się osiągnąć. Gdybym jednak miała powiedzieć, czy czegoś żałuję… Może tego, że nie zawsze byłam wystarczająco wrażliwa na to, że Polska jest krajem katolickim, a pewne tematy – takie jak prawa osób LGBT – powinny dojrzewać w sposób naturalny. Przeżyłam lata 60. w USA i widziałam to na własne oczy. Nam samym zajęło to naprawdę dużo czasu, aby dojść do miejsca, w którym obecnie jesteśmy. Może powinnam być bardziej cierpliwa.

Teraz odwróćmy perspektywę. Z jakich dokonań jest pani najbardziej dumna?

Trudno wybrać jedną sprawę. Na pewno mogę wymienić zniesienie wiz, ponieważ tak wielu prezydentów to obiecywało, a nam w końcu się udało. Muszę wspomnieć również o aktywacji Wysuniętego Dowództwa V Korpusu Sił Lądowych USA oraz postępach w cywilnej energetyce jądrowej.

Do jakiej Ameryki pani wraca? Targanej polityczną wojną domową czy Ameryki na zakręcie, z którego wyjdzie na prostą drogę?

Stany Zjednoczone narodziły się z wojny domowej. Przeszliśmy w naszej historii przez wiele momentów społecznego wzburzenia i podziałów – przetrwamy i ten. Ameryka się uzdrowi, ale to proces, który czasami nie wygląda ładnie, jestem jednak optymistką. Jako społeczeństwo jesteśmy bardzo odporni, a nasze instytucje mają solidne fundamenty.

Jak zmiana amerykańskiego prezydenta wpłynie na relacje Polska-USA? Czy Joe Biden będzie poświęcał mniej uwagi flance wschodniej NATO, mając na głowie problemy wewnętrzne USA?

Oczywiście pandemia koronawirusa zmieniła dynamikę, jeśli chodzi o nasze priorytety – zaszczepienie wszystkich obywateli oraz zrestartowanie amerykańskiej gospodarki to w tej chwili jest i powinien być najważniejszy cel. Nie oznacza to jednak, że Polska straci na znaczeniu w polityce międzynarodowej, bo przecież wspomniane już geopolityczne właściwości waszego kraju nie znikają z dnia na dzień, ale będą tylko zyskiwać na znaczeniu. Następna dekada będzie należała do Europy Środkowo-Wschodniej, ponieważ z tego regionu pochodzi wzrost gospodarczy i potencjał w kontekście relacji z Rosją i Chinami. Siłą rzeczy Polska jest liderem tego regionu, dlatego pozostanie istotna bez względu na administrację.

Jak odbiera pani to, co wydarzyło się 6 stycznia na Kapitolu? Czy to była próba zamachu stanu?

Nie sądzę, aby to był zamach stanu, ale byłam przerażona tym, co widziałam. Mówimy o rzeczy niewybaczalnej i nie do obrony. Sprawy w naszej stolicy zaszły za daleko. Wiem, że demokracje nie zawsze działają harmonijnie, ale gdy jest się patriotą, obserwowanie wtargnięcia do serca tej demokracji po prostu boli.

Mówi pani, że to „niewybaczalne", ale kto jest odpowiedzialny za tę sytuację? Donald Trump?

Oczywiście, prezydent Trump ponosi największą odpowiedzialność. Nie ma sensu kluczyć w tej sprawie. Możemy też zapytać: Gdzie były policja i służby porządkowe w Waszyngtonie? Dlaczego były tak nieliczne? Nie usprawiedliwia to jednak prezydenta, bo to jego retoryka doprowadziła do tych wydarzeń – teraz musi się on zmierzyć z konsekwencjami.

Czy konsekwencją jego słów powinien być proces impeachmentu, czyli usunięcie z urzędu?

Nie wiem, czy sprawy powinny pójść aż tak daleko. Nie chciałabym doczekać usunięcia któregokolwiek z prezydentów, a zwłaszcza tego, dla którego pracowałam. Ufam jednak, że nasi politycy postąpią właściwie.

A może – jak sugerują demokraci – to wiceprezydent Mike Pence powinien „postąpić właściwie", doprowadzając do usunięcia z urzędu Donalda Trumpa – obejmując, do czasu zaprzysiężenia Joe Bidena, jego funkcję?

Następny prezydent Stanów Zjednoczonych będzie zaprzysiężony 20 stycznia, bez względu na wszystko. Wolałabym taki scenariusz, bez etapów pośrednich.

Skoro nie usunięcie z urzędu, to czy w takim razie Donald Trump powinien zostać usunięty z mediów społecznościowych? A może to media społecznościowe przekroczyły pewną granicę?

To trudne pytanie. Jeśli odetniemy Donalda Trumpa od mediów

eprasa.pl c9af7342c1

społecznościowych, to czy powinniśmy to również zrobić tradycyjnym mediom, które opisywały sprawę w sposób zaogniający problem? Dolewały oliwy do ognia. Jeśli uznajemy, że prezydent posługuje się taką retoryką, to czy te same zasady obejmują media? To jest droga donikąd. Skoro mamy wolność słowa, to godzimy się również na to, że nie zawsze będziemy zadowoleni z tego, co słyszymy. Możemy się nie zgadzać z tym, co mówi Donald Trump, ale od tego mamy wybory, po których możemy go pozbawić urzędu. Nie sądzę, aby odcięcie prezydentowi dostępu do Twittera albo Facebooka było korzystnym rozwiązaniem. Czuję się z tą sytuacją niekomfortowo.

Czy korporacje technologiczne zyskały zbyt wielką władzę przy zbyt małej kontroli państwa? Czy stosują cenzurę? A może po prostu korzystają ze swojej wolności do prowadzenia prywatnego biznesu?

Bez względu na to, czy są prywatnymi firmami, mają również obowiązki. Działają przecież w Internecie, który jest domeną publiczną, dlatego muszą dbać o jakość usług – kasować pornografię, moderować treści pełne nienawiści i przemocy. Giganci technologiczni nie powinni arbitralnie decydować, gdy ktoś nie łamie prawa, co może, a czego nie może powiedzieć. A w takiej roli się stawiają. Wolałabym mieć swobodę do wygłoszenia opinii, która mi się podoba, a następnie odpowiadać za jej konsekwencje przed opinią publiczną, a nie przed kimś, kto decyduje z tylnego siedzenia.

Ten wpływ idzie dalej. Ostatnio Amazon, ale również wiele innych firm, poinformował, że ich komitet akcji politycznych (PAC) zawiesza dotacje dla wszystkich polityków, którzy zagłosowali przeciwko zatwierdzeniu przez Kongres prezydenta elekta Joe Bidena. Czy takie działanie przyczyni się do wewnętrznego rozpadu Partii Republikańskiej?

Sąd Najwyższy uznał, że finansowanie partii politycznych jest realizacją wolności słowa, mamy w tym zakresie jasne reguły, kto, komu i ile może przekazać, i powinniśmy się ich trzymać. Nie sądzę, aby groźby w zakresie odcięcia finansowania wpłynęły na całą Partię Republikańską, która przecież jest różnorodna. Poza tym mamy w państwie system dwupartyjny, więc zawsze jakaś korporacja będzie się z kimś zgadzać albo nie zgadzać – nie ma przymusu wpłacania pieniędzy na republikanów. W końcu przyjdą inni, którzy powiedzą: „Nie podoba mi się zachowanie demokratów, nie będę ich wspierać". Ich prawo. To odwieczna część składowa polityki – jeden cię kocha, drugi nienawidzi. Trudno.

Pozostając w temacie pieniędzy i polityki – była pani przecież swego czasu odpowiedzialna za finanse republikanów. Gdyby miała pani szansę powrotu do zawodowej polityki w USA, czy skorzystałaby z niej pani?

Tak, oczywiście. Zawsze będę aktywna politycznie, jako Amerykanka mam prawo nie tylko do wybierania, lecz także do bycia wybraną. To czyni naszą demokrację żywotną. Fakt, że coś mi się dzisiaj w polityce nie podoba, nie sprawia, że będzie tak wiecznie.

Myśli pani np. o starcie w wyborach do Kongresu?

Panie redaktorze, w przyszłym tygodniu będę miała 74 lata (śmiech).

Nadal jest pani młodsza od prezydenta Joe Bidena.

Nie ma mowy. Nie mam już energii na kampanię wyborczą, co nie znaczy, że zupełnie wyłączam się z życia politycznego.

Amerykańskie służby obawiają się zbrojnych incydentów z udziałem zwolenników Donalda Trumpa w czasie inauguracji duetu Biden/Harris. Czy słusznie?

Wszystko może się zdarzyć, ale nie sądzę, aby doszło do jakichś poważnych incydentów. Powtarzam, nasza demokracja jest silna, przetrwała i przetrwa gorsze rzeczy. Na własne oczy obserwowałam zamachy 11 września w Nowym Jorku – podnieśliśmy się nawet po takiej tragedii. Wierzę w to i będę się modlić, abyśmy byli świadkami pokojowego przekazania władzy, tak jak od 200 lat w południe 20 stycznia. Właśnie wtedy Joe Biden zostanie następnym prezydentem USA i stanie się to w sposób zgodny z prawem oraz pokojowy. Jestem optymistką.

Wróćmy do pani kadencji. Prezydent Andrzej Duda odznaczył panią 12 stycznia Krzyżem Wielkim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. O czym pani myślała, przyjmując to wyróżnienie?

Myślałam zwłaszcza o tym, jakie mam szczęście, że miałam szansę służenia mojej ojczyźnie, Stanom Zjednoczonym, oraz Polsce. To prawdziwy zaszczyt i przywilej, zwłaszcza że tak wiele udało nam się dokonać. Myślałam również o przyjaciołach, których poznałam w waszym kraju, i o szczodrości oraz gościnności Polaków. Nigdy nie zaznałam większej. Będę naprawdę tęsknić za Polską, ale będę tutaj wracać. Po wypełnieniu moich obowiązków ambasadorskich wracam do pracy w radzie fundacji Atlantic Council, gdzie będę się zajmować sprawami Trójmorza. Odbierając to odznaczenie, wiedziałam, że to nie jest pożegnanie.

Myślę, że nie będzie przesadą stwierdzenie, iż była pani nie tylko najbardziej barwną, lecz także najbardziej kontrowersyjną ambasador USA w historii Polski. Jak z perspektywy czasu podchodzi pani do dyskusji i politycznego niezadowolenia, które wywołała?

Wierzę w to, że jeżeli chce się cokolwiek w życiu osiągnąć, to trzeba być w to zaangażowanym i pełnym pasji. Taka byłam, zanim objęłam swoją funkcję, i taka pozostanę. Od początku wiedziałam, że nie wszystkim spodobają się mój styl, moje decyzje oraz polityka, którą będę prowadzić, ale tak bywa. To część demokracji. Nie przylatywałam do Warszawy, aby być popularna, ale po to, aby uczynić nasze relacje bilateralne silniejszymi, z korzyścią dla obydwu stron. Przy takiej skali zmian miałam świadomość, że nie obędzie się bez kontrowersji, sporów i kłótni. Trzeba być jednak wiernym swoim wartościom oraz priorytetom, które otrzymuje się od głowy państwa. Mam nadzieję, że zostawiam po sobie pozytywny bilans działań, mimo tego, że nie wszystko, co robiłam, było przyjmowane przez Polaków z aprobatą.

Na koniec: Gdyby mogła pani przekazać nowemu ambasadorowi jakąś radę, wiedząc o Polsce to, co już pani wie, co by mu pani powiedziała?

Zacznijmy od tego, że nie mam pojęcia, kto będzie nowym ambasadorem, ale powiedziałabym mu lub jej, aby był bardzo wrażliwy i miał wiedzę o przeszłości Polski. Historia waszej ojczyzny jest ważna dla jej teraźniejszości oraz dla zrozumienia tego, jakie wysiłki poczyniliście, aby dojść do obecnego punktu, i gdzie widzicie siebie w przyszłości. Ambasador nie może o tym zapominać, równocześnie mając z tyłu głowy prostą konstatację; zajęcie miejsca, w którym znajdujemy się jako państwo, zajęło nam wiele czasu, którego Polska nie miała. Tutejsza demokracja niedawno skończyła 30 lat, mimo tego osiągnęła niesamowite postępy, tworząc klasę średnią oraz nowoczesne społeczeństwo. Wybijające się na tle wielu sąsiadów. Mając tę perspektywę, doradziłabym mu, aby starał się rozumieć, że również z tej trudnej historii wypływa troska Polski o jej bezpieczeństwo. A zatem: szacunek i wyrozumiałość – te dwie rzeczy są kluczem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9af7342c1

FOT. ADOBE STOCK

KANAPKA Z WĘDLINĄ, CZYLI PRZEMYT

Holenderska telewizja wyemitowała nagranie z granicy z Wielką Brytanią. Pokazała celników odbierających zdumionym kierowcom ciężarówek... kanapki z szynką. Ponieważ nastąpił brexit, wjeżdżających przez granicę UE obowiązuje zakaz przewożenia produktów pochodzenia zwierzęcego – zawierających zarówno mięso, jak i nabiał. Komisja Europejska tłumaczy, że zakaz jest konieczny, bo mięso i produkty mleczne mogą zawierać patogeny wywołujące choroby u zwierząt.

PORNOGRAFICZNY SERIAL DLA DZIECI

Duńska telewizja publiczna DR wyemitowała pierwsze odcinki bajki dla dzieci zatytułowanej „John Dillermand". To opowieść o mężczyźnie... z najdłuższym penisem na świecie. Puszczanie dzieciom takich historii w Danii skrytykowali nie tylko rodzice, lecz także nawet feministki. Norwegowie zapowiedzieli, że takiego serialu w swoim kraju nie puszczą. Duńczycy z kolei zapowiadają kolejne odcinki bajki. Sarah Cecilie Simone Hansen z telewizji DR stwierdziła, że „dzieci bardzo dobrze przyjęły" serial. Dlatego nadawca zamierza pokazać kolejne przygody „Johna".

KEBAB STALINA

W Moskwie otwarto Kebab Stalina. W barze ulokowanym w pobliżu stacji metra Wojkowskaja obsługa pracuje w mundurach NKWD. W menu potrawy sygnowane Stalinem, Berią, Chruszczowem. Na ścianach cytaty m.in. ze Stalina: „Żyje się lepiej, żyje się weselej". Wiadomo, że to tylko taka „zabawa" – wszak prawdziwy bar Stalina serwowałby to, co dawano milionom więzionych w gułagach: nic, ewentualnie bałandę na chwastach.

AUSTRIACKI PLAGIAT

Christine Aschbacher, minister pracy Austrii, podała się do dymisji. Eksperci dowiedli bowiem, że w swojej pracy doktorskiej „Zarys stylu przywództwa w spółkach innowacyjnych" dopuściła się plagiatu. Jedna czwarta jej pracy to słowa przepisane od innych, bez podania źródeł. Minister wykorzystała m.in. artykuł z „Forbesa" i na dodatek nieudolnie go przetłumaczyła z angielskiego. Zdaniem ekspertów to nie pierwszy plagiat Aschbacher – dopuściła się tego także w pracy magisterskiej.

SEUL RADZI CIĘŻARNYM

Władze Seulu opublikowały internetowy poradnik dla ciężarnych kobiet. Podpowiadano w nim m.in., żeby przed wyjazdem do szpitala przygotowały kilka posiłków dla mężów „nienawykłych do gotowania". Proponowano też, by przed porodem kobiety sprawdziły, czy mąż i dzieci będą miały czyste ubrania na kilka dni. Po fali krytyki te zapisy z poradnika zostały usunięte. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Pandemiczne absurdy

Pewne małżeństwo z kanadyjskiego Quebecu wpadło na pomysł ominięcia godziny policyjnej. Skoro prawo zezwala na wyprowadzanie zwierząt, to kobieta założyła obrożę mężowi, który karnie szedł na smyczy u jej boku. Stróże prawa uparli się, że to nielegalne, i małżeństwo zostało ukarane. Rzeczniczka prasowa policji ostrzegła zaś oficjalnie, że „na spacer można wyprowadzać tylko prawdziwe zwierzę". Oczywiście, skoro smycz założyła małżonka, to lepiej wie, czy mąż to „prawdziwe zwierzę" czy już tylko wyleniały, brzuchaty leniwiec. Sędziowie i policjanci są jednak w takich sprawach mało tolerancyjni, choć trudno wytłumaczyć, dlaczego wyjście z psem czy kotem jest mniejszym zagrożeniem epidemiologicznym niż krótki spacer mieszkających ze sobą małżonków, trzymających się siebie na odległość smyczy.

Czasy pandemii pełne są podobnych reguł „nowej normalności", które do niedawna wywołałyby skandal. Jedną z nich wprowadziły luksusowe singapurskie linie lotnicze, które członkom personelu latającego założyły elektroniczne „obroże". Przed koronawirusem tego typu cuda techniki nosili głównie groźni skazańcy i osoby warunkowo zwolnione zza krat. Tymczasem szefowie Singapore Airlines – jak podał singapurski dziennik „Straits Times" – zobowiązali załogi do noszenia elektronicznych bransoletek, aby móc monitorować, czy personel podczas przerw między rejsami na długie dystanse nie naraża się na zakażenie wirusem. W czasach, gdy większość linii zwalnia, a nie zatrudnia, załogi oczywiście „wykazały się zrozumieniem".

Po opanowaniu COVID-19 trzeba więc będzie zniszczyć też wirusa „nowej normalności" u menedżerów, urzędników i polityków. ©℗

eprasa.pl c9af7342c1

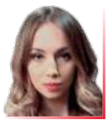

Maria Kądzielska

Czy Państwo Środka ma wystarczająco dużo sił, aby stawić czoło hegemonii militarnej USA?

Prawdziwy potencjał Chin

Napięcie na granicy indyjsko-chińskiej wciąż nie ustaje. Obydwa kraje oskarżają się wzajemnie o próby przejęcia terytorium przy ich spornej granicy w Himalajach. Ostatnie starcie między armiami, do którego doszło w lipcu ubiegłego roku, skończyło się na walce na kije, podczas którego zginęło przynajmniej 20 indyjskich żołnierzy (straty po stronie chińskiej nie są znane). Konflikt dotyczy dwóch położonych wysoko w górach terenów – Arunachal Pradesh i Aksai Chin.

Chińczycy uprawiają zaczepną politykę również wobec innych sąsiadów. Chińskie uzbrojone kutry rybackie regularnie naruszają granice wód terytorialnych Indonezji. Chińskie samoloty i okręty wojenne wielokrotnie zagrażały przestrzeni powietrznej i wodom terytorialnym Tajwanu. Dodatkowo Chińczycy regularne zwiększają swoją militarną obecność na Morzu Południowochińskim, naruszając granicę 200-milowej wyłącznej strefy ekonomicznej (EEZ). Próbują wypychać statki US Navy z tych wód. Budują sztuczne wyspy oraz rozbudowują na nich infrastrukturę lotniskową i portową, która zwiększa możliwość projekcji sił w regionie.

Czy mamy do czynienia z nową militarną potęgą? Czy chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza może stanowić realne wyzwanie nie tylko dla sąsiadów, lecz także wobec Stanów Zjednoczonych?

MILIONY W MUNDURACH

Według rankingu „Global Firepower" z 2014 r. chińskie siły zbrojne stanowią trzecią po Stanach Zjednoczonych i Rosji siłę militarną na świecie. Liczebnie to największa armia świata – 2,8 mln żołnierzy, marynarzy i lotników, czyli dwukrotnie więcej niż Stany Zjednoczone. Stale pod bronią jest ok. 0,18 proc. populacji ChRL. W skład sił zbrojnych Chin wchodzą Wojska Lądowe, Marynarka Wojenna, Siły Powietrzne, Wojska Rakietowe oraz Siły Wsparcia Strategicznego. W sytuacji zagrożenia byłyby w stanie zmobilizować 7 mln ludzi.

W latach 80. chińska armia była o 1 mln żołnierzy silniejsza. Wtedy przywódcy ChRL zorientowali się, że tak wielka liczebność faktycznie przeszkadza w rozwoju nowoczesnej siły. Armia miała problem z mobilnością, nowoczesnym uzbrojeniem i wyszkoleniem. Obecnie 2 mln chińskich żołnierzy służą w siłach lądowych, gdzie ich głównym obowiązkiem jest zapewnienie porządku wewnętrznego i ochrona granic.

Pentagon kwestionuje wciąż zdolności mobilne chińskiej armii. Szacuje się, że tylko ok. 20 proc. sił lądowych jest przygotowane do poruszania się wewnątrz samych Chin. Jeszcze mniejsza liczba posiada samochody ciężarowe, obiekty naprawcze, jednostki konstrukcyjne i inżynieryjne

eprasa.pl c9af7342c1

FOT. HOU CHONGHUI/VCG/GETTY IMAGES

oraz inne aktywa mobilne potrzebne do projekcji sił poza granicami kraju.

Chiński budżet obronny na przestrzeni lat 90. wzrósł o 50 proc. Obecnie na samą armię Chińczycy wydają 78 mld dol. Ich roczny budżet na wszystkie cele obronne, w tym wydatki na zagraniczny sprzęt wojskowy, sięga 126 mld dol., co stanowi 1,5 proc. PKB. Dla porównania – budżet Sił Zbrojnych USA stanowi 4,4 proc. PKB.

Nawet przy najbardziej zawyżanych szacunkach Chiny wydają mniej niż 25 proc. tego, co Stany Zjednoczone przeznaczają na obronę, wspierając dwukrotnie większą armię.

ARSENAŁ NUKLEARNY

Dokładny arsenał nuklearny Chińskiej Republiki Ludowej jest utrzymywany w tajemnicy. Departament Obrony Stanów Zjednoczonych w najnowszym raporcie dla Kongresu szacuje, że chiński arsenał rakietowy zdolny do użycia broni jądrowej składa się w sumie z 50–60 międzykontynentalnych pocisków balistycznych. W tym są: międzykontynentalne okręty powietrzne DF-5 (CSS-4), napędzane paliwem stałym okręty międzykontynentalne DF-31 (CSS 10 Mod-1) i DF-31A (CSS-10 Mod 2). Dodatkowo, Marynarka Armii Wyzwoleńczej posiada pociski balistyczne JL-2 wystrzeliwane z łodzi podwodnych. Robert S. Norris i Hans M. Kristensen oszacowali wielkość obecnych zapasów broni jądrowej w Chinach na ok. 260 głowic, z tego ok. 190 uważa się obecnie za sprawne.

Chiny kontynuują także rozwój nowych wyrzutni rakiet i podziemnych magazynów w odległych regionach śródlądowych, w tym na pustyni Gobi i na wyżynach tybetańskich. Ponieważ nie ma dowodów na to, że rakiety dalekiego zasięgu zostały rozmieszczane w tych nowych lokalizacjach, wydaje się, że miejsca mają służyć przede wszystkim jako wysunięte bazy dla potencjalnych startów rakiet przeciwko Rosji oraz Indiom.

PORZĄDEK WEWNĘTRZNY

Chińska armia obok partii i rządu stanowi trzeci ośrodek władzy. Dowództwo nie podlega Radzie Państwa, ale dwóm Centralnym Komisjom Wojskowym – państwowej i partyjnej. Zachodni analitycy od dawna podkreślają, że bardziej stosowne jest użycie terminu „stosunki partia-armia" niż ogólnego terminu „stosunki cywilno-wojskowe". W systemie politycznym kierowanym przez partię komunistyczną wojsko jest instytucjonalnym i zbrojonym narzędziem politycznym. Komunistyczne siły zbrojne nie wykazują stopnia „korporacyjnej" tożsamości i politycznej autonomii charakterystycznej dla zachodnich sił zbrojnych. Armia stanowi narzędzie w rękach polityków, a jej poparcie odgrywa decydującą rolę w rozgrywkach pomiędzy poszczególnymi frakcjami w partii. Tym samym misja armii zapewnienia bezpieczeństwa narodowego jest podwójna – żołnierze mają bronić państwa zarówno przed zewnętrznym, jak i wewnętrznym wrogiem (kimkolwiek on jest).

Chińskie siły zbrojne przez wiele lat były regularnie infiltrowane przez partię – w szczególności poprzez sieć komisarzy politycznych, komitetów partyjnych, także z wykorzystaniem innych mechanizmów. Do lat 90. wszyscy oficerowie powyżej stopnia pułkownika byli członkami partii. Dodatkowo duży procent wyższych oficerów pełniących służbę wojskową wchodził w skład elitarnych organów partii, w tym Komitetu Centralnego. Było to paraliżujące dla funkcjonowania sił zbrojnych. To kariery polityczne, a nie kompetencje i realne osiągnięcia decydowały o awansie w wojsku. Duży problem stanowiła również korupcja.

STRATEGIA I DOKTRYNA WOJSKOWA

Od lat 90. trwa reforma armii. Ma zmniejszyć rolę wewnętrzną wojska na rzecz projekcji sił poza granicami kraju. Częścią reformy jest także proces odpolityczniania sił zbrojnych. Obecnie tylko jeden generał senior Chi Haotian jest wysoko postawionym członkiem partii. W efekcie korpus oficerski staje się coraz bardziej profesjonalny w klasycznych terminach Huntingtona. W istocie rekrutacja do Armii Ludowo-Wyzwoleńczej opiera się prawie wyłącznie na kryteriach merytorycznych. Obecnie misją Generalnego Departamentu Politycznego Armii jest zapewnienie odpowiedniej opieki nad żołnierzami i ich rodzinami, zamiast realizowania politycznej indoktrynacji, jak miało to miejsce w ubiegłym wieku. Oficerowie spędzają czas na uczeniu się strategii i doktryny wojskowej, zamiast na zajęciach z maoizmu. Zmiany te są powodowane koniecznością rywalizacji na arenie międzynarodowej, jednak wciąż wiele pozostaje do zrobienia.

Nawet jeśli Chiny pragną zmniejszać dystans dzielący ich armię od amerykańskiej, to zaczynają jednak z pozycji przegranej. USA posiadają „kapitał" nowoczesnego sprzętu wojskowego o wartości blisko biliona dolarów. Ta sama kwota w Państwie Środka to znacznie poniżej 100 mld dol. Chińskie wojsko musiałoby zwiększać wydatki na sprzęt o 22–39 mld dol. rocznie przez 10 lat, aby władać potencjałem zdolnym zagrozić USA. Ponadto szacunki te nie uwzględniają dodatkowych inwestycji, które byłyby potrzebne do wyszkolenia, rozmieszczenia i utrzymania nowoczesnych sił.

Na razie Chiny nie są nawet w stanie podjąć próby wysiłku o podobnej skali. Ich celem jednak nie jest bezpośrednia konfrontacja ze Stanami Zjednoczonymi, ale uzyskanie dominacji w regionie. W tym aspekcie mają znacznie większe sukcesy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9af7342c1

Imigranci – żyła złota dla lewicy

FOT. JAVIER BAULUZ/AP/EAST NEWS

Małgorzata Wołczyk

Dlaczego europejskie elity wciąż uważają, że społeczeństwa powinny przyjmować imigrantów? Odpowiedź jest banalna jak porzekadło: „Jeśli nie wiadomo, o co chodzi – to chodzi o pieniądze"

Hiszpania mierzy się nie tyle z napływem, ile już z inwazją imigrantów. W 2020 r. przybyło na Wyspy Kanaryjskie o 900 proc. więcej imigrantów niż w roku ubiegłym, na Baleary 240 proc. więcej. I wszystko to w pandemicznym roku, gdy szczelnie zamknięto granice. Gdy obywatelom odradzano, a czasem uniemożliwiano podróże z regionu do regionu (na mocy ogłoszonego aż do maja 2021 r. stanu alarmowego), a przylatujący turyści muszą okazywać na lotniskach negatywny test PCR, imigranci przybywali swobodnie w liczbie 300–600 dziennie. W dodatku nie chodzi o żadne skrzywdzone dzieci wojny, tylko jak zwykle o mężczyzn w wieku poborowym.

Według śledztwa dziennikarki Marii Montero dla ocenzurowanego już programu „Estado de Alarma" łodzie, które przypływają na Wyspy Kanaryjskie, pochodzą z Maroka, Mauretanii i Senegalu. Imigranci wypływają na statkach, a gdy znajdują się 12 mil morskich od wysp (czyli na granicy wód terytorialnych Hiszpanii), są spuszczani na łodzie lub pontony, aby mogli dotrzeć do wybrzeża. To nie tylko transporty ludzi, lecz także narkotyków, zwłaszcza haszyszu. Morska straż cywilna jest zmuszona ich ratować i doprowadzić na najbliższy brzeg, czyli na teren Hiszpanii. Imigranci nie chcą ujawniać, kto jest właścicielem łodzi z obawy przed zemstą członków mafii, którym zapłacili za podróż.

10 TYS. EURO DLA PATRONA

„La Vanguardia" opublikowała 13 grudnia wywiad z zakamuflowanym, strzegącym swej anonimowości handlarzem żywym towarem. 27-letni Akram pochwalił się, że jego zarobek za ostatnie dwa miesiące wyniósł 70 tys. euro. „Jest duże zapotrzebowanie, chłopaki przyjeżdżają z całego Maroka, więc ceny idą w górę – opowiada Akram. – Teraz trzeba płacić 2 tys. euro za potajemną wycieczkę na Wyspy Kanaryjskie, o 500 euro więcej niż latem i dwa razy więcej niż rok temu. Pierwszą rzeczą jest znalezienie kapitana łodzi. Płacimy dobrze, 5 tys. euro za podróż. Kapitan jest zawsze Marokańczykiem z podwójnym obywatelstwem hiszpańskim, po przybyciu na miejsce kamufluje się między imigrantami i po kilku dniach wraca samolotem". Zdaniem informatora dziennikarzy oprócz benzyny i łodzi trzeba jeszcze opłacić pośrednika i naganiacza imigrantów, który bierze 200 euro od głowy, oraz tzw. patrona, czyli wysokiego rangą policjanta, który dba o to, by nadzór morski tej nocy wyglądał nieco inaczej. „Ten bierze 10 tys. euro za łódź, prawie tyle samo co ja" – wyjaśnia Akram.

eprasa.pl c9af7342c1

Wśród imigrantów, którzy przybywają na Wyspy Kanaryjskie, są młodzi mężczyźni z tatuażami sił specjalnych elitarnej armii marokańskiej. Czy to nie przypomina dobrze zorganizowanej inwazji na Hiszpanię? W kwietniu ubiegłego roku, podczas lockdownu Europy, Dziennik Urzędowy Maroka opublikował dwie ustawy, za pomocą których kraj jednostronnie i nielegalnie rozszerzył swoją granicę morską na wody, o które wnioskowała Hiszpania na forum ONZ i które do czasu rozstrzygnięcia nie należą ani do Hiszpanii, ani do Maroka. Właściwie był to bezprecedensowy akt ekspansji, o którym głośno było tylko po „prawej stronie" Hiszpanii.

Tylko część społeczeństwa domyśla się, kto tak naprawdę „pociąga za sznurki" w tej sprawie. Premier Sánchez nigdy nie komentuje faktu, że pierwszym podjętym przez niego gościem w pałacu Moncloa na zamkniętym spotkaniu był… George Soros. Według konserwatywnej partii VOX to jego instrukcje realizuje w swojej polityce premier. 26 września 2015 r. George Soros w tekście zatytułowanym „Odbudowa systemu azylowego" stwierdził: „Unia Europejska musi przyjmować co najmniej milion osób rocznie ubiegających się o azyl". Z czasem rozszerzył tę konieczność także o imigrantów ekonomicznych. Ale tak naprawdę nielegalna imigracja jest napędzana od ponad dekady przez lewicę, bo to prawdziwa żyła złota.

Mój dobry znajomy, policjant Rafael Mínguez, przepracował ponad 30 lat w różnych newralgicznych miejscach Madrytu, także w Sztabie Głównym. W Hiszpanii nie wolno mu mówić o tym, czego był świadkiem, przynajmniej do czasu emerytury. – Miałem kiedyś okazję słyszeć przypadkiem dwóch polityków, jak planują swój biznes w oparciu o 5 tys. euro za „młodzika", zupełnie jakby rozmawiali o jakimś towarze. To było chyba osiem lat temu. Niedługo później zrozumiałem, co wtedy planowali. Lewica zawsze ustanawia prawa, na których może grubo zarobić – opowiada. Biznes oparty na przyjmowaniu młodocianych MENAS (hiszpański akronim od pełnej nazwy „nieletni cudzoziemcy bez opieki") jest jednym z najbardziej intratnych, dlatego nikt nie pyta, dlaczego przybywające małolaty nie są w ogóle odsyłane do swoich krajów i domów. Mowa oczywiście o chłopcach i dziewczętach poniżej 18. roku życia, migrantach, którzy są oddzieleni od swoich rodziców i którzy nie są pod opieką żadnej innej osoby dorosłej.

ZAROBEK NA MŁODOCIANYCH

Dla przykładu na jesieni roku 2018 rząd Sáncheza przeznaczył budżet w wysokości ponad 40 mln euro na opiekę tylko dla MENAS. Pieniądze przekazywane są rządom wspólnot autonomicznych, które mają uprawnienia do ochrony nieletnich w specjalnych ośrodkach opiekuńczych. Te „ochronki", z pewnymi wyjątkami, są zazwyczaj własnością publiczną, ale zarządzane są prywatnie na podstawie dość nieprecyzyjnych przetargów ze strony administracji. W czyich rękach leży administracja Hiszpanii, nie trzeba przypominać.

Jak to działa? – Kiedy MENAS pojawiają się w Madrycie, zostają skierowani do Ośrodka Pierwszego Schronienia. W Madrycie istnieją dwa: jeden dla nastolatków do 14. roku życia i drugi od 14. do 18. roku życia. Tutaj spędzą pewien czas, zanim zostaną odesłani do celowego ośrodka – niejako adopcyjnego, prowadzonego przez ludzi lewicy – opowiada mój informator Rafael. Dodaje, że część małoletnich stara się zintegrować, chodzi do szkoły, ale ponad 20 proc. tej młodzieży to młodociani przestępcy. Zauważa, że mieszkanie w sąsiedztwie takich placówek nie jest łatwe dla ludzi. W takich rejonach wzrasta przestępczość. – Władze ośrodków starają się obłaskawiać MENAS kieszonkowym, aby nie przychodziły im do głowy rozboje – mówi Rafael. – Niemal wszyscy oni przybywają bez dokumentów i twierdzą bezczelnie, że nie znają daty urodzenia. Aby ich zarejestrować i przypisać do odpowiedniej grupy wiekowej, potrzebujemy więc lekarza medycyny sądowej, który odgaduje wiek na podstawie prześwietlenia nadgarstka, i to on wystawia świadectwo. Oczywiście 19-latkowie chcą uchodzić za 15-latków, bo są świadomi, że dzięki temu popełniając przestępstwa, unikną odpowiedzialności przed prawem. Ile razy te aniołki próbowały odebrać mi broń… Ale nie zobaczysz żadnych wiarygodnych danych o przestępczości wśród imigrantów, bo przecież to mogłoby wzniecić ksenofobię w społeczeństwie, które musi być otwarte – dodaje.

Z ośrodków pierwszego schronienia MENAS kierowani są do prywatnych ośrodków, zbiegiem okoliczności najczęściej prowadzonych przez ludzi lewicy, radnych, członków partii. Niektóre gazety podają przykład madryckiego ośrodka dla 26 małoletnich, który otrzymał budżet roczny 1,7 mln euro. Rocznie zatem na opiekę nad jednym małoletnim jest 65 tys. euro.

Pieniądze na opiekę nad jednym małoletnim zmieniają się w zależności od regionu Hiszpanii. Sumy zależą też od sytuacji nieletniego – czy potrzebuje on specjalnego traktowania. Średnio miesięczny koszt nieletniego w ośrodku opiekuńczym waha się od 4 do 9 tys. euro.

OD „DZIECI" DO RODZIN

Im więcej przedostaje się imigrantów, tym więcej przybywa ich też potem w ramach programu łączenia rodzin. Hojna hiszpańska administracja państwa zapewnia rodzinom imigrantów mnóstwo przeróżnych zasiłków. – Nawet nielegalni otrzymają tu bezpłatną opiekę zdrowotną, nauczanie, dofinansowanie do wyżywienia i wynajmu mieszkania – tłumaczy mi znajoma Hiszpanka. – Najsprytniejsi mogą wyciągnąć od różnych jednostek administracji nawet 6 tys. euro miesięcznie (25 tys. zł). Wiem to, bo moja siostra pracuje w urzędzie miasta w Murcji i zajmuje się naliczaniem zasiłków z pomocy społecznej.

Pytam moich rozmówców, jak to możliwe, że państwo dobrowolnie pozwala łupić się najeźdźcom kosztem obywateli, zwłaszcza w roku gigantycznej recesji i kryzysu ekonomicznego.

To proste – odpowiadają. – Sieć powiązań na lewicy, nieprzejrzysty model funkcjonowania sektora „kontroli" imigracji, mafie, ośrodki dla imigrantów zasilane strumieniem pieniędzy i w końcu to, co najważniejsze: przyszły elektorat lewicy. „Kto wam dał zasiłki?" – zapyta na wiecu socjalista. I zagrzmi: „Przecież nie ksenofobiczna prawica! To my jesteśmy waszymi dobroczyńcami". I tu akurat ma rację. Ci nielegalni wcześniej czy później znajdą pracę, wtedy też otrzymają prawo głosu i oczywiście zagłosują na lewicę. W ten właśnie sposób lewica kupuje sobie wyborców.

– Ale przecież to powolne samobójstwo Hiszpanii, Europy – dodaję.

– A kto ci powiedział, że jeszcze żyje? Nawet liberał Arturo Pérez-Reverte napisał ostatnio, że Europa jest już tylko własną karykaturą skazaną na śmierć – odpowiadają moi rozmówcy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9af7342c1

Teresa Stylińska

Idea przywrócenia nauki łaciny w liceach od obecnego roku szkolnego nie może nie cieszyć

Zanurzyć się w łacinie

Expecto Patronum, Expelliarmus, Protego Totalum, Obliviate – łacińskie zaklęcia z „Harry'ego Pottera" ma w pamięci każdy miłośnik dzieła J.K. Rowling. Można by sądzić, że łacina w świecie czarodziejów to jakaś szczególna fanaberia autorki, podyktowana chęcią przydania mu tajemniczości. Pewnie tak, ale jest też inne wyjaśnienie. J.K. Rowling studiowała języki klasyczne i uważa, że znajomość łaciny jest jednym z kluczy do sukcesu, który odniosła.

Nie ona jedna. Inną dobrze znaną osobą chętnie przywoływaną w tym kontekście jest Ted Turner, twórca CNN, który uparł się przy studiowaniu łaciny mimo sprzeciwu ojca, który uważał plany syna za niedorzeczne. A także – co wielu może wprawić w zdumienie – Bill Gates i Mark Zuckerberg. Starożytny język i nowoczesna platforma wcale, jak widać, się ze sobą nie kłócą. Czy to dziwne? Oczywiście, że nie. Pożytki z poznawania łaciny są liczne, ale najważniejsze jest jedno: łacina uczy precyzji myślenia, rozwija umysł, daje ogładę intelektualną. To, co może dziać się później, jest tylko tego konsekwencją.

Harry Mount, brytyjski klasycysta i pisarz, zauważył, że uczniowie, którzy są dobrzy z łaciny, bez trudu radzą sobie również z matematyką. Ten interesujący aspekt nie jest zresztą jedynym łącznikiem między tymi przedmiotami: oba zawsze były postrachem uczniów. Teraz, po licznych zmianach, jakie przeszły systemy edukacji jak świat długi i szeroki, można to powiedzieć już tylko o matematyce. Łacina jest nauczana w zbyt skromnym zakresie, by mogła kogokolwiek straszyć.

W MIZERNYM WYMIARZE

Entuzjaści łaciny – do których się zaliczam – chętnie sięgają po tak znakomite przykłady, by pokazać, że we współczesnym świecie łacina nie tylko ma swoje miejsce, lecz także jest ze wszech miar pożądana. Wcale nie – a przynajmniej nie tylko – dlatego, że ułatwia naukę języków, zwłaszcza romańskich, opanowanie terminologii biologicznej i medycznej czy poznanie prawa rzymskiego, jak głosi rozpowszechniona opinia. To nie przypadek, że absolwenci filologii klasycznej często znajdują zatrudnienie w dziedzinach bardzo odległych od przedmiotu swych studiów. Dzieje się tak, ponieważ potrafią patrzeć na sprawy elastycznie i z różnych punktów widzenia.

Idea przywrócenia nauki łaciny w liceach od obecnego roku szkolnego nie może nie cieszyć, nawet jeśli wymiar podstawowy jest, powiedzmy otwarcie, więcej niż mizerny: jedna godzina tygodniowo i tylko w pierwszej klasie liceum. Jeżeli lekcje są prowadzone również w wyższych klasach, to jest to już wymiar rozszerzony. W dodatku łacina jest tylko jednym z czterech przedmiotów do wyboru. Pozostałe to filozofia, muzyka i plastyka. Decyzja, który wybrać, należy do szkoły.

Według Polskiego Towarzystwa Filologicznego (stowarzyszenia skupiającego filologów klasycznych), które zbiera dane na ten temat, łacinę ma w programie zaledwie 10 proc. polskich szkół, a nauczanie jej odbywa się „mimo niesprzyjających warunków od lat narzucanych przez władze oświatowe". Przełożone na język konkretów wygląda to niewesoło. „W zdecydowanej większości szkół – czytamy na stronie internetowej PTF – nauczanie łaciny odbywa się w znikomym wymiarze godzin, często jedynie w formie koła zainteresowań. Zaledwie 25 szkół proponuje przedmiot »Język łaciński i kultura antyczna« w zakresie roz-

eprasa.pl c9af7342c1

FOT. ADOBE STOCK

szerzonym. [...] Całe regiony Polski uległy już całkowitej delatynizacji. Zwłaszcza w północnej i zachodniej części kraju możemy jechać kilkadziesiąt, kilkaset nawet kilometrów, i nie napotkać ani jednej szkoły z językiem łacińskim. Nauka tego języka jest możliwa – z nielicznymi, chlubnymi wyjątkami – jedynie w większych miastach".

Grażyna Kania mieści się w tej kategorii, bo od lat uczy łaciny w warszawskim liceum im. Mikołaja Kopernika. – Ale ile uczeń może się nauczyć w ciągu roku? To jest czas zaledwie na wstępne zaznajomienie się z językiem – przyznaje w rozmowie z „Do Rzeczy".

JASNY DLA WŁÓCZĘGÓW I PSÓW

Jak nauczać łaciny? Na całym świecie preferowana jest forma tradycyjna, praktykowana od stuleci – czyli opanowanie zasad gramatyki, poznawanie słówek, tłumaczenie tekstów. Od pewnego czasu pojawia się też zupełnie inna, nowoczesna forma, i to ona zyskuje w świecie coraz większe uznanie. Jest skuteczna, a zarazem, jak twierdzą adepci, bardzo przyjemna. Sprowadza się ona, najprościej mówiąc, do tego, że uczeń poznaje łacinę tak jak języki nowożytne – zarazem pisane i mówione.

Z każdym współczesnym językiem, nawet rzadkim czy egzotycznym, człowiek ma szansę gdzieś się zetknąć. Z łaciną nie – chyba że trafi na zapaleńców praktykujących tzw. łacinę żywą. Okazuje się, że taka metoda, stosunkowo nowa, ale już stosowana w niektórych ośrodkach i szkołach, daje nadspodziewanie dobre rezultaty. Może dlatego, że w tym nowym wydaniu łacina przestaje być czymś z pogranicza wiedzy tajemnej, staje się rzeczą zwyczajną.

Takie podejście może wydawać się dziwne. Jednak czy rzeczywiście jest? W żadnym wypadku – uważa Reginald Foster, amerykański karmelita, który jest jednym z najbardziej znanych – jeśli nie najsłynniejszym – łacinników na świecie (obok Benedykta XVI, również entuzjasty łaciny). Od paru lat jest na emeryturze, ale przedtem prawie przez 40 lat pracował w Watykanie, tłumacząc teksty encyklik i innych dokumentów papieskich. Przecież w Rzymie, zauważa Foster, każdy, od senatora do plebsu, posługiwał się łaciną i nie było w tym niczego nadzwyczajnego. Łacinę rozumieli włóczędzy i prostytutki, a nawet psy. A zatem po łacinie da się po prostu mówić.

OJCZYSTY JĘZYK CYWILIZACJI

Reginald Foster jest pewnie wzorem dla uczestników Vivarium Novum, najprawdziwszej łacińskiej akademii, która powstała nie tak daleko od źródła, czyli od Rzymu. To miejsce bardzo specyficzne, zorganizowane zgodnie z dawnymi tradycjami i zarazem bardzo nowocześnie. Tradycyjnie – bo jest to połączenie czysto męskiej, całorocznej szkoły z internatem oraz wakacyjnego obozu, na którym uczestnicy wszystko robią sami. A nowocześnie – bo tu łaciny się nie naucza. Po łacinie się mówi.

Vivarium Novum to świat łaciński. Jego mieszkańcom – z których każdy przybiera łacińskie imię – wolno porozumiewać się wyłącznie po łacinie, i to nie tylko na zajęciach, które oczywiście obejmują też historię i kulturę antyczną. Również w jadalni, w kuchni, podczas zajęć sportowych i rozrywkowych oraz we wszelkich innych okolicznościach. Po łacinie są napisy, instrukcje, drogowskazy i znaki drogowe. Posługiwanie się jakimkolwiek językiem współczesnym jest nie tylko zabronione, lecz także karane usunięciem ze szkoły.

eprasa.pl c9af7342c1

Skorzystanie z takiej pomocy językowej mogłoby być kuszące, bo w Vivarium towarzystwo jest z całego świata. Nie słychać jednak, by ktoś pokusie ulegał.

Powstanie Vivarium uznano za oryginalny, nieco dziwaczny, a może nawet ciut podejrzany eksperyment. To sprawiło, że nie zwlekając, zjawili się tu przedstawiciele mediów, żądni poznania szczegółów i sensu całego przedsięwzięcia. A twórca Vivarium, Luigi Miraglia, w rozmowie z „Politico" wyjaśnił: „Języki, którymi niegdyś posługiwali się ludzie, to nie są archeologiczne relikty. Łacina to język ojczysty naszej cywilizacji. Kryzys współczesnego języka to kryzys naszego świata. Jeżeli zlekceważymy przeszłość, to jak zrozumiemy to, co jest, i to, co będzie?".

Świat Vivarium nie jest dla każdego. Jest dobry dla zapaleńców – młodych ludzi, którym łacina, a może i inne języki starożytne, jest bliska. Tylko tacy tu przyjeżdżają. Niektórzy wrócą tu w przyszłości jako nauczyciele. Inni dołączą do grup łaciny żywej, które istnieją w wielu krajach, również w Polsce.

URSUS TADDEUS

Ikonicznym przykładem łaciny, która dotrzymuje kroku współczesności, były do niedawna fińskie Nuntii Latini („Wiadomości Łacińskie"). To absolutny fenomen, bo króciutki, nadawany co piątek, zaledwie pięciominutowy przegląd wydarzeń bieżących dorobił się statusu sztandarowej audycji fińskiego radia publicznego YLE Radio 1 i nawet znalazł paru naśladowców w świecie. Jest to jednak, niestety, rozdział zamknięty. W połowie 2019 r. łaciński serwis informacyjny, opłakiwany na całym świecie, po 30 latach zakończył żywot. Kierownictwo radia uznało, iż formuła programu się wyczerpała.

Łacińskie predylekcje Finów są tyleż żywe, co zaskakujące. Gdzie Rzym, gdzie Finlandia? Nawet z najdalszych rubieży imperium do Finlandii jest tak daleko, że nie zapuszczali się tu ani rzymscy wojownicy, ani nawet najbardziej żądni przygód wędrowcy. A co zrobili Finowie, gdy w Unii Europejskiej przyszło im sprawować prezydencję? Pozwolili sobie na ekstrawagancję, jaką bez wątpienia stanowił „Conspectus rerum Latinus" – biuletyn informacyjny po łacinie. Czy miał to być sposób na skrócenie dystansu dzielącego Finów od serca Europy, czy wyraz szacunku dla tego, co prastare, wspólne i niezachwiane?

Unowocześnianie szkolnictwa wszędzie odbywa się kosztem języków klasycznych. Wszędzie też miłośnicy kultury antycznej protestują, sięgając po takie same argumenty: Czy uczeń może się rozwijać intelektualnie, jeżeli nie pozna źródeł swego świata?

Na tle tak szczerego zaangażowania ozdobienie wejścia do potężnego gmaszyska Rady Europejskiej w Brukseli ogromnym wyrazem „Consilium" zdaje się dekoracją może i słuszną, lecz pustą – bo nic za nią nie stoi.

Wszystko to rodzi też pytanie o współczesne słownictwo łacińskie. Ci, którzy praktykują łacinę żywą, twierdzą, że wystarczy wykorzystać bogactwo językowe łaciny i umiejętnie powiązać je z tym, co niesie współczesność, a tworzenie nowych wyrazów okaże się bajecznie proste. Czasami w ogóle nie trzeba niczego wymyślać. Oto łacińskie słowo „rete": sieć – czyli Internet, w takiej właśnie lub w nieco rozbudowanej formie „interrete". Albo „pipationes": ćwierkanie, czyli tweety. Albo Novum Eboracum – Nowy Jork, od łacińskiej nazwy miasta York, stolicy rzymskiej prowincji Brytania. Czy wreszcie „Ursus Taddeus", czyli „Teddy Bear" – po prostu pluszowy miś. Tak tytuł piosenki Elvisa Presleya przełożył Jukka Ammondt, jeden z twórców Nuntii Latini, który stworzył łacińskie wersje kilku jego przebojów.

NIE WSZYSTKO STRACONE?

Obowiązkowe unowocześnianie szkolnictwa wszędzie odbywa się kosztem języków klasycznych. Wszędzie też miłośnicy kultury antycznej protestują, sięgając po takie same, dużego kalibru argumenty: Czy uczeń może się rozwijać intelektualnie, jeżeli nie pozna źródeł swego świata? Ale wszędzie też dają o sobie znać tendencje, które pozwalają sądzić, że może nie wszystko zostało stracone. Rośnie na przykład zainteresowanie łaciną wśród młodych Amerykanów. Według poświęconego edukacji portalu internetowego The74million.org (74 mln – to liczba dzieci do lat 18 w USA) w amerykańskich szkołach średnich łaciny uczy się obecnie ok. 210 tys. uczniów. To o wiele mniej niż w 1962 r., gdy było ich 700 tys., ale pewien wzrost w stosunku do roku 1976, gdy spadek osiągnął dno – zaledwie 150 tys.

Łaciny nie wyrugowano ze szkół średnich w Niemczech czy Wielkiej Brytanii, nie mówiąc o Włoszech, z którymi na tym polu nikt w Europie nie może się mierzyć. Liceo classico to szkoła, w której uczniowie przez pięć lat uczą się nie tylko łaciny, lecz także greki – i jest to niezmiennie najbardziej prestiżowe włoskie liceum. Premierzy Giuseppe Conte i Silvio Berlusconi, politycy Matteo Salvini, Federica Mogherini i Romano Prodi, reżyser Nanni Moretti i dyrygent Riccardo Muti – wszyscy oni ukończyli licea klasyczne. Plus wielu innych znanych Włochów.

Równie wymowne są liczby. Z danych włoskiego urzędu statystycznego za rok szkolny 2019/2020 wynika, że w liceach klasycznych, których jest ok. 700 na ponad 8 tys. szkół średnich, pobierało nauki 6,7 proc. włoskich licealistów. Tylu zyskuje znajomość języków starożytnych i solidną porcję wiedzy o antyku, ale nie są przecież jedyni, bo łacina, choć w mniejszym zakresie, jest we Włoszech nauczana także w liceach o profilu naukowym i językowym. Jeszcze niedawno oceniano, że ma z nią styczność, na różnym poziomie, aż 70 proc. uczniów.

Wiele amerykańskich szkół entuzjastycznie przyjęło metodę łaciny żywej i klasycyści wiążą z nią duże nadzieje. Włoskie licea są raczej wierne tradycji. Grażyna Kania zaś przyznaje, że choć zainteresowanie łaciną żywą jest spore, to rodzi jednak pytania. Zresztą czy da się ją praktykować, gdy wymiar nauczania jest taki, jaki jest? I może zresztą nie o to tutaj chodzi.

– Przede wszystkim – mówi – trzeba zadać sobie pytanie, w jakim celu się łaciny uczymy. W wypadku języków nowożytnych celem jest komunikacja z innym człowiekiem. Z łaciną jest inaczej. Naszym celem jest poznanie. Mamy poznać teksty antyczne, mamy je interpretować – po to, by nie stracić ciągłości kulturowej. Językiem międzynarodowym łacina już się nie stanie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9af7342c1

Perspektywy w budownictwie mieszkaniowym na 2021

Branża deweloperska również odczuła to, co działo się w ciągu ostatniego roku. Pandemia jednak nie była dla niej tak dotkliwa jak dla wielu innych sektorów. W liczbie mieszkań oddanych do użytkowania w 2020 r. niewiele się zmieniło. Według danych GUS za 11 miesięcy minionego roku, do sprzedaży lub

Piotr Hofman

wynajmu oddano niemal 130 tys. mieszkań. To 10 tys. więcej niż rok wcześniej. Ostatnie lata to stały wzrost liczby lokali oddawanych przez deweloperów. Udział tego rodzaju budownictwa w całej liczbie mieszkań wynosi już 65 proc., podczas gdy jeszcze w 2010 r. było to mniej niż 50 proc. Branża jest rozwojowa, z potencjałem do stabilnego wzrostu. Potrzeby są jednak nadal bardzo duże. W Polsce, według szacunków, brakuje nawet 2 mln mieszkań. Własne mieszkanie to nie tylko dach nad głową, lecz także poczucie bezpieczeństwa otwierające perspektywę np. do powiększenia rodziny. To także dobra lokata kapitału i zabezpieczenie pieniędzy przed negatywnymi skutkami inflacji. Zatem im więcej mieszkań, tym lepiej dla stabilności i pozycji finansowej naszego społeczeństwa, a także dla demografii. Warto jednakże zauważyć, że oddane w zeszłym roku mieszkania to inwestycje rozpoczęte wcześniej. Każdy wie, że budynek czy osiedle nie powstaje w tydzień. To proces, który od startu do finału trwa kilka lat. Ile zatem pozwoleń na budowę wydano w minionym roku w porównaniu z 2019 r.? Okazuje się, że do listopada było ich 146 tys., a to oznacza spadek o 8 tys. w skali roku. Sytuacja wyglądała jeszcze gorzej w początkowej fazie pandemii. W marcu pozwoleń było o 35 proc. mniej w porównaniu z tym samym miesiącem 2019 r. Potem nastąpiło odbicie, niemniej ten regres odcisnął swoje piętno na całych 12 miesiącach. Patrząc na 2021 r., należy zauważyć, że niskie stopy procentowe i wciąż niezła sytuacja na rynku pracy powodują, iż popyt na kredyt hipoteczny trzyma się mocno. To zaś ma swój wpływ na ceny mieszkań. W III kwartale zwiększyły się o niemal 11 proc. w ujęciu rocznym, co oznacza trwający wysoki popyt. Przed branżą jednak dużo pracy do wykonania. Pierwszy filar, mający wpływ na sektor budownictwa, który należy poprawić, to obszar prawny. Wciąż bardzo mała część kraju objęta jest planami zagospodarowania przestrzennego – niewiele ponad 30 proc. Inwestorzy pozbawieni są już na starcie pewności inwestycyjnej. Sytuacja z koronakryzysem jeszcze bardziej uwypukliła te problemy. Rozpatrywanie wniosków dotyczących możliwości realizacji inwestycji trwa już nie miesiącami, ale wręcz latami, co przekłada się na zwiększone koszty inwestycji i ma swoje odzwierciedlenie w cenie mieszkań. Szybkość wydawania decyzji o pozwoleniu na budowę pozycjonuje nas w światowych rankingach w drugiej setce, co doskonale obrazuje, jak długi i skomplikowany to u nas proces. Jak najszybciej wymaga on głębokiej reformy. Drugi obszar wymagający pracy to finanse. Potrzebujemy narzędzi, dzięki którym zwiększy się liczba inwestycji mieszkaniowych pod wynajem. O takie narzędzia powinny zadbać największe polskie instytucje finansowe – np. BGK, PKO czy PZU. Wdrożenie i realizacja skutecznego programu, który będzie odpowiadał za finansowanie przystępnego i efektywnego, instytucjonalnego budownictwa pod wynajem, są wręcz koniecznością. Trzeci filar to obszar technologiczny. Budownictwo mieszkaniowe musi stać się jednym z najbardziej nowoczesnych i innowacyjnych sektorów polskiej gospodarki, zarówno pod względem technologii wytwarzania, jak i modelu zarządzania całym procesem budowy. Tą szansą jest bez wątpienia prefabrykacja. Korzyści to skrócony czas realizacji inwestycji i mniejsze zapotrzebowanie na pracowników, czyli niższe koszty, a także wyższe parametry jakościowe. W trudnych dla branży budowlanej czasach, gdzie coraz powszechniejszym problemem staje się brak rąk do pracy, gdzie w zastraszającym tempie rosną koszty robocizny i materiałów budowlanych, gdzie coraz trudniej o atrakcyjne grunty i gdzie powszechny jest brak miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego, technologia prefabrykacji jawi się jako realny sposób na zmianę w branży budowlanej i wprowadzenie jej na drogę czwartej rewolucji przemysłowej. Na rynek mieszkaniowy wszyscy musimy patrzeć jak na jeden ze strategicznych obszarów gospodarczych państwa, takich jak komunikacja czy energetyka. Ustawodawca wspólnie z uczestnikami rynku powinien współpracować nad trzema wspomnianymi filarami – prawnym, technologicznym i finansowym. Nowe otwarcie gospodarki wydaje się być doskonałą okazją do przeprowadzenia koniecznych zmian również w sektorze mieszkaniowym.

eprasa.pl c9af7342c1

Łukasz Warzecha

W sądach jest w tej chwili ok. 24,5 tys. spraw dotyczących umów o kredyty frankowe lub – jak mówią niektórzy – produkty kredytopodobne. W prawie 90 proc. spraw rozstrzygnięcia są korzystne dla klientów. Bankowcy zaczynają się pocić ze strachu

FOT. ADOBESTOCK

Strach bankowca

Wiele lat temu, jeszcze przed wyborczym zwycięstwem PiS, brałem udział w debacie na temat stanowiska banków w sprawie kredytów frankowych. Banki reprezentował tam niezniszczalny prezes Związku Banków Polskich Krzysztof Pietraszkiewicz i, jak łatwo było przewidzieć, wygłosił wzruszającą i podniosłą tyradę o tym, dlaczego banki nie tylko nie mogą, lecz także nie powinny robić absolutnie nic dla klientów wmanewrowanych mniej więcej w połowie pierwszej dekady XXI w. w kredyty frankowe. Ciekaw jestem, czy dzisiaj pan Pietraszkiewicz tamtych słów przynajmniej po cichu żałuje, bo sytuacja banków jest znacząco gorsza. Być może niektórzy ich przedstawiciele plują sobie w brodę, że nie parli do wypracowania systemowego rozwiązania pod egidą państwa, gdy można to było zrobić bez wiszącej nad instytucjami finansowymi jak miecz Damoklesa groźby tysięcy przegranych procesów. Dosłownie tysięcy, bo w sądach jest w tej chwili ok. 24,5 tys. spraw dotyczących umów o kredyty frankowe lub – jak mówią niektórzy – produkty kredytopodobne. W prawie 90 proc. spraw rozstrzygnięcia są korzystne dla klientów banków, a lawina pozwów wydaje się nie kończyć. Bankowcy za to zaczynają się pocić ze strachu. Jak do tego doszło?

BANK TO NIE KASYNO

Trzeba się cofnąć do czasu, gdy kredyty denominowane we frankach (nie zaś tak naprawdę frankowe, bo szwajcarskiej waluty nikt przecież na oczy nie widział) biły rekordy popularności, czyli o 15–17 lat. Nic dziwnego, nie tylko raty były niższe niż przy kredytach złotówkowych, lecz także wielu osobom wyliczano zdolność kredytową jedynie we frankach – w złotówkach jej nie mieli. Trwało intensywne naganianie do wzięcia właśnie kredytów walutowych, w czym brali udział pracownicy zarówno banków, jak i firm doradczych, teoretycznie profesjonalnych i obiektywnych.

Wszyscy przeciwnicy rozwiązania problemu przez państwo wywodzili zawsze, że działał tu wolny rynek, a nikt nikogo do brania takiego kredytu przecież nie zmuszał, lecz przypomnieć im trzeba, że banki są instytucjami zaufania publicznego. To sprawia, że powinny jasno, prosto i rzetelnie informować o cechach proponowanych przez siebie produktów – podobnie zresztą jak powinni to czynić wszyscy usługodawcy czy sprzedawcy. Tak się jednak nie działo. Kwestia ryzyka kursowego, przez wielu kredytobiorców zresztą niezbyt dobrze rozumiana, była albo pomijana w rozmowach z bankowymi doradcami, albo wspominana jedynie marginalnie. W ogóle zaś nie grała roli, jeśli okazywało się, że kredytu na własne mieszkanie nie da się wziąć w złotówkach ze względu na zbyt małą zdolność kredytową, ale we frankach – owszem.

Bank to nie kasyno i odpowiedzialność za to, aby się nim nie stał, bierze państwo, które za system bankowy odpowiada. A zatem i państwo ponosi przynajmniej częściową odpowiedzialność za to, jakie skutki miała polityka kredytowa banków kilkanaście lat temu. W tamtym czasie funkcję kontrolną pełniła Komisja Nadzoru Bankowego, w 2008 r. zastąpiona Komisją Nadzoru Finansowego. Dodatkowo działał też Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów. KNB już w 2006 r. zdawała sobie sprawę, że coś może pójść nie tak, bo wydała wówczas słynną rekomendację S, nakazującą bankom nie tylko informować klientów o ryzyku kursowym (jak to robiono, to już inna sprawa), lecz także wyliczać im zawsze zdolność kredytową jak dla kredytu złotówkowego. Jednak ta rekomendacja nie obowiązywała doradców z instytucji finansowych, za których pośrednictwem wiele osób wzięło właśnie kredyty denominowane we frankach. W tymże samym 2006 r. ówczesny szef UOKiK Cezary Banasiński w specjalnym oświadczeniu wspominał o konieczności ochrony klientów przed nadmiernym ryzykiem kursowym, ale zarazem wspominał, że nie ma powodów, aby frankową akcję kredytową ograniczać. Trudno jednak dowodzić, że instytucje państwa nie dostrzegały, iż coś złego

eprasa.pl c9af7342c1

się dzieje. Zarazem poprzestawały na upomnieniach.

KAMIEŃ SYZYFA

Najbardziej jednak smakowite jest to, jak zachowywali się obecnie rządzący. Pamiętać trzeba, że obietnica systemowego rozwiązania problemu kredytów we frankach była jednym ze sztandarowych punktów programu Andrzeja Dudy w 2015 r. – i została spektakularnie złamana. Poniekąd jednak kandydat na prezydenta obiecywał naprawić winy własnego obozu politycznego. Gdy bowiem wokół kredytów frankowych zaczęło się robić nieprzyjemnie, w okolicach 2007 r., PiS ruszył bronić ich dostępności, a jego posłowie wyrażali niepokój wydaniem przez KNB rekomendacji S i tym, że mogłaby ona zmniejszyć dostępność kredytów frankowych.

Kredytobiorcy po zwycięstwie Andrzeja Dudy blisko już sześć lat temu oczekiwali, że szybko zrealizuje swoje obietnice, ale tak się nie stało. Zamiast tego zaczęły się niekończące się uniki, a poszkodowani mogli mieć niejednokrotnie wrażenie, że prezydent bardziej liczy się ze zdaniem bankowców niż obywateli. Wkrótce też stało się jasne, że optyka frankowiczów i optyka prezydenta zasadniczo się różnią. Głowa państwa zaczęła mówić o pomocy jedynie w kategoriach wspomagania najbardziej poszkodowanych, czyli tych, których ze względu na wzrost kursu CHF nie byłoby stać na spłacanie rat. Problem w tym, że takich osób było stosunkowo niewiele, a zdecydowana większość – jak dość obłudnie wskazywali zresztą również przedstawiciele banków, dowodząc w ten sposób, że problem nie istnieje – wywiązywała się ze zobowiązań bez problemów.

Prezydent powinien był oczywiście świetnie rozumieć, że istota sprawy leżała gdzie indziej. Po pierwsze, umowy kredytowe były skonstruowane w sposób budzący ogromne wątpliwości prawne. Jak się potem okazało – słusznie. Po drugie, największym problemem nie była niezdolność do spłacania kredytów, ale to, że w wyniku wahania kursu kredytobiorcy musieliby ostatecznie spłacić kilkakrotnie więcej, niż realnie pożyczyli. W ten sposób będąc w połowie okresu spłaty, orientowali się, że wciąż mają do zapłacenia – w złotówkach – więcej, niż dostali od banku. Kredyty frankowe stały się czymś na kształt kamienia Syzyfa.

PiS zagrał z frankowiczami cynicznie. Kandydat na prezydenta mamił ich obietnicą przyjścia z pomocą – co ważne, nie w postaci jakichś zastrzyków finansowych, choć to akurat PiS wychodzi najlepiej – a gdy okazało się, że nie dało się tej części elektoratu tą obietnicą kupić, bazę wyborców PiS ma zaś stanowić inna grupa Polaków, kredytobiorców CHF pozostawiono samym sobie. I wówczas, w lutym 2017 r., Jarosław Kaczyński powiedział w radiowej Jedynce, pytany, czy kredytobiorcy powinni pójść do sądów: „Myślę, że powinni wziąć sprawy we własne ręce i zacząć walczyć w sądach. Nie dlatego, żeby nie ufać prezydentowi czy rządowi, tylko dlatego, że prezydent i rząd są w sytuacji, która jest zdeterminowana w wielkiej mierze uwarunkowaniami ekonomicznymi". Wątpliwe, czy lider PiS zdawał sobie sprawę z prawnych i ekonomicznych konsekwencji swojej deklaracji, która została słusznie odebrana jako całkowite umycie rąk partii rządzącej od problemu. Zapewne nie. A tymczasem ludzie posłuchali i już naprawdę masowo ruszyli do sądów. Z początku niepewnie i ostrożnie, z czasem coraz śmielej, a już całkowicie śmiało po tym, jak w październiku 2019 r. Trybunał Sprawiedliwości UE wydał wreszcie długo oczekiwany i spodziewany wyrok w sprawie frankowego kredytu polskiego klienta, który stał się wyznacznikiem linii orzeczniczej dla polskich sądów.

I tu pojawiły się sygnały paniki. Banki, dotychczas pewne swego i dysponujące ogromnymi pieniędzmi na prawników, przegrywały raz za razem. Zwłaszcza że interes na pozwach robią też kancelarie prawnicze, coraz bardziej wyspecjalizowane i efektywne. Potencjalne koszty przegranych spraw zaczęły być liczone na dziesiątki miliardów złotych.

I choć jest to problem dla stabilności systemu bankowego, to państwo nadal ignoruje tę sprawę. Nawet na poziomie naczelnej władzy sądowniczej. Od Sądu Najwyższego bowiem kredytobiorcy, ale też sędziowie, oczekiwali wydania uchwały, która ujednolicałaby orzecznictwo sądów w sprawach bardzo przecież do siebie podobnych. Są już wprawdzie wspomniany wyrok TSUE oraz coraz bardziej utrwalona linia orzecznicza, która w polskim prawie jest namiastką precedensu z prawa anglosaskiego, jednak uchwały SN mają tutaj przemożne znaczenie. Tymczasem I prezes SN Małgorzata Manowska także umyła ręce, tłumacząc się „ogromną złożonością materii". Kiedy i czy uchwała zapadnie – nie wiadomo.

Najnowszy rozdział historii dopisał szef KNF Jacek Jastrzębski, który na początku grudnia w czasie spotkania ze Związkiem Banków Polskich oznajmił: „Wydaje się, że nadszedł taki moment, by z tym tematem się ostatecznie zmierzyć i ostatecznie uporać". Jastrzębski zaapelował do banków o proponowanie klientom ugód, wskutek których ich kredyty byłyby traktowane jak od początku wzięte w złotówkach. To kolejna ironia losu we frankowej epopei, ponieważ to właśnie początkowo obiecywał w 2015 r. kandydat na prezydenta Andrzej Duda (aczkolwiek bardzo szybko po wyborze przestał o tym wariancie w ogóle wspominać), a następnie w poprzedniej kadencji Sejmu taki projekt stworzył Kukiz'15. Projekt został oczywiście zamrożony. Jego koszt dla banków szacowano na prawie 53 mld zł.

KOMPROMIS

Propozycja Jastrzębskiego nie bierze się wszak z altruizmu czy troski o kredytobiorców, ale z rachuby – wspieranej analizami NBP, który jednak również od sprawy się dystansuje – że choć taki wariant oznacza dla banków wielkie koszty, to będą one mniejsze niż pozostawienie spraw w rękach sądów.

Problemy są jednak dwa. Po pierwsze, Jastrzębski może mówić, ale zmusić banków do czegokolwiek już nie bardzo. A banki w dużej części mają swoich zagranicznych właścicieli, których spojrzenie na sytuację może być odmienne niż polskie. Po drugie, pytanie brzmi: Czy dziś klienci będą tak chętni do współpracy? Widząc, jak orzekają sądy, wielu z nich może propozycję ugody odrzucić. A ta musi być przecież kompromisowa. Bank straci, owszem, ale mniej niż w przypadku niekorzystnego dla siebie wyroku, więc nie może proponować klientowi rozwiązania równie hojnego co prawdopodobny skutek batalii sądowej. Jednak klient zyskiwałby klarowną perspektywę finansową i pozbywał się gigantycznego ciężaru wynikającego ze zmiany kursu bez konieczności angażowania się w sprawę sądową. Dla wielu może to być dobry argument.

W jednym Jastrzębski ma rację: czas na spuszczenie z tonu przez banki właśnie nadszedł, a trwanie w uporze może je kosztować ogromne pieniądze. Co nie zmienia postaci rzeczy, że państwo w tej sprawie nie zdało egzaminu. Po raz kolejny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9af7342c1

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kto chce kraju bez lockdownu?

Zastanawiam się, który naród jako pierwszy odsunie od władzy rząd prowadzący walkę z COVID-19 w taki sposób, w jaki dziś czyni to większość gabinetów – za pomocą twardych lockdownów, sprowadzających się do bezceremonialnego ograniczania praw podstawowych: prawa do wolności osobistej, w tym do przemieszczania się i zgromadzeń, a także prawa do wolności gospodarczej czy wreszcie prawa do swobodnego dostępu do usług medycznych w celu ratowania swego zdrowia i życia. W którym państwie jako pierwszym pojawi silna i szybko rosnąca w siłę opozycja, która jednym ze swych kluczowych zobowiązań wyborczych uczyni obietnicę prowadzenia przez siebie – po przejęciu władzy – walki z jakimikolwiek zagrożeniami zdrowotnymi – w tym epidemią koronawirusa, jedynie z użyciem takich środków, które tym podstawowym wolnościom nie zagrażają, precyzyjnie opisując, jak zamierza to robić. I wreszcie, w którym państwie jako pierwszym – i kiedy – ta opozycja weźmie górę nad zwolennikami obecnej drogi, jasno wskazując, że dłużej w dotychczasowy sposób traktować się nie pozwoli.

A może tak się w najbliższym czasie – najbliższych miesiącach, kwartałach ani nawet latach – nie stanie? Może mimo szczepienia milionów ludzi kolejnymi szczepionkami jeszcze długo stanowiący większość zwolennicy lockdownów, jawnych i ukrytych, głębszych i płytszych, pozwolą sobą rządzić politykom z dezynwolturą ograniczającym ich wolność czy wręcz – jak chcą niektórzy – po kawałku im ją odbierającym? Może jeszcze późną jesienią 2022 r. lub na początku 2023 r. ci sami (lub tacy sami) szefowie rządów Francji, Włoch, Hiszpanii, Niemiec, Polski, Czech itd., przy okazji ostrzegania przed nadejściem ósmej, dziewiątej czy dziesiątej fali COVID-19 oraz jego kolejnych mutacji (i obiecywania szczepionek przeciw nim), bez zmrużenia oka będą wydawali kolejne decyzje o posłaniu do zdalnej pracy-niepracy całych branż gospodarki i faktycznym unieruchomieniu placówek służby zdrowia? A także o zamknięciu szkół, urzędów, muzeów i teatrów oraz tych galerii handlowych, restauracji, kin, hoteli, centrów fitness itd., itp., które jeszcze jakimś cudem do tego czasu nie zbankrutują?

A będą tak czynili, bo właśnie tego będzie od nich oczekiwała – dyktując za ich pośrednictwem swą wolę wszystkim – większość wyborców nadal pozostających – w mniejszym lub większym stopniu – pod wpływem gigantycznej, polityczno-medialno-eksperckiej machiny propagandowej, która z różnych powodów – w tym, rzecz jasna, głównie z powodu swej niezachwianej wiary w skuteczność przyjętej, lockdownowej metody walki z COVID-19 – jest zainteresowana utrzymywaniem obecnego stanu psychozy.

A według państwa kto w 2022 r. będzie górą: lockdownowcy czy antylockdownowcy? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Nie umiem wytłumaczyć

Czym kieruje się rząd, utrzymując faktyczny lockdown i właściwie otwarcie zapowiadając jego trwanie przez kolejne miesiące? Nie umiem sobie tego wytłumaczyć. To znaczy umiem, ale jedynie w sposób bardzo już dla władzy niekorzystny.

Sytuacja w Polsce zdecydowanie się ustabilizowała. Wskazuje na to fakt, że liczba wykrywanych zakażeń, i tak zapewne wielokrotnie mniejsza od rzeczywistej, nie rośnie wyraźnie mimo wzrostu liczby testów. Co jednak ważniejsze, nie pnie się też liczba zgonów. Według rządowego schematu z listopada kraj powinien być w strefie żółtej, a miejscami nawet w zielonej (bo miała być regionalizacja). Wszystkie bez wyjątku organizacje pracodawców i przedsiębiorców apelują o odmrożenie gospodarki i tłumaczą, że konsekwencje trwania w obecnym stanie będą dramatyczne. To samo pisze rzecznik małych i średnich przedsiębiorców, w dodatku popierając swoje apele analizami własnej rady ekspertów ekonomicznych. Gołym okiem widać, że powstaje podziemie zamkniętych branż, a ludzie jednak jakoś na ferie powyjeżdżali – i nic strasznego się nie dzieje. Podobnie jak nic strasznego nie stało się po świętach.

> **Przedsiębiorcy mogliby zacząć zarabiać, rząd pokazałby się jako wiarygodny, nasze zadłużenie nie rosłoby w tak szalonym tempie jak teraz. Same korzyści**

Co rząd mógłby stracić, gdyby podążał zgodnie z własną mapą, czyli odmroził gospodarkę z zastrzeżeniem, że może być znów zamykana lokalnie lub centralnie w zależności od statystyk? Ja takich strat nie widzę. Rządzący mają do tego aż nadto podkładek w postaci wspomnianych apeli, analiz, propozycji. Z ludzi zeszłaby trochę para, przedsiębiorcy mogliby zacząć zarabiać, rząd pokazałby się jako wiarygodny, nasze zadłużenie nie rosłoby w tak szalonym tempie jak teraz, bo zamiast finansować kolejne tarcze, budżet miałby jednak jakieś przychody od dziś zamkniętych branż. Same korzyści.

Dlaczego to się zatem nie dzieje? Skąd ten ośli wręcz upór, niepoparty nigdy żadnymi konkretnymi danymi? Nie jestem w stanie wytłumaczyć tego w logice normalnej kalkulacji politycznej, wizerunkowej, finansowej. Pozostają jedynie kalkulacje znacznie mniej ciekawe, czyli zakładające, że realizowany jest jakiś cel, o którym publicznie się nie mówi. ©℗

eprasa.pl c9af7342c1

TEST „DO RZECZY": SAMSUNG GALAXY WATCH 3

Eleganckie wzornictwo, fantastyczny wyświetlacz, zaawansowane funkcje śledzenia aktywności i monitoringu snu, a także możliwość prowadzenia rozmów telefonicznych – to największe zalety najnowszego inteligentnego zegarka południowokoreańskiego producenta.

Galaxy Watch3 na pierwszy rzut oka wygląda jak klasyczny zegarek. Wykonana ze stali nierdzewnej koperta w połączeniu ze skórzanym paskiem tworzy wrażenie produktu klasy premium. Dzięki stosunkowo niewielkiej wadze (53,8 g) nowy model jest komfortowy w codziennym użytkowaniu. A uprawianiu różnych sportów sprzyja wodoszczelność 50 M, która pozwala używać zegarka podczas pływania (choć już nie podczas nurkowania).

Plusem jest fantastycznej jakości wyświetlacz Super AMOLED o średnicy 1,4 cala i rozdzielczości 360 x 360 pikseli. Inteligentny zegarek nie tylko wyświetla powiadomienia o przychodzących SMS-ach, wiadomościach z mediów społecznościowych czy o zaplanowanych spotkaniach, lecz także dzięki mikrofonowi i głośnikowi pozwala na prowadzenie rozmów telefonicznych (odebrać połączenie przychodzące można, przesuwając palcem po ekranie zegarka lub np. zaciskając pięść i ponownie otwierając dłoń). Przydatną funkcją jest także możliwość wykorzystywania przycisków zegarka jako spustu migawki podczas robienia zdjęć smartfonem.

W czasach pandemii koronawirusa może się przydać także czujnik saturacji – pozwala on szybko i łatwo kontrolować poziom tlenu we krwi. Galaxy Watch3 ma też dwie funkcje, które mogą być przydatne w przypadku osób starszych. Alert tętna monitoruje rytm serca i pozwala wykryć zbyt wysokie lub zbyt niskie tętno spoczynkowe. Testowany model zegarka potrafi również wykryć upadek i automatycznie wysłać wiadomości do czterech zapisanych wcześniej kontaktów alarmowych wraz z dokładną lokalizacją użytkownika.

Galaxy Watch3 bardzo dobrze radzi sobie także z monitorowaniem snu, wykrywając jego poszczególne fazy i doradzając, co zrobić, aby poprawić jakość nocnego wypoczynku. Inteligentny zegarek Samsunga świetnie radzi sobie również z automatycznym wykrywaniem aktywności fizycznych, a także z monitorowaniem czasu ich trwania, liczby spalonych kalorii, zapisem maksymalnego i średniego tętna oraz przebytego dystansu. Miłośnicy porannego joggingu docenią m.in. możliwość monitorowania maksymalnego pułapu tlenowego oraz funkcję analizy biegu w czasie rzeczywistym, która pozwala wyeliminować złe nawyki dotyczące postawy i uniknąć urazów.

Do nawigacji po systemie zegarka służy wygodny mechaniczny obrotowy pierścień. Na pochwałę zasługuje także sposób, w jaki Samsung rozwiązał kwestię ładowania zegarka. Wystarczy położyć Galaxy Watch3 na magnetycznej podstawce lub na innej ładowarce indukcyjnej. Minusem jest jednak stosunkowo długi czas potrzebny na naładowanie urządzenia.

Wady? Po pierwsze, niewielki akumulator o pojemności 340 mAh wystarcza tylko na mniej więcej trzy doby korzystania z zegarka na jednym ładowaniu. Po drugie, mimo wbudowanego modułu NFC wciąż nie można płacić testowanym zegarkiem, ponieważ w Polsce nie działa jeszcze usługa Samsung Pay (ale wkrótce ma się to zmienić). Największym minusem jest jednak cena testowanego zegarka. Za Samsung Galaxy Watch3 trzeba zapłacić 1799 zł. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

INTELIGENTNA PODUSZKA

Huawei Smart Latex Pillow to gadżet przeznaczony dla osób, które mają problemy ze snem. Inteligentna poduszka, wykonana z tajskiego lateksu dopasowującego się do głowy i szyi, potrafi analizować jakość snu. Ma też specjalną wentylację oraz zaszyte wewnątrz czujniki, które na bieżąco monitorują oddech, tętno etc. Wyniki analiz kolejnych faz snu można śledzić w specjalnej aplikacji, która podpowie, co robić, by np. zwiększyć długość snu głębokiego. Cena: 449 juanów, czyli równowartość 256 zł. ©℗

Jacek Przybylski

PILOT Z PANELEM SOLARNYM

Południowokoreański Samsung zapowiedział, jakie telewizory wprowadzi na rynek w roku 2021. W ofercie pojawią się tzw. neo QLED-y ze znacznie zwiększonym kontrastem oraz modele dla bardzo zamożnych z technologią Micro LED. Udoskonalony zostanie też model The Frame, który niczym obraz będzie miał wymienną ramę i w swej wersji 43-calowej będzie mógł wyświetlać dzieła sztuki (i nie tylko) zarówno w poziomie, jak i w pionie. Samsung zaprezentował też pilot z panelem solarnym, który będzie się ładował energią pochodzącą ze słońca lub oświetlenia wewnętrznego. W razie potrzeby Solar Cell Remote Control może być też doładowany przez USB.

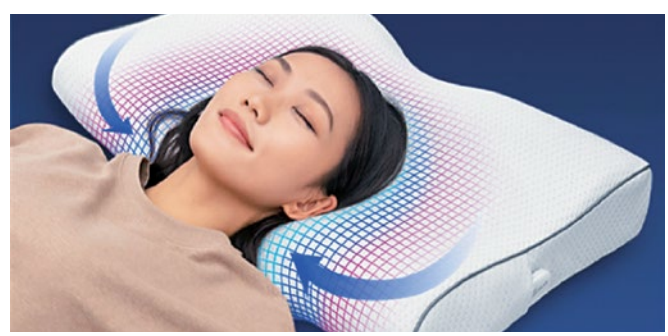

eprasa.pl c9af7342c1

Joanna Bojańczyk

W karnawale każdy chce błyszczeć. Każdy chce coś wynieść z tego krótkiego okresu wzmożenia. Nawiązują się znajomości, romanse, grożą zdrady i rozstania

Czas zabaw

Klientów próbujących last minute zdobyć sowietskoje szampanskoje w sylwestra witał widok wyjątkowo uroczystych ekspedientek. Pełne pogotowie karnawałowe: włosy prosto od fryzjera zroszone brokatem i utrwalone solidną ilością lakieru, makijaż wieczorowy, świeży manicure. Tylko zamienić nylonowy kitel na suknię i gotowe.

W mało zabawowym PRL sylwester był świętem powszechnej zabawy, otwarciem trwającego kilkadziesiąt dni sezonu imprezowego (słowo „impreza" dla prywatnej zabawy pojawiło się dopiero w latach 80.). Na jakiś czas zapominało się o brakach i niedogodnościach systemu. Ruszały bale, zabawy i przede wszystkim prywatki. Fruwały serpentyny, powiewały balony, sypało się konfetti. Studenci tańczyli w klubach, zakłady pracy w wynajętych lokalach, szkolnych salach, wszędzie, gdzie było trochę miejsca. Reszta w domu przy muzyce z domowych rozgłośni. Przeboje Radia Luksembourg urozmaicone piskami i trzaskami puszczano z radia, nie mniej trzeszczące winylowe płyty i pocztówki dźwiękowe grały na adapterze Bambino. W latach 60.–70. pojawiły się nowości technologiczne: magnetofon Grundig, głośniki Tonsil, odbiornik radiowy Radmor. Kto nie tańczył, ten oglądał w telewizji, jak bawili się inni. Niech żyje bal! – zostać w domu w tę noc oznaczało wykluczenie.

„Rok 1974 wrocławianie witali na 103 balach i zabawach oraz niezliczonych »prywatkach« domowych. Największy bal – dla 2 tys. osób – odbył się wówczas w Hali Ludowej" – pisze dr Piotr Sroka, wrocławski historyk z Ośrodka Pamięć i Przyszłość. Były konsumpcja, tańce i loterie. Można było wygrać prosiaka albo telewizor.

TAPIR, AFRO I ŚLEDZIE

Przed wojną na balach w Hotelu Europejskim, w Oazie, Resursie Obywatelskiej bawiła się socjeta: ziemiaństwo, arystokracja, plutokracja. Najhuczniejsze przyjęcia odbywały się w hotelach Bristol i Europejskim, w Kasynie Garnizonowym, salonach Ministerstwa Spraw Zagranicznych, salach Teatru Wielkiego i na Zamku Królewskim, w restauracjach Adria i Oaza. Stoły uginały się od wykwintnych potraw – mięs, galantyn, pasztetów, egzotycznych owoców, lodów i deserów.

„Na naszych rautach i balach bywają przedstawiciele rządu i nierządu" – żartowała Jadwiga Beckowa, żona ministra spraw zagranicznych. Do Adrii ciasta i torty marcepanowe przylatywały codziennie samolotem ze Lwowa! Panie w długich sukniach, perłach, etolach i futrach, panowie we frakach, lakierkach i cylindrach.

O tym wszystkim panna sklepowa czasu dwudziestolecia mogła najwyżej marzyć. Te marzenia o zabawie mogły spełnić się dopiero w Polsce Ludowej. W fabrykach organizacją imprez zajęły się rady zakładowe, restauracje udekorowane serpentynami zapraszały każdego, kogo stać było na wejście i konsumpcję. Lata wojennej nędzy wyostrzyły potrzebę elegancji i strojności. Kobiecość przywracał nowy styl ubierania kopiowany z New Looku Diora z roku 1948: kloszowe spódnice na halkach, podkreślona talia, góry z dekoltem łódkowym eksponującym linię ramion. Na głowie tapirowane koki podpięte szeroką klamrą. Awangardowe dziewczyny nosiły egzystencjalne czernie, bardziej zachowawcze – suknie we wzory kwiatowe, grochy. Na nogach pantofle na niewielkiej szpilce.

eprasa.pl c9af7342c1

Bal sylwestrowy (1966/1967) w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie FOT. NAC

W latach 60. moda upraszcza się. Dyktują ją moderniści z Paryża: Courreges i Cardin. W Londynie Mary Quant lansuje mini, które wkrótce ogarnia cały świat. Do geometrycznej sukienki w kontrastowych połączeniach kolorów nosi się krótkie bolerko. Na nogach czółenka na klockowym obcasie, na głowie tapir już mniejszy, z czasem ustępujący miejsca podtapirowanym prostym włosom do ramion i grzywce. Obowiązuje makijaż z silnie podkreślonymi oczami, jasnymi ustami i wymalowanymi na dolnej powiece rzęsami. Dla panów spodnie są wąskie, marynarki mają wąskie klapy. W wersji wieczorowej garnitur oczywiście musi być ciemny. Buty „bitelsówy", z ostrym czubkiem, kupuje się u prywatnego szewca. Krótką fascynację przeżywa koszula non iron. Do niej krawat „śledź". „Szalenie modne rzęsy sztuczne, przesunięcie talii pod biust. A także suknie odsłaniające plecy" – donosi miesięcznik „Ty i Ja" w roku 1965. Taki strój polecano jednak tylko na sylwestra.

Na przełomie lat 60. i 70. do mody codziennej i zabawowej wkracza styl hippie. Nawet w wersji wieczorowej spodnie zaczynają zwyciężać nad sukienkami. Modne są ubrania etniczne, wzory z Indii, cekiny, hafty. Do spodni dzwonów nosi się kolorowe tuniki, na szyi pobrzękują naszyjniki. Nosi się długie proste włosy, takie jak Małgorzata Braunek w filmie „Polowanie na muchy".

W latach 70. disco podbija świat, wdziera się na ulice i na prywatki. Piosenki Bee Gees słychać wszędzie. Dziewczyny, które nie zdecydowały się ostrzyc na fryzurę Farrah Fawcett-Majors z „Aniołków Charliego", zrobiły sobie afro. Niżej podpisana także padła ofiarą tej mody, której pierwowzorem była Angela Davis, rewolucjonistka, lewacka ikona, skądinąd doktor z Uniwersytetu Kalifornijskiego. Na imprezy najlepiej nadawały się stroje z „Gorączki sobotniej nocy", hitu lat 70.: połyskujące materiały z poliestru czy lycry, cekinowe sukienki, złoto, plisy, falbany. Wieczorowe stroje szyło się z gorsetowymi górami, z metalizowanych tkanin, aksamitu, weluru z dodatkiem cekinów i brokatu. Do takich kreacji pasował szeroki pasek z dużą klamrą oraz przykuwające wzrok dodatki.

NA POLOWANIU

Gdzie to wszystko kupić? W sklepach wyboru nie było, zgromadzenie pełnego ekwipunku karnawałowego wymagało zachodu. Ale sposoby były. Ktoś ma rodzinę na Zachodzie, każda rodzina ma znajomą krawcową. Ta umie uszyć coś z byle czego, z resztek, przerobić, dopasować, skrócić. Kombinuje się zbiorowym wysiłkiem. Pomagają przyjaciółki, krawcowe, mamy i babcie. Od czegóż farbiarnie i pasmanterie? Wybawieniem dla tych, którzy chcą się wyróżnić, są słynne bazary – warszawskie Ciuchy, krakowska „tandeta", wrocławski plac Nankiera. W latach 50. i 60. na Ciuchach w Warszawie było jak na Nowym Świecie – w kolejkach po używane ubrania z paczek spotykali się wszyscy. Chcieli wyróżnić się niekoniecznie po to, by sprzeciwić się władzy, chodziło raczej o życie towarzyskie, a jeśli bunt, to przeciw zastanym regułom społecznym.

Handel się mobilizował, ale i tak rezultaty były mierne. W grudniu 1971 r. reporterzy „Wieczoru Wrocławia" odwiedzili wrocławskie sklepy odzieżowe, by zorientować się w karnawałowej ofercie dla pań. A ta nie była zbyt bogata: „Stoisko odzieżowe na II piętrze PDT. Strojne suknie modele »Ledy« wiszą na kilkudziesięciu wieszakach. Wybór prawie żaden. Kilka fasonów zaledwie, kolorystyka tkanin jednostajna. No i ceny. Najtańsze sukienki (po około 700 zł, jedna trzecia średniej pensji) w ogóle nie nadają się do włożenia. [...]".

Na kupno sukienki w Modzie Polskiej – 2,5 tys. (średnia pensja 3 tys.) – stać było niewiele kobiet. Na szczęście każdego roku modnym dziewczynom w akcji poszukiwania stroju na sylwestra dzielnie towarzyszyła Barbara Hoff. W Hofflandzie w warszawskim Juniorze w okresie przedsylwestrowym najbardziej poszukiwane były aksamitne spodnie, sukienki, bluzki i sukienki z szyfonu, atłasowe spodnie. Co rok można było liczyć na to, że w Hofflandzie znajdzie się fajną, modną i niedrogą rzecz nadającą się niekoniecznie na wielki bal, ale na prywatkę (dziś – domówkę). Upolowanie czegoś takiego wymagało cierpliwości i szczęścia, ale warto było.

W karnawale każdy chce błyszczeć. Każdy chce coś wynieść z tego krótkiego okresu wzmożenia. Nawiązują się znajomości, romanse, grożą zdrady i rozstania. „Ubiorom przeznaczonym na uroczyste okazje poświęcano szczególną uwagę, na ich przygotowanie poświęcano więcej czasu środków i namysłu, darzono je sentymentem, używano rzadziej i przechowywano bardziej pieczołowicie niż ubiory codzienne" – pisze Małgorzata Możdżyńska-Nawotka w książce „Od zmierzchu do świtu. Historia mody balowej".

O sile oddziaływania luksusowych wieczorowych toalet na masową wyobraźnię, zwłaszcza gdy opromienia je legenda sławnej i pięknej właścicielki oraz magia eleganckiego świata, do którego mogą dziś zajrzeć miliony dzięki kamerom telewizyjnym i kolorowym magazynom, świadczy powszechne zainteresowanie towarzyszące aukcji sukien księżnej Diany na cele dobroczynne zorganizowanej w domu aukcyjnym Christie's w Nowym Jorku w czerwcu 1997 r.

A w tym roku? Cóż, można powspominać, siedząc na kanapie w kapciach przed telewizorem. Licząc, że za rok z tych wszystkich pięknych rzeczy będzie można zrobić użytek.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9af7342c1

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Kresowe stada królewskie i magnackie

Jednym z obrazów dawnej Rzeczypospolitej XVII i XVIII w., którego już nigdy nie zobaczymy, były królewskie i magnackie stadniny na wschodnich kresach państwa, na Podolu, Wołyniu, Ukrainie, a także w Małopolsce i na Podlasiu. W porównaniu z dzisiejszymi były tam nieprzeliczone wprost stada koni trzymanych w wychowie dzikim, zwanym też tabunowym. To znaczy w warunkach naturalnych, gdzie stado spędzało cały rok pod gołym niebem, a ogiery łączyły się z klaczami według upodobania. Drugim sposobem chowu był chów polny, w którym konie od wiosny do jesieni przebywały na pastwiskach, a na zimę zapędzano je do stajen, a raczej ogromnych wiat i zadaszeń, gdzie dostawały siano i paszę. Stado podzielone było na kilka mniejszych – osobno trzymano zaźrebione klacze, kobyły ze źrebiętami, ogiery i odstawione od matek młode konie.

Jak wyglądały takie pastwiska? Wyobraźmy sobie kawał dzikiego terenu, mniej więcej powierzchnię kilku dzisiejszych wsi ze wszystkimi polami, lasami, dąbrowami, strumieniami, a na Podolu i w południowych stronach Korony – z górami, skałami, jarami. Po tym wszystkim biega sobie i pasie się jedno stado koni lub kilka, przepędzane w zależności od potrzeb na miejsca, gdzie jest jeszcze dobra trawa, i w pobliżu woda. Pasterze i tabuńczycy chronią je od napaści wilków i psów, ale o resztę zwierzęta muszą zadbać same. W stadzie dochodziło więc w różnych warunkach pogodowych do ostrej selekcji koni, a przede wszystkim źrebiąt i klaczy. Słabsze nie przetrwały zimy, utonęły w czasie przeprawy przez wezbraną rzekę, połamały sobie nogi na kamieniach. Jednak konie,

FOT. DOMENA PUBLICZNA

które zaliczyły taką szkołę przetrwania od źrebięcia, miały żelazne zdrowie i siły, po wzięciu pod siodło były praktycznie nie do zajeżdżenia i nie do zdarcia na najtrudniejszych nawet drogach.

Liczebność tych stad jest dziś trudna do wyobrażenia. Królewska stadnina Zygmunta Augusta w Knyszynie miała w 1565 r. 3 tys. koni. Nawet pod koniec życia króla, który już nie kontrolował majątków i stado podupadło, pozostało w nim 1228 różnych koni. Z czego 120 pocztowych, 24 fryzy, 19 dzianetów hiszpańskich, 30 łowczych, 28 jednochodników, oprócz tego zaś woźniki, czyli konie do zaprzęgów, i młode, zapewne jeszcze nieujeżdżone. Dla porównania dzisiejsza stadnina w Janowie Podlaskim liczy mniej niż 300 koni, w tym ok. 100 matek. Inna stadnina w Michałowie ma 400 koni, z czego także około jednej czwartej kobył.

A przecież stado królewskie nie było wcale jedyne ani największe w Rzeczypospolitej! Idąc po kolei – stado książąt Ostrogskich, po śmierci Janusza kasztelana krakowskiego w 1620 r., liczyło 700 koni jezdnych i 4 tys. matek. Stado Sobieskich w Żółkwi składało się także zapewne z kilku tysięcy koni, przy czym było tak cenne, że kolejne rody dziedziczyły je po sobie. Poczynając od hetmana Stanisława Żółkiewskiego i jego syna przeszło na Daniłowiczów, a z nich potem na Sobieskich.

W XVIII w. pojawiały się sławne stadniny arabów, w tym Sławuta na Wołyniu, należąca do Sanguszków. A także stado targowiczanina – hetmana Franciszka Ksawerego Branickiego założone w 1778 r. w Szamrajówce koło Białej Cerkwi. Inny zdrajca Szczęsny Potocki posiadał w Tulczynie, Kobyłówce i Klebani stada liczące ok. 1 tys. samych tylko klaczy i matek. Dopiero stada pomniejszych magnatów i panów polskich, litewskich i ruskich mogą być porównywane z dzisiejszymi stadninami. Stadniny Lubomirskich w Szarogrodzie i Pawołoczy składały się z ok. 250 koni. Książę Dominik Zasławski w 1645 r. posiadał stado gotowych koni liczące ponad 80 sztuk. Z kolei największe stadniny na Podolu należały w połowie XVIII w. do Czartoryskich i liczyły od 337 do 852 zwierząt.

Co się stało z tymi wszystkimi stadninami? Większość nie przetrwała upadku Rzeczypospolitej; często po śmierci właścicieli lub ich bankructwie po prostu rozprzedawano konie jak leci. Wiele z nich skonfiskowali zaborcy, przede wszystkim Moskale. Liczebność stad zmniejszyła się zwłaszcza w okresie wojen napoleońskich. Prawdziwy kres ostatnich przyszedł jednak z nadejściem pierwszej wojny światowej i rewolucji bolszewickiej. Stadnina Sanguszków w Sławucie, która w 1799 r. liczyła jeszcze 423 konie, została zniszczona przez zbuntowanych żołnierzy w 1917 r., a jej właściciel Roman Sanguszko został zamordowany przez czerwony motłoch. Wspomniane stadniny nigdy już się nie odbudowały; z ponad 500 klaczy arabskich z terenów Ukrainy, w II Rzeczypospolitej, w 1923 r. zarejestrowano zaledwie 52. ©℗

eprasa.pl c9af7342c1

MISZMASZ NA ROZGRZEWKĘ OD KRYSTYNY BAŁAKIER

Potrawa mojego autorstwa nazywa się „Miszmasz". Pierwszy raz zrobiłam ją z resztek, które pozostały w lodówce. A ponieważ bardzo zasmakowała moim domownikom, co jakiś czas ją gotuję. Szczególnie dobra jest na przeziębienie, bo bardzo dobrze rozgrzewa organizm.

Składniki:

- 4 puszki czerwonej fasoli
- 3–4 pomidory
- 3 świeże papryki
- 0,5 kg dowolnego mięsa
- 300 g boczku wędzonego
- kiełbasa
- 2 cebule
- ząbek czosnku
- sól, pieprz

Przygotowanie:

Do potrawy dodaję czerwoną fasolę (ok. 4 puszek), pocięte w kawałki pomidory (3–4 szt.), dowolne mięso (ok. 0,5 kg), pokrojoną cebulę (2 szt.), czosnek (1 ząbek), boczek wędzony pokrojony w kostkę (300 g) i kawałek kiełbasy. Wskazana jest również papryka (3 szt., powinna być w różnych kolorach – wtedy potrawa wygląda bardziej smakowicie). Wszystko razem duszę ok. 1,5 godz., z tym że pomidory i fasolę dodaję pół godziny przed końcem gotowania. Solę i pieprzę do smaku. Podaję ją z chlebem lub z ryżem. ©℗

oprac. raw

Krystyna Bałakier jest blogerką, jedną z czołowych tzw. silver influencerek w Polsce, stylistką.

FOT. ILONA CELINA RORZKOWSKA-WITOWSKA

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Obiad w Belgravii

JOANNA BOJAŃCZYK

Powieść „Belgravia" Juliana Fellowesa to czytadło, trochę tylko lepsze od „Trędowatej". Chociaż przewidywalne i schematyczne, to niepozbawione uroku. Ale autor (również autor scenariusza serialu „Downton Abbey", filmu „Gosford Park") w beletrystycznej formie przemyca sporo informacji o życiu w wiktoriańskiej Anglii. Życiu wyższych sfer naturalnie, to specjalność Fellowesa, zna je dobrze, bo z nich się wywodzi. Tło historyczne książki jest w dużej mierze prawdziwe: tytułowe miejsce akcji, elegancka dzielnica Londynu Belgravia, przeżywało w połowie XIX w., czyli w czasie, kiedy dzieje się akcja powieści, intensywny okres rozbudowy. Powstawały pałace, rezydencje, zakładano ogrody i parki. Miejsca przedstawione w książce istnieją do dziś. Opisy uświadamiają, jakim mocarstwem była w XIX w. Anglia. Wielka arystokracja rodowa, rodzące się nowe fortuny, wszystko pijące żywotne soki z kolonii. Ale gdy angielski kapitalizm produkował nowych bogaczy, ubożejący arystokraci, tak jak powieściowi państwo Brockenhurst, musieli zadowalać się „byle czym". „Ograniczyć służbę do osób najbardziej niezbędnych. Kucharka, stangret, kamerdyner i trzy pokojówki, to musiało wystarczyć". W podobnym czasie u państwa Nabokowów, rodziców Władimira, w ich pałacu przy ulicy Morskiej w Petersburgu zatrudniano 50 osób służby. Pisze o tym Nabokow w swoich wspomnieniach „Pamięci przemów".

Zainteresowało mnie menu mieszkańców Londynu z czasów przed Jamiem Oliverem i Yotamem Ottolenghim. U Fellowesa nie ma o jedzeniu wiele. Na lunche w Belgravii podawano zazwyczaj mus z łososia, przepiórki, sarninę i bażanty. Na deser – ananasy i lody.

Znacznie bardziej różnorodną panoramę jedzenia w tych samych czasach roztacza w powieściach Charles Dickens, pisarz, który w swojej epoce mógłby być uznany za prawdziwego „foodie". Lubił jeść, pić i pisać o tym, ale penetrował raczej życie ludzi biednych niż bogatych. Ci pierwsi są dobrzy i niedożywieni, drudzy – grubi i źli. Oto zawartość spiżarni odrażającego pana Scrooge'a: „indyki, gęsi, drób, dziczyzna, salcesony, kiełbasy, mięsa, ciasta nadziewane mięsem, puddingi ze śliwkami, beczułki ostryg, pieczone kasztany, soki pomarańczowe, brzoskwinie, gruszki". Trzeba przyznać, że wygląda to smaczniej i obficiej niż hrabiowski obiad w Belgravii. ©℗

eprasa.pl c9af7342c1

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Jesteśmy popkulturalni

Kiedy miałem 10 lat, mama wzięła mnie do kina na film „Obcy", znany u nas pod tytułem „Obcy – ósmy pasażer Nostromo". Pojęcia nie mam, dlaczego to zrobiła. Nie była zwolenniczką horrorów ani science fiction. Ot, jakoś tak wyszło.

To było przerażające doświadczenie. Pamiętam, że ciągle zamykałem oczy i miałem ochotę skryć się pod fotelem. Jeszcze wiele lat później, jako stary koń, oblewałem się zimnym potem, kiedy oglądałem kolejne części „Obcego". Pierwszej zresztą nie odważyłem się obejrzeć już nigdy więcej. Chociaż jestem fanem całej serii.

Wydawałoby się, że powinno mnie to czegoś nauczyć. Tym bardziej że patrzę z góry na ojca kolegi mojego syna, który razem z tym synem ogląda kreskówkę „Rick i Morty", składającą się głównie z wulgaryzmów. Widać – ta pycha mnie odurzyła, kiedy zaproponowałem rodzinne oglądanie filmu „Kingsman – tajne służby".

Pamiętałem ten film jako bardzo fajne kino akcji. Owszem, dość krwawe, ale ze szlachetną instrukcją, jak zostać dżentelmenem, oraz z zacnymi złotymi myślami w stylu: „Zasady tworzą mężczyznę". Ledwo jednak zaczęliśmy film oglądać, okazało się, że jest on w warstwie tekstowej oparty głównie na słowach na k, p czy ch. Młody już jednak się wkręcił i nie było mowy, by zgodził się na zakończenie seansu. Przez następne dwie godziny byliśmy – jako rodzice – biczowani przekleństwami. Każde boleśnie wbijało się na nasze sumienie i rodziło w nas słuszne poczucie pedagogicznej klęski. Było nam wręcz niewyobrażalnie głupio. I było nam strasznie wstyd.

Najciekawsze było jednak co innego. To, że dopiero obecność naszego dziecka spowodowała, że usłyszeliśmy te wszystkie wulgaryzmy. A, dalibóg, było ich od groma i ciut-ciut. Kiedy oglądaliśmy „Kingsmana" sami, w ogóle nam to nie przeszkadzało. Tak naprawdę w ogóle tego nie zauważaliśmy. A na pewno nie zapamiętaliśmy filmu jako ociekającego tłustym miechem. Dopiero obecność dziecka otworzyła nam oczy czy raczej uszy.

Co z tego wynika? Ano to, że wulgaryzmy w popkulturze stały się powietrzem. Oddychamy nimi, nawet ich nie dostrzegając. Nie rażą nas specjalnie, nie kłują, nie wydają się czymś niestosownym. Stały się normalne, zwyczajne. Trudno, żeby w takiej sytuacji to zanieczyszczone, popkulturalne powietrze nie dokonywało spustoszeń w naszych organizmach. Czy może raczej w tym przypadku – duszach.

Skoro wulgarność jest estetyczną normą, z którą obcujemy na co dzień, oglądając filmy i seriale, to i my stajemy się bardziej wulgarni. Przeklinamy w internetowych dyskusjach czy na demonstracjach, wciąż widząc w sobie ludzi kulturalnych. A jesteśmy co najwyżej popkulturalni. ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Szczepmy nauczycieli

Wchodzenie przed kolejką, po znajomościach, po „przypadkowej" rozmowie z pielęgniarką, a nawet z ogłoszenia znalezionego rzekomo na stronie WUM. Ludzie sztuki, biznesu, mediów i polityki przetarli już chyba wszystkie możliwe ścieżki rozmywania własnej odpowiedzialności za świadome skorzystanie z dawki szczepionki, która im w tym momencie nie przysługiwała. Niestety, zamiast skupić się na dyskusji o tym, kiedy, kogo i jak szybko szczepić – oraz na ile rząd wywiązuje się ze swojego zadania – ugrzęźliśmy w koleinach sporu o rolę elit. Sporu ważnego, w istocie pokazującego iluzoryczność solidaryzmu społecznego III RP, ale jednak wtórnego wobec zadania powrotu do nowej normalności w autentycznym wyścigu medyczno-ekonomicznym, w którym największe państwa nie oglądają się za siebie.

Spróbujmy na chwilę przyjąć tę pragmatyczną optykę, która nakazała Niemcom kupić dodatkowe dawki specyfiku poza mechanizmem unijnym, równocześnie negocjując potencjalną współpracę na polu szczepień z Rosją. Od tego, jak szybko postawimy polską gospodarkę na nogi i jak szybko zaczniemy odmrażać kolejne elementy życia społecznego, zależą nasza konkurencyjność, tempo wzrostu PKB oraz pamięć instytucjonalna państwa, które może mierzyć się z wyzwaniem masowych szczepień jeszcze w nadchodzących latach. Jak wykorzystać do maksimum potencjał, który z mozołem udaje się nam osiągnąć? Nie jesteśmy zmilitaryzowanym i karnym Izraelem, naszym bogatym i wpływowym zachodnim sąsiadem czy Wielką Brytanią, która nie dość, że sama wynalazła jedną ze szczepionek, to dodatkowo nie musi czekać na unijne decyzje zatwierdzające specyfiki do dystrybucji.

Właśnie z tego względu musimy myśleć niestandardowo i kreatywnie. Czy dobrym sposobem na zmaksymalizowanie potencjału szczepień nie byłoby zatem uczynienie – obok medyków – również nauczycieli jedną z pierwszych grup, która może zgłosić się do szczepień? Myślę, że w przeciwieństwie do Krystyny Jandy i jej znajomych autentycznie przełoży się to na poprawę sytuacji pandemicznej w kraju. Rząd uczynił krok w tę stronę, ale jest on tylko połowiczny. Dzieci klas I–III wrócą od 18 stycznia do szkół, a nauczyciele otrzymali możliwość bezpłatnego przebadania się na obecność koronawirusa, ale zamiast wydawać te niespełna 60 mln zł na nieaktualne za tydzień testy, czy nie warto byłoby nauczycieli szczepić? Ich bezpieczeństwo sprawia, że setki tysięcy rodziców, którzy siedzą w domu na urlopach wychowawczych, mogłyby wrócić do swojej pracy. Badania naukowców z Oxfordu opublikowane w październiku w magazynie „Science" wskazują natomiast, że dzieci w wieku szkoły podstawowej tylko w nieznacznym stopniu transmitują wirusa. Warto się nad tym pomysłem realnie zastanowić. ©℗

eprasa.pl c9af7342c1

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Obrazy i historia

Pewne sceny przechodzą do historii. Dokumentują ją, ale i współtworzą, stając się tzw. przeżyciem pokoleniowym. Zapadają głęboko w pamięć i nie spoczywają tam bezczynne, wpływając na jej ostateczny kształt, a tym samym na tożsamość człowieka albo nawet całego pokolenia.

W ostatnich miesiącach zobaczyliśmy parę takich scen w Polsce i na świecie. Widok szturmu zwolenników „tolerancji i postępu" na polskie kościoły otaczane żywym murem tych, którzy na czas wstali z „kanapy" i swoje przywiązanie do katolicyzmu bez żadnego „ale" poświadczyli czynem – z pewnością należy do takich „historiotwórczych scen". Obraz „młodej Polski" krzyczącej „j…ć i wy……ć" do chrześcijańskiego dziedzictwa swojego kraju, pozostanie na długo, odłożone w pamięci (niebezczynnie!) nie tylko bezpośrednich uczestników tych wydarzeń, lecz także tych, którym dotąd wydawało się, że „oczywistą oczywistością" jest „Polska katolicka". Tymczasem sceny te kolejny raz udowadniają prawidłowość, że nic nie jest dane raz na zawsze – o czym przekonały się (i ciągle boleśnie tego doświadczają) pierworodna córa Kościoła (Francja) czy „wyspa świętych" (Irlandia).

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Do kategorii „w głowie się nie mieści" należą z pewnością sceny zwycięskiego szturmu na Kapitol 6 stycznia dokonanego przez zwolenników Donalda Trumpa. Obrazy wdrapujących się po ścianach Kapitolu demonstrantów (a mówią, że amerykańskie służby inwigilują wszystko i wszystkich przez satelity!) czy faceta odzianego w strój szamański i rozsiadającego się w fotelu spikerki Izby Reprezentantów Nancy Pelosi pozostaną z Amerykanami, ale i z nami na długo. Łatwo się domyślić, jaki użytek z nich będzie robić chińska, rosyjska, białoruska czy irańska propaganda, gdy komuś w Waszyngtonie przyjdzie do głowy upomnieć się o gwałcone prawa obywatelskie w Hongkongu lub gdy ktoś zaprotestuje przeciw brutalnemu działaniu specnazu w Moskwie, Mińsku lub policji religijnej w Teheranie.

Alaksandr Łukaszenka sfałszował wybory? A co się dzieje w Stanach Zjednoczonych, których urzędujący prezydent mówi publicznie o „ukradzionych wyborach", a miliony Amerykanów dają temu wiarę?

Gwoli sprawiedliwości należy dodać, że przyzwyczajanie obywateli USA do nieuznawania rezultatu demokratycznych wyborów zaczęli demokraci już w wieczór wyborczy w listopadzie 2016 r., gdy okazało się, że wygrał „niesłuszny kandydat". Narracja typu, że „za wszystkim stali Rosjanie", czy instrumentalne traktowanie procedury impeachmentu („ślad ukraiński") skutecznie torowały drogę do delegitymizacji teraźniejszości w oczach wielu Amerykanów.

Niemało z nich odrzuca również przeszłość swojego kraju. Szturm rewolucyjnej młodzieży z „BLM" i Antify na pomniki „martwych, białych mężczyzn" – od św. Ludwika i Krzysztofa Kolumba do generałów Konfederacji i Winstona Churchilla – to kolejny przykład scen „tworzących historię". Gdy „pokolenie BLM" wzorem „pokolenia '68" rozpocznie swój „marsz przez instytucje" (świata politycznego, akademickiego i medialnego), mając w pamięci te wydarzenia i te sceny, niech drży Ameryka. Rewolucyjni prekursorzy z 1968 r. ze swoich demonstracji z „Czerwoną książeczką" Mao Zedonga w ręku zapamiętali jedno przesłanie – może i marksizm umarł, ale rewolucja się nie skończyła.

Swoje przesłanie miał również obraz Antona von Wernera (1843–1915) z 1877 r. „Ogłoszenie Wilhelma I cesarzem niemieckim w Wersalu". 150-lecie tego wydarzenia przypada 18 stycznia. Główny bohater jest na obrazie, gdzieś schowany. W centrum zaś dominuje, błyszczy w swoim białym kirasjerskim mundurze Otto von Bismarck. „Żelazny kanclerz" nigdy co prawda w armii nie służył, ale portretować się w mundurach i pikielhaubie uwielbiał. Tego wymagały potrzeby „sceniczne". One kazały mu wybrać na miejsce tej uroczystości Salę Zwierciadlaną pałacu wersalskiego, by tym bardziej upokorzyć pokonanych już Francuzów. Z tego samego powodu wybrał dzień 18 stycznia – przypomnienie daty pierwszej królewskiej koronacji Hohenzollernów (18 stycznia 1701 r.).

Tylko Wilhelm I był niezadowolony, że Bismarck „zmusił" go do zaakceptowania jakiejś nowinki w postaci tytułu „cesarza niemieckiego", niespotykanego dotąd w historii. Ale właśnie ta scena utrwalona przez Wernera miała być początkiem nowej historii. ©℗

eprasa.pl c9af7342c1

FOT. W. CEJROWSKI LTD/B. MROZOWSKI

PIĘCIU LUDZI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Zbanowali Trumpa i tłum się cieszy. Głupcy – dziś przyszli po niego, jutro wezmą się za was. Gdy Hitler robił „porządek z Żydami", wielu myślało „nareszcie", a potem przyszli także po nich. Patrz na to tak: Czy podoba ci się cenzura jako taka? Usuń ze swoich kalkulacji Trumpa, usuń wszystkich, których nie lubisz i chciałbyś kneblować – pomyśl (na poziomie teoretycznym), czy cenzura podoba ci się jako zjawisko. Sieć miała być bez cenzury – każdemu wolno gadać o wszystkim.

***

Garstka korporacji (Apple, Amazon, Twitter, Google, Facebook), czyli pięciu ludzi, ma obecnie światowy monopol na przekazywanie treści społecznościowych. Stwierdzenie, że jak cię jeden skasuje, to sobie możesz iść gdzie indziej, jest nieprawdą. Nie ma dokąd iść. Nie ma alternatywy, gdyż nastała dyktatura lewicowej piątki przeciwko całej reszcie mniejszych.

Mnie się nie podoba taki świat, gdzie nie istnieje alternatywa dla moich poglądów. Chcę, żeby istniały debata i spory, żeby istniał przeciwnik dla moich myśli. Bo może ja się mylę, a przecież nie jestem nieomylny. Człowiek rozsądny chce, aby istniały w obiegu inne poglądy niż jego własne – chce tego przynajmniej po to, by z nimi wygrać. A kto nie chce? Tyran!

Za komuny w PRL oraz obecnie w komunistycznych Chinach w obiegu publicznym jest i była tylko „przewodnia myśl partii". Resztę skasowano. Sytuacja, gdy w obiegu dozwolony jest tylko jeden pogląd, jest niezdrowa, szkodliwa, niebezpieczna. Masz żonę? Czy to jest zdrowe, gdy tylko ona gada, a ciebie nawet słuchać nie chce, bo ty nigdy nie masz racji?

***

Każdy z tych pięciu ludzi, którzy kontrolują wymianę opinii w światowej sieci (Zuckerberg, Bezos, Gates…), ma poglądy lewicowe, w dodatku identyczne do pozostałych czterech panów. Identyczne w sprawach szczepionek, klimatu, stosunków z Chinami, w sprawie Trumpa, religii. W każdej sprawie, która może ciebie interesować, tych pięciu facetów ma poglądy IDENTYCZNE. A to oznacza światowy monopol idei – dyktaturę w sieci. I nie musi być żadnej zmowy pomiędzy nimi, oni nie muszą między sobą konsultować, kogo zabanują. Nie muszą, bo gdy któryś z nich wpada na pomysł, by kogoś wyciąć z sieci, inni od razu uważają, że to świetny pomysł, i robią to samo. Tyran o pięciu głowach, które są jednomyślne.

***

W USA była wolność prasy. W konstytucji nadal zapisana. Ale co z tego? Cztery największe korporacje telewizyjne – CNN, ABC, CBS, NBC – postanowiły zabanować piątą. Te cztery są lewackie, a piąta – FOX – nie jest. CNN grozi sieciom kablowym, że jeśli oni nie usuną FOX ze swojej oferty, to CNN odchodzi. Inni lewacy przyłączyli się do CNN. Czy to jest zdrowe, by ostatecznie, kiedyś, niedługo, wszystkie kablówki w USA miały w ofercie wyłącznie stacje lewicowe? A sama metoda walki „rynkowej" – tak jakby Polsat i TVN dogadały się, by usunąć z oferty polskich kablówek stację TVP. Czy to jest zdrowe? Dla tyranii jest. Dla ludzkości już nie. Dla ludzkości zdrowe są debata i różnorodność. Wymiana myśli i sprzecznych poglądów.

***

Trump walczy do końca. Miał komfortowe życie, a jednak podjął się ratowania Ameryki i sobie to życie zniszczył. Internetowe wyszukiwarki przestały obecnie pokazywać w ofercie hotele Trumpa – nie zabukujesz pokoju.

Mimo to walczył do końca, wykorzystał wszystkie LEGALNE ścieżki. Walczył o stołek? My – jego wyborcy – nie mamy takiego wrażenia. Przecież nie pobierał pensji prezydenckiej, a jego standard życia w trakcie prezydentury pogorszył się w stosunku do tego, co miał wcześniej. I to szczucie na całą rodzinę, bez przerwy przez ostatnie pięć lat! Groźby, z groźbami irańskich ajatollahów, że pozabijają Trumpa i każdy jego pomiot (tego Twitter nie kasuje). Miał dobre życie, ale je poświęcił – dla tych 75 mln Amerykanów, którzy na niego głosowali (tej liczby nie kwestionują nawet demokraci, oni po prostu twierdzą, że na Bidena głosowało więcej).

***

Gdyby odjąć osoby zmarłe, które głosowały zza grobu – wygrałby Trump.

Lub gdyby odjąć głosy osób, które głosowały po dwa lub więcej razy – wygrałby Trump.

Lub gdyby odjąć głosy imigrantów bez prawa wyborczego – wygrałby Trump.

Lub gdyby odjąć sfałszowane karty do głosowania – wygrałby Trump.

Gdyby choć jedna z tych opcji lub choć jeden z 330 pozwów wyborczych został rozpatrzony (wszystkie odrzucono bez oglądania dowodów) – wygrałby Trump.

Walczy do końca. Przeciwnicy próbują go utopić i zastraszyć, a on walczy bez oglądania się na to, jak okropnie zrujnowane będą jego życie i biznes za tydzień, za rok.

I na sam koniec odebrano mu możliwość komunikowania się z narodem – zbanowany na amen wszędzie. Wcześniej Trump był najbardziej przejrzystym politykiem w historii – komunikował się z pominięciem biura prasowego, a oświadczenia prezydenckie wysyłał w świat w formie tweetów nawet o 3 nad ranem. Bez cenzury i wygładzania.

Jego konferencje prasowe też niebywałe – nikt inny w historii nie odbył większej liczby konferencji prasowych i nie odpowiedział na więcej pytań reporterów; w większości wrogo nastawionych.

***

Trump jest śmiały, odważny, a nawet zuchwały w działaniu – po angielsku BOLD. Czy przeszedł już do historii? Mam nadzieję, że jeszcze zawalczy i zwycięży. Czemu? Bo nie było i nie ma w historii świata drugiej Ameryki. Jeżeli zniszczą tę, która jest, to zniszczą pierwsze państwo, które dało ludziom wolność. Pierwsze i ostatnie jak na razie. Kraj, który zapewniał możliwość realizacji marzeń, chronił prześladowanych gdzie indziej, za wiarę, za kolor skóry, za polityczne poglądy. Państwo stworzone przez obywateli dla obywateli – jedyne takie, gdzie nie byłeś poddanym. I ono ma zostać pochłonięte przez Nowy Porządek Świata – globalną tyranię. Dzisiaj przejmą USA, jutro wezmą się za was. ©℗

eprasa.pl c9af7342c1

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY”
MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

W PREZENCIE
KSIĄŻKA

MACIEJ ROSALAK
„WIELKIE ZARAZY LUDZKOŚCI”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

~~309~~ ZŁ

193,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 116 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%)
- Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami
- Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl c9af7342c1

prasa.pl c9af7 2c1